Kronika miasta Łodzi

kwartalnik 1(65)/2014

Jan Karski

15,00

im.
J. P.
w Łodzi

cl 129648/2014

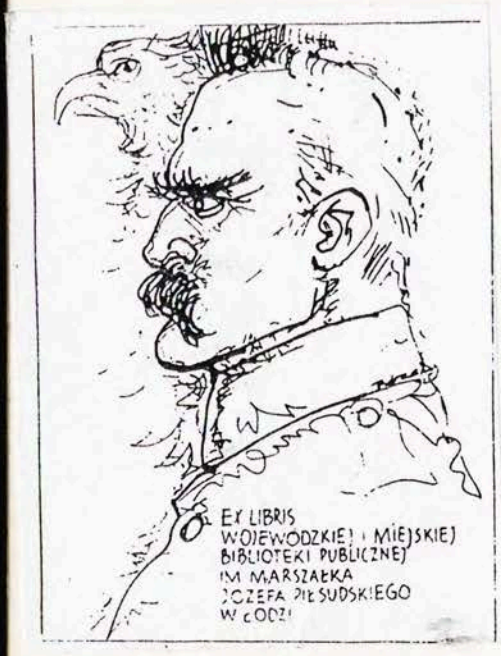

ew/dk/175/14

PR
10671-IA

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ○ 1 (65)/2014

2014
Nr 1

Łódź 2014

Wydawca:

Urząd Miasta Łodzi
Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej

Redakcja:
Gustaw Romanowski – redaktor naczelny

W zredagowaniu numeru uczestniczyli:

Koncepcja i koordynacja:
Marcin Kieruzel

Współpraca redakcyjna:
Małgorzata Golicka-Jabłońska

Projekt typografii i okładki:
Andrzej Chętko

Korekta:
Grzegorz Krzymianowski

Zdjęcia:
Autorzy, Archiwum UMŁ
Fotografie w dziale *Pierwsze kolumny* dzięki uprzejmości Muzeum Miasta Łodzi

Skład i druk: Drukarnia WIST
95–100 Zgierz, ul. Barona 8 B

Łódź, 2014

Redakcja:
Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 113, prawa oficyna, parter
90–430 Łódź, tel. (42) 638–44–39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów.

Spis treści

pierwsze kolumny **7**

Jan Karski, Wykład Jana Karskiego wygłoszony 27 czerwca 1996 r. z okazji przyznania mu doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego 9

Gustaw Romanowski, Albo pragmatyzm, albo miłosierdzie 15

Cezary Pawlak, Gabinet Profesora Jana Karskiego w Muzeum Miasta Łodzi 22

Maja Jakóbczyk, Mogliśmy wszystko sobie powiedzieć... 33

Marian Marek Drozdrowski, Droga Jana Kozielewskiego 37

Marcin Kieruzel, Życie Jana Karskiego 41

Przemysław Waingertner, Na marginesie książki Jana Karskiego 51

Marcin Kieruzel, Chcemy, żeby Centrum było miejscem autentycznej rozmowy i dialogu 60

kultura **67**

Grzegorz Matuszak, *90-lecie Leszka Rózgi* 69

Dominika Łarionow, 10 lat Atlasa Sztuki 79

Błażej Filipowski, Pustostan 88

historia **97**

Władysław Trzaska-Korowajczyk, Wspomnienia sprzed półwiecza 99

Grzegorz Pełczyński, Najstarsza uczelnia Łodzi 106

czarne dziury, białe plamy **111**

Aleksander Pytke, *Janusz Urbański*, *Wojciech Źródlak*, Kim była Róża Deweltow 113

osiedla, domy, ulice **121**

Dariusz Kędzierski, Wigury i Żwirki 123

łodzianie **135**
Józef Śreniowski, Jerzy Szczęsny (1945-2014) 137
Barbara Gortat, Eugeniusz Haneman (1917-2014) 140

recenzje **149**
Gustaw Romanowski, Człowiek z epoki więzień 151
Marcin Kieruzel, Łódź – śladami ludzi i zdarzeń 155
Krzysztof Stefański, Architektura okupowanej Łodzi 160
Anna Kuźmicka, Nowa książka łódzkiej radnej 170
Gustaw Romanowski, Warszyc – wyklęty bohater 173

opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska **Z łódzkiego raptularza** **177**

Jan Karski (1914-2000)

Honorowy Obywatel Miasta Łodzi

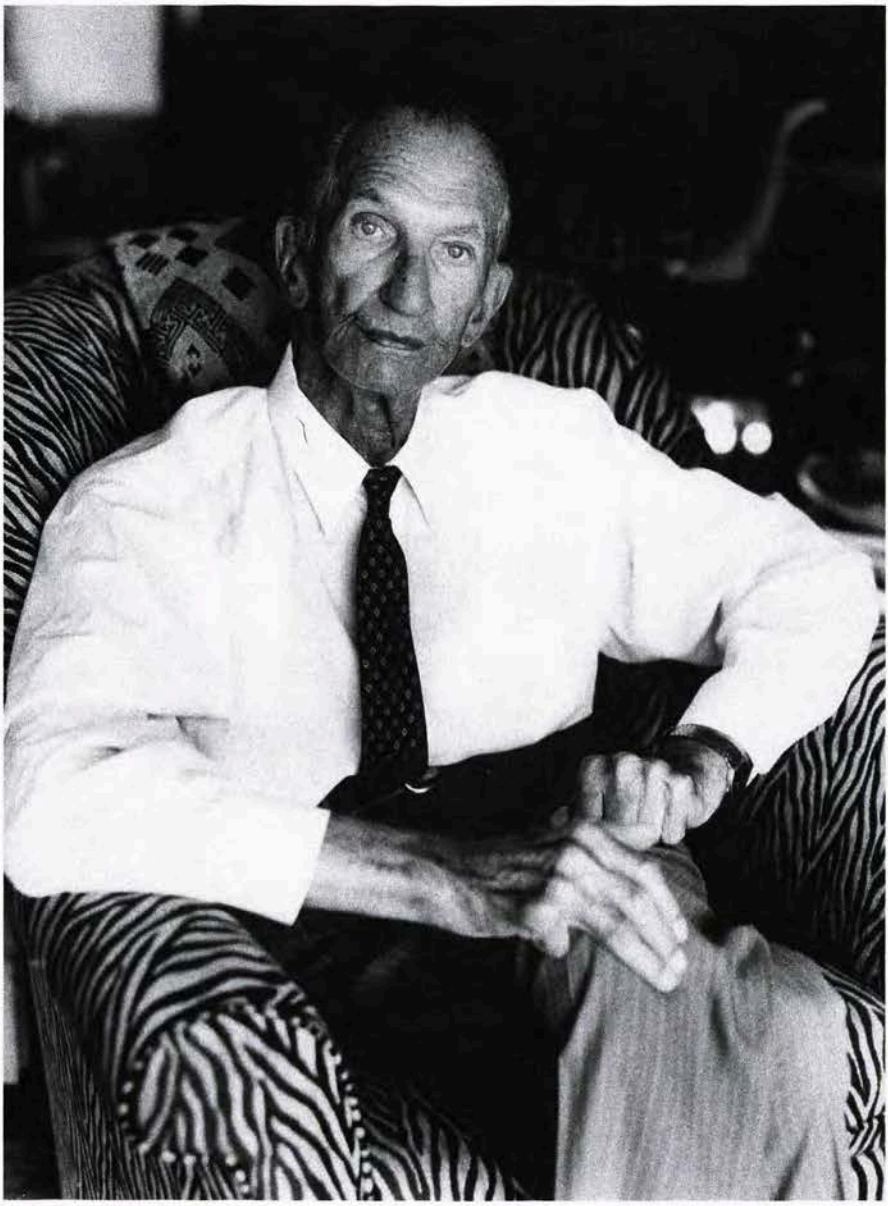

Portret Jana Karskiego w jego domu w Bethesdzie w roku 2000. Fot. Carol Harrison

pierwsze kolumny

Nie ma narodów lepszych i gorszych
Wykład Jana Karskiego wygłoszony 27 czerwca 1996 r. z okazji przyznania mu doktoratu honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego
str. 9

Albo pragmatyzm, albo miłosierdzie
Niedokończona rozmowa z Janem Karskim
Gustaw Romanowski
str. 15

Gabinet Profesora Jana Karskieo w Muzeum Miasta Łodzi
Wracasz tam, skąd się wziąłeś...
Cezary Pawlak
str. 22

Mogliśmy sobie wszystko powiedzieć...
Z Kają Mirecką-Ploss, przyjaciółką Jana Karskiego, rozmawia Maja Jakóbczyk
str. 33

Droga Jana Kozielewskiego
Bohater bolesnej epoki
Marian Marek Drozdowski
str. 37

Życie Jana Karskiego
Przesłanie bohatera
Marcin Kieruzel
str. 41

Na marginesie książki Jana Karskiego
Patriota bez mrzonek
Przemysław Waingertner
str. 51

Chcemy, żeby Centrum było miejscem autentycznej rozmowy i dialogu
Z Joanna Podolską, dyrektorką Centrum Dialogu im. Marka Edelmana, rozmawia Marcin Kieruzel
str. 60

Nie ma narodów lepszych i gorszych

Wykład Jana Karskiego wygłoszony 27 czerwca 1996 r. z okazji przyznania mu doktoratu honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego

W 1996 roku Senat Uniwersytetu Łódzkiego postanowił przyznać Janowi Karskiemu najwyższą godność uniwersytecką – doktorat ***honoris causa****. Uroczystość odbyła się 27 czerwca 1996 r. w gmachu Teatru Wielkiego. Ta pierwsza po grubo ponad pół wieku wizyta Jana Karskiego w rodzinnym mieście przebiegała w niezwykle emocjonalnej atmosferze. Wzruszony Profesor – w trakcie okolicznościowego wykładu – wspominał swoje „szczęśliwe i dumne" łódzkie dzieciństwo. Ale nawet i w takich okolicznościach ujawniła się ważna cecha jego charakteru – trzeźwy pragmatyzm, czasem brany wręcz za cynizm. Z perspektywy osiemnastu lat diagnozy i obserwacje Profesora wydają się być jednak wciąż, a nawet coraz bardziej aktualne. Jego zaś słowa o konieczności zmierzenia się ze szkodliwymi narodowymi mitami i stereotypami, o konieczności budowaniu pomostów, a nie „przedmurzy" można potraktować jako przesłanie dla Europejczyków, Polaków i łodzian. W roku setnej rocznicy urodzin Honorowego Obywatela Miasta Łodzi przypominamy obszerne fragmenty jego łódzkiego wykładu opublikowane pierwotnie w nr 2/1996 „Kroniki miasta Łodzi".*

– Redakcja

Jestem wzruszony i wdzięczny za dzisiejszą uroczystość, szczególnie, iż ma ona miejsce w Łodzi – mieście mojej szczęśliwej i dumnej młodości. Jestem absolwentem gimnazjum im. Marszałka Piłsudskiego – gimnazjum z ulicy Sienkiewicza 46.

Żyję w Stanach Zjednoczonych ponad pięćdziesiąt lat. Ameryka uformowała moją osobowość i stosunek do świata. Stałem się Amerykaninem. Czterdzieści pięć lat wykładałem w Szkole Służby Zagranicznej jezuickiego Uniwersytetu Georgetown. Dziewiętnaście lat prowadziłem wykłady w Pentagonie dla oficerów

amerykańskich sił zbrojnych. Większość moich wykładów dotyczyła regionu Europy Środkowowschodniej. Pragnę podzielić się z Państwem moimi uwagami w sprawach polskich. [...]

* * *

Wydaje mi się, że polityka obecnego rządu, jak zresztą wszystkich poprzednich rządów po przełomie w 1989 roku, zabiegania zarówno o członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim, jak i w Unii Europejskiej, jest słuszna.

Uczestnictwo Polski w Unii dyktowane jest względami gospodarczymi i kulturowymi. Wszak jednocząca się Europa to także polski dom.

Polsce obecnie nie zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo. Obecna Rosja nie wydaje się zdolna do prowadzenia wojny. Potrzebuje wielu lat, aby tę zdolność odzyskać. Ale Rosja wije się w konwulsjach. Ścierają się w niej różnorakie siły polityczne – wśród nich także wrogie Zachodowi i irracjonalne. Dla Polski uczestnictwo w NATO stanie się asekuracją, a dla NATO instrumentem do utrzymania racjonalności w polityce zagranicznej Rosji.

Należy jednak pamiętać, że ani Stany Zjednoczone, ani kraje Europy Zachodniej, a przede wszystkim Francja, nie zamierzają utrzymywać „żelaznej kurtyny" z czasów „zimnej wojny", przesuwając ją na linię Bugu. Nie zamierzają odpychać

Rosji od jednoczącej się Europy. Przeciwnie, szukają rozwiązań, które umożliwiłyby włączenie demokratyzującej się Rosji do procesu integracji europejskiej i zapewnienia w **całej** Europie stabilizacji, rozwoju i bezpieczeństwa. Bez współdziałania z Rosją Europa nie osiągnie stabilizacji. [...]

Po raz pierwszy od stuleci wyłoniła się możliwość zjednoczenia całej Europy – pokojowo. Gdyby to się udało, byłoby to największym wydarzeniem od czasów Karola Wielkiego.

W tym procesie Polska powinna stać się **pomostem** między narodami Europy Zachodniej i jej wschodnimi sąsiadami – a nie znów jakimś tam przedmurzem. Jednocząca się Europa nie potrzebuje przedmurzy. Potrzebuje pomostów.

Dramatyczny rozwój technologii oraz środków masowego przekazu w naszym stuleciu związał rządy z ich społeczeństwami bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości.

Prasa, radio, telewizja, informatyka umożliwiły społeczeństwom wpływanie na charakter i politykę ich rządów. Pragnąc lepszych stosunków z sąsiadami, powinni Polacy nie tylko paktować z ich rządami, ale także, czy nawet przede wszystkim, nawiązać dialog z ich **społeczeństwami**.

Ciąży nad naszymi narodami bolesna przeszłość: wojny, podboje, nacjonalistyczne ambicje. Nieufność lub pogarda wobec innych; przekonanie o własnych zaletach czy wyższości. Jakieś tam misje cywilizacyjne czy duchowe poprzez stulecia gmatwały nasze wzajemne stosunki. Trwa to do dzisiaj. Odmiennie niż na Zachodzie, nie dotarła jeszcze do krajów naszego rejonu nowoczesność i zrozumienie, że tylko łączenie się w realizowaniu wspólnych interesów przyniesie im postęp i lepszy byt.

A nasze narody właściwie mało się znają. A to, co o sobie wiedzą, jakże często jest oparte na stereotypowych i szkodliwych narodowych mitach.

No bo co tkwi w świadomości wielu Polaków o naszych stosunkach z narodami rejonu bałtyckiego? – Nieśliśmy im kulturę, demokrację i chrześcijaństwo. A co oni myślą o nas? Polacy próbowali nas wynarodowić. Chcieli zniszczyć naszą narodową identyczność.

A Ukraińcy? Trylogia Sienkiewicza jest jedną z najbardziej popularnych książek. Chroniliśmy ich przed zaborczą Moskwą. I jak sumienie nam nakazywało, staraliśmy się, aby wrócili na łono Kościoła rzymskokatolickiego. A co mówi tradycja Ukraińców? Gnębiła nas polska szlachta, a polskie „pany" rosły w potęgę z naszej krwi, znoju i krzywdy.

A naród rosyjski? To przecież odwieczny wróg – zaborczy i krwawy. To naród rabów. Nigdy nie nauczyli się demokracji. To dzicz. A my to kultura i przedmurze Zachodu. A co po tamtej stronie? Te Lachy to zdradzieckie plemię. Nieśli nam zgniliznę Zachodu. Przez stulecia czatowali, aby wbić nam nóż w plecy. Nie można im ufać. Trzeba ich trzymać w ryzach.

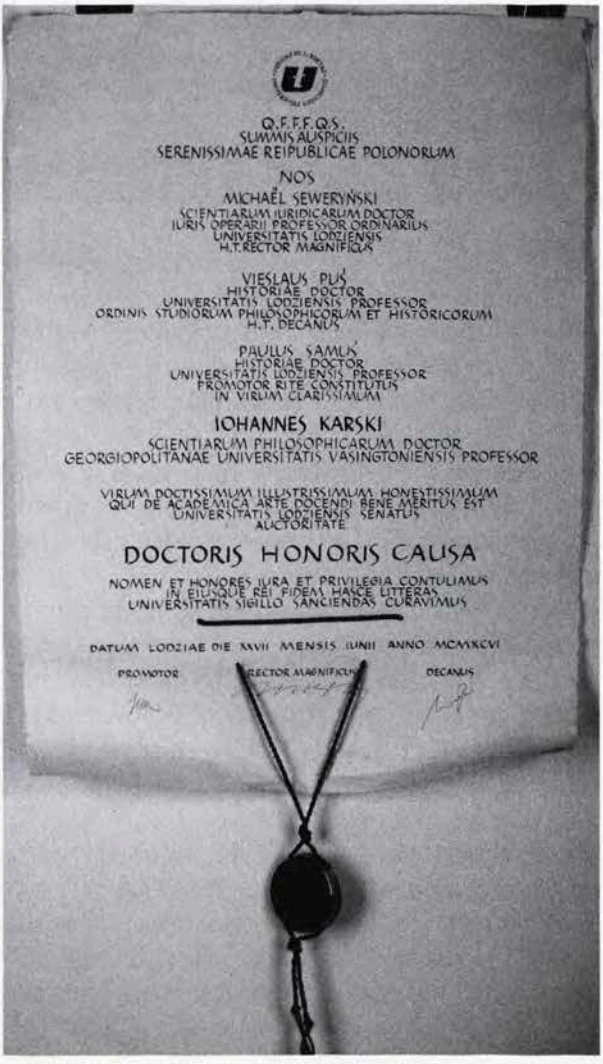

Q.F.F.Q.S.
SUMMIS AUSPICIIS
SERENISSIMAE REIPUBLICAE POLONORUM
NOS
MICHAËL SEWERYŃSKI
SCIENTIARUM IURIDICARUM DOCTOR
IURIS OPERARII PROFESSOR ORDINARIUS
UNIVERSITATIS LODZIENSIS
H.T. RECTOR MAGNIFICUS
VIESLAUS PUŚ
HISTORIAE DOCTOR
UNIVERSITATIS LODZIENSIS PROFESSOR
ORDINIS STUDIORUM PHILOSOPHICORUM ET HISTORICORUM
H.T. DECANUS
PAULUS SAMUŚ
HISTORIAE DOCTOR
UNIVERSITATIS LODZIENSIS PROFESSOR
PROMOTOR RITE CONSTITUTUS
IN VIRUM CLARISSIMUM
IOHANNES KARSKI
SCIENTIARUM PHILOSOPHICARUM DOCTOR
GEORGIOPOLITANAE UNIVERSITATIS VASINGTONIENSIS PROFESSOR
VIRUM DOCTISSIMUM ILLUSTRISSIMUM HONESTISSIMUM
QUI DE ACADEMICA ARTE DOCENDI BENE MERITUS EST
UNIVERSITATIS LODZIENSIS SENATUS
AUCTORITATE
DOCTORIS HONORIS CAUSA
NOMEN ET HONORES IURA ET PRIVILEGIA CONTULIMUS
IN EIUSQUE REI FIDEM HASCE LITTERAS
UNIVERSITATIS SIGILLO SANCIENDAS CURAVIMUS
DATUM LODZIAE DIE XXVII MENSIS IUNII ANNO MCMXCVI
PROMOTOR RECTOR MAGNIFICUS DECANUS

Stoi przed polskim społeczeństwem i jego elitą wielkie i pilne zadanie, a z punktu widzenia polskiej racji stanu obowiązek podjęcia wysiłków większych niż dotychczas, aby społeczeństwa naszego rejonu, z polskim społeczeństwem włącznie, porzuciły te tradycyjne i szkodliwe mity i uprzedzenia, aby się wzajemnie poznały.

* * *

Nie ma narodów lepszych i gorszych. To rządy i systemy rządzenia są lepsze gorsze. Narody chcą żyć i prosperować w spokoju. To ich rządy wszczynają wojny.

Trzeba więcej wysiłku, aby unowocześnić polskie społeczeństwo, aby nawiązało kontakty ze społeczeństwami sąsiednich nam krajów, abyśmy się lepiej poznali i nabrali do siebie zaufania. Kontakty międzyrządowe nie wystarczą. Potrzeba nam częstszej wymiany studentów i profesorów. Budujmy więcej i lepszych polskich instytutów kulturalnych i naukowych w sąsiednich krajach i zapraszajmy te kraje, aby tworzyły takie instytuty w Polsce. Wydawajmy więcej książek o naszym kraju w językach naszych sąsiadów i rozprowadzajmy je tam, zachęcając ich, aby robili to samo w Polsce. Organizujmy więcej wspólnych konferencji i spotkań ludzi nauki i kultury. Wprowadzajmy programy w radiu i telewizji w języku naszych sąsiadów i zachęcajmy ich do prowadzenia takich programów w polskim języku.

Czy są w naszych krajach ludzie kompetentni i chętni do takiej działalności? Chyba tak. A jeśli Polacy w kraju ich nie znają, albo nie wiedzą, jak taką działalność prowadzić – no to niech się zwrócą o radę czy pomoc do Jerzego Giedroycia w Paryżu. On w ramach swoich możliwości prowadzi taką działalność ponad czterdzieści lat. To patriota. Ale także Europejczyk *par excellence*.

* * *

Okrutna jest historia naszego narodu. W dziewiętnastym stuleciu ominęła nas rewolucja przemysłowa i zdobycze nowoczesnej demokracji. No bo rozbiory.

W czasie ostatniej wojny – walka u boku aliantów, a w kraju bohaterskie podziemie – no i łagry, Katynie, więzienia, obozy koncentracyjne i masowe egzekucje.

Po wojnie wielkie mocarstwa wepchnęły nas w orbitę sowieckiego imperium. Bo taki był między nimi układ sił, taka strategia, takie oczekiwania czy błędy. Na te decyzje Polacy, żadni Polacy, nie mieli jakiegokolwiek wpływu. Mogli albo z tego stanu rzeczy wyciągnąć konsekwencje, albo podjąć beznadziejną walkę.

A potem przez czterdzieści pięć lat naród polski żył, izolowany od narodów Zachodniej Europy, ich reform i przekształceń, które zapewniły im dobrobyt, pokój i możliwości dalszego rozwoju.

Sześć lat temu nasz naród wywalczył sobie wolność – zubożały, w strukturach, które uniemożliwiały rozwój, i wyobcowany zarówno od Wschodu, jak i od Zachodu.

Społeczeństwo szuka rozwiązań, które zapewniłyby mu rozwój i bezpieczeństwo.

W naszej epoce Polska i inne kraje naszego rejonu nie są w stanie sprostać tym zadaniom własnymi tylko siłami. Muszą się łączyć z innymi krajami – zarówno z Unią Europejską, jak i przede wszystkim między sobą. Rozbudowa współpracy i wymiany gospodarczej między Polską i jej wschodnimi sąsiadami jest naturalna i korzystna dla wszystkich partnerów. Przecież w wielu dziedzinach ich struktury gospodarcze uzupełniają się.

* * *

Nie bójmy się, że to łączenie zagrozi naszym polskim wartościom narodowym czy narodowej identyczności. Nie ulegajmy podejrzeniom, że istnieje jakiś tam spisek międzynarodowy masonów, Żydów czy komunistów, którzy sprzysięgli się na zgubę Polaków. Nie wracajmy do izolacji. Patrzmy, na co się zdecydowały kraje zachodniej Europy i jakie z tego odniosły pożytki.

Kraje Unii Europejskiej nie są już niezależne od siebie – są **współzależne**.

Unia, pomyślana jako wspólnota gospodarcza, stała się **wspólnotą narodów**.

Na skutek wolnego ruchu ludzi, kapitału i pracy państwowe granice straciły tam tradycyjne znaczenie. I poszedł w zapomnienie tradycyjny spór czy wojny o Alzację i Lotaryngię między Francją i Niemcami.

Sprawy poszły nawet dalej.

Dla zapewnienia trwałego pokoju swym narodom Francja, Belgia i Niemcy utworzyły Wspólnotę Węgla i Stali. Jej statut i struktura uczyniły z tej organizacji już nie międzynarodową organizację, ale ponadnarodowy organizm. I oto tak długo, jak ta Wspólnota istnieje, wojna między tymi państwami jest fizycznie niemożliwa.

To wszystko nie sprawiło, iż Unia Europejska stała się jakimś supermocarstwem rządzonym z Brukseli. Członkowskie narody zachowały lub wzbogaciły ich własną identyczność narodową, kulturę czy nawet obyczaje.

Polska i pozostałe narody naszego rejonu same nie rozwiążą swych problemów. Muszą się łączyć – zarówno z narodami Europy Zachodniej, jak i przede wszystkim między sobą. Idąc samotnie, nigdy nie będą więcej niż ubogą, zahamowaną w rozwoju prowincją nowoczesnej Europy.

Jan Karski
– Łódź, 27 czerwca 1996 r.

Pierwodruk: Kronika Miasta Łodzi Nr 2/1996

Albo pragmatyzm, albo miłosierdzie

Niedokończona rozmowa z Janem Karskim

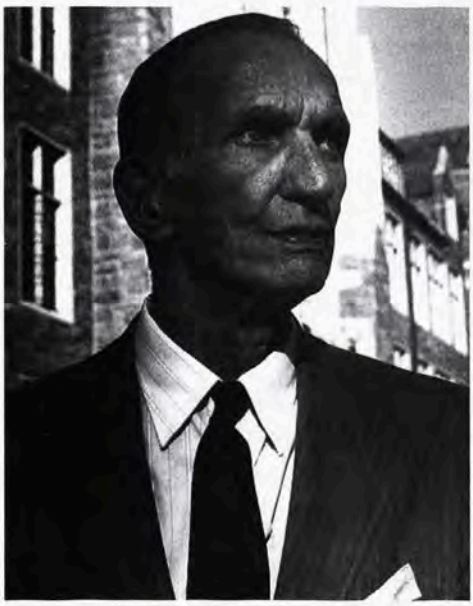

Panie Profesorze, jest Pan rodowitym łodzianinem. Przyjeżdżając tu po wielu latach, jak patrzy Pan na miasto swojej młodości?

Patrzę z wielkim sentymentem na miasto, które opuściłem, wyjeżdżając na studia w 1931 roku jako siedemnastoletni młodzieniec. Łódź, jaką pamiętam, była miastem wielkich kontrastów. Na Piotrkowskiej trwało wartkie wielkomiejskie życie. Były dobre sklepy, restauracje, spacerowali dobrze ubrani eleganccy ludzie. Ale dalej za śródmieściem widziało się strasznie dużo biedy i zaniedbania. Kobiety, takie ubogie robotnice, nie chodziły w zimie w płaszczach, one okrywały się przed chłodem tylko dużymi chustami. Wełnianymi chyba. Takiego widoku nie było w innych miastach. Nigdzie czegoś podobnego już nie widziałem, ani we Lwowie, ani w Warszawie. Z tym strasznym zaniedbaniem Łodzi próbował walczyć prezydent miasta Bronisław Ziemięcki. Był socjalistą i legionistą. Pamiętam, że zbudował w Łodzi kilka nowych szkół, szpitali i osiedle na Polesiu Konstantynowskim. Nowego budownictwa było niewiele w morzu potrzeb, ale idąc do szkoły przy ulicy Sienkiewicza, lubiłem patrzeć, jak powstają też w śródmieściu nowoczesne kamienice. I to mnie cieszyło. Myślałem jako sztubak – minie jeszcze pięć, dziesięć lat i w Łodzi będzie pięknie.

Gdzie Pan mieszkał?

Przy ulicy Kilińskiego, tuż przy dworcu Łódź Fabryczna. Tej kamienicy już nie ma. To była duża trzypiętrowa kamienica, miała część frontową i dwie oficyny. Na wybrukowanym podwórku bawiłem się z kolegami z tego domu. Miałem niedaleko do gimnazjum. Wyszedłem dzisiaj rano z hotelu i przypomniałem sobie całą moją drogę do szkoły. Dochodziłem do Poczty Głównej i skręcałem w prawo w Przejazd, a potem w lewo do ulicy Sienkiewicza. Wychodziłem z domu wcześniej, aby zawsze przed szkołą wejść po drodze do kościoła. Żeby się pomodlić przed lekcjami. I tak było codziennie od 1927 roku, kiedy wstąpiłem do gimnazjum, aż do matury w 1931 roku. Gimnazjum – ono nosiło wtedy imię Marszałka Piłsudskiego – wspominam jak najlepiej. Dobre męskie gimnazjum. Dyrektorem był Leon Starkiewicz, zacny pedagog. Chodził po korytarzach i zagadywał do uczniów. Pytał, czy są zadowoleni ze szkoły, czy nie mają kłopotów, czym się interesują. Miał bardzo społeczny stosunek do ludzi. Kiedy przemawiał na inauguracji roku szkolnego albo przy innych okazjach, zawsze mówił nam, dorastającym uczniom, abyśmy zwracali uwagę na potrzebę sprawiedliwości społecznej. Mówił do nas: możecie się kształcić, to wasz duży przywilej, ale i obowiązek na przyszłość. Jak się wykształcicie, zdobędziecie dobrą pracę, zawód,

Edmund, Jan Kozielewscy, 1922 r., zbiory prywatne, dzięki uprzejmości rodziny Jana Karskiego | **str. 2**

to nie możecie zapominać o tych, którym jest gorzej – o ludziach biednych, skrzywdzonych przez życie. Nie wiem, czy był socjalistą, ale te jego moralne wskazówki tkwią we mnie do dzisiaj.

Kim byli Pana rodzice?

Rodzinę utrzymywał ojciec. Miał pracownię wyrobów skórzanych, był rzemieślnikiem. Wyrabiał torebki, portfele, portmonetki – taką galanterię skórzaną. Ale też na specjalne zamówienia większe rzeczy, np. siodła, walizki. Czasami bywałem w tym zakładzie, widziałem tam jeszcze jednego rzemieślnika lub czeladnika. Ojciec sam te rzeczy sprzedawał. Był małomównym człowiekiem, poświęcał mi niewiele czasu, dużo pracował. Zmarł wcześnie, zanim rozpocząłem naukę w gimnazjum. Wychowywała mnie matka. Była fanatycznie religijna i jej zawdzięczam moje przywiązanie do wiary katolickiej. Jednocześnie za jej sprawą w naszym domu panował ogromny kult Józefa Piłsudskiego. Ona uwielbiała Marszałka. Był dla niej największym – oczywiście po Kościele – autorytetem. Nie mówiła o Piłsudskim „marszałek". Zawsze wymawiała z najwyższą czcią słowa „Ojciec Ojczyzny". To było jedyne określenie na Piłsudskiego w naszym domu.

W tym kulcie byliśmy wychowani. Mój brat Marian był także entuzjastycznym piłsudczykiem. On uciekł z domu do Legionów, kiedy miał 17 lat. Dom opuścił boso, bo mu matka schowała buty, bała się o chłopaka, który powinien się uczyć, a nie gonić do wojaczki. Brat, starszy ode mnie o osiemnaście lat, był dla mnie bohaterem, wzorem polskiego patrioty. Chciałem być taki jak on, choć uważałem, że mu nigdy nie dorównam. W szkole koledzy uważali mnie za miminsynka, bo nie chodziłem z nimi na różne eskapady, unikałem ryzykownych gier sportowych, żeby nie zniszczyć ubrania, żeby nie kłopotać matki. Bratu zawdzięczam bardzo dużo. On opłacił moje studia uniwersyteckie, załatwiał mi praktyki zagraniczne, pomógł zatrudnić się w MSZ. Dzięki jego stosunkom znalazłem się w służbie dyplomatycznej.

Wróćmy jeszcze do Pana czasów szkolnych. W ówczesnej Łodzi Polacy stanowili tylko nieco więcej niż połowę mieszkańców. Znaczną część ludności stanowili Żydzi, mieszkało tu też kilkadziesiąt tysięcy Niemców. Czy te proporcje miały jakieś odbicie w szkole, do której Pan uczęszczał?

W moim gimnazjum nie przypominam sobie niemieckich chłopców. Może byli, ale ja nie przypominam sobie żadnego. Niemcy mieli swoje gimnazjum, przy al. Kościuszki. Tam się uczyli. Miałem za to w szkole sporo żydowskich kolegów. Z Kubą Przytyckim siedziałem nawet przez jakiś czas w jednej ławce. W „Piłsudskim" uczyło się dużo żydowskich chłopców. Z kilkoma się przyjaźniłem, odwie-

dzaliśmy się w domach. Bracia Izio i Saluś Fuchs, Lejbuś Ejbuszyc, Kaluś Łukawer. To byli mili, inteligentni chłopcy. Nie wiem, jak zginęli. Kilkanaście lat temu spotkałem w Stanach Salusia Fuchsa. Przeżył jakoś Holokaust, a po wojnie został profesorem na uniwersytecie w Corpus Christi w Teksasie. W kamienicy, w której mieszkałem w Łodzi, było kilka rodzin żydowskich i niemieckich. Wszyscy mówili po polsku. Tylko babcia jednego z moich kolegów na podwórzu czasem wzywała go po niemiecku do domu.

Nie słyszało się języka jidysz czy niemieckiego na ulicach Łodzi?

Słyszało się. To było zupełnie naturalne. Nawet idąc Piotrkowską, słychać było stale te języki. Ale polski najczęściej. Ja w pobliżu mego domu słyszałem często rosyjski, kiedy prawosławni, którzy szli do cerkwi przy Kilińskiego, rozmawiali ze sobą. Będąc chłopcem, lubiłem spacerować koło tej cerkwi i słuchać bardzo pięknych śpiewów modlitewnych, ale do środka nie wchodziłem. Cerkiew pozostała dla mnie tajemnicą. Matka na to nie pozwalała, mówiła, że mamy swój kościół. Jeszcze pamiętam: katolicki pod wezwaniem Podwyższenia św. Krzyża. Patrzę, że ta cerkiew stoi do dziś i ma wiernych, tylko wszystkie synagogi zostały zburzone. Nawet w Berlinie została synagoga, ale w Łodzi Niemcy z jakąś straszną zawziętością zburzyli wszystkie. To niepojęte.

Studiował Pan prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Czy po ukończeniu studiów wracał Pan do Łodzi?

Jan Kozielewski (Karski), Warszawa 1935 r., zbiory prywatne dzięki uprzejmości rodziny Jana Karskiego

Studiowałem na wydziale prawa, ale kształciłem się tam w kierunku dyplomacji. Dostałem dyplom magistra nauk dyplomatycznych. Już w gimnazjum byłem przekonany, że będę pracował w dyplomacji. Marzyłem o służbie zagranicznej. Dzięki stosunkom brata podczas studiów wyjeżdżałem w czasie wakacji na praktyki w polskich konsulatach. Praktykowałem w Czerniowcach w Rumunii i w Opolu, wówczas niemieckim. A potem, po ukończeniu podchorążówki w 1936 roku, wysłano mnie do Genewy do misji przy Międzynarodowej Organizacji Związków Zawodowych, a w rok później do ambasady w Londynie. Byłem młody, szczęśliwy. Bardzo dobrze zarabiałem. To się nazywało złapać Pana Boga za nogi...

Zapytałem o Pana dalsze kontakty z miastem rodzinnym...

Kiedy poszedłem na studia we Lwowie, brat był tam komendantem policji. Dzięki niemu zatrzymałem się tam, wybrałem Uniwersytet Jana Kazimierza. Do Lwowa brat sprowadził też wkrótce matkę. Wynajął mieszkanie, opiekował się nami, finansował moje studia. Do Łodzi już nie wróciliśmy. Matka zmarła w 1935 roku. Potem brat został przeniesiony do Warszawy, był komendantem policji w stolicy. Mnie praca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych też związała z Warszawą. W Łodzi byłem jeszcze krótko, chyba w 1938 roku. Zaskoczyły mnie napisy na ścianach: „Nie kupuj u Żyda". Tego wcześniej nie widziałem. Kiedy opuszczałem to moje rodzinne miasto w 1931 roku, panował tu duch „socjalistyczny", rządził prezydent z PPS-u, nie odczuwałem w ogóle antysemityzmu, a na pewno nie takiego agresywnego. Bardzo mnie to wtedy zdenerwowało, chciałem interweniować, napisałem nawet list w tej sprawie do komendanta policji w Łodzi. Przeżyłem to mocno jako katolik, bo nie można dyskryminować ekonomicznie tylko dlatego, że ktoś jest innej narodowości czy pochodzenia.

Nie przeczuwał Pan, że będzie jeszcze gorzej. Nie spodziewał się Pan wojny i tego, co ona przyniosła?

W 1935 roku, będąc w Niemczech na kolejnej praktyce konsularnej, zostałem zaproszony jako przedstawiciel polskiej młodzieży do Norymbergi. Wtedy stosunki między Polską a Niemcami były dobre. Na zjazd do Norymbergi przyjechali też młodzi Francuzi, Belgowie, Duńczycy, Węgrzy. Nie pamiętam, czy byli Czesi. Chyba nie. Młodzi Niemcy byli w euforii, jakieś dziarskie przemarsze, jakieś sztandary, mundury Hitlerjugend. Potem rozbłysły reflektory i na podium wyszedł Goering, marszałek III Rzeszy. I z wielkich megafonów popłynęło jego przemówienie. Głównie to, że młodzież niemiecka należy do rasy wyższej i dlatego musi zapanować nad światem. Dzięki temu zapanuje porządek i pokój. Widziałem, jak na jego słowa reagują niemieckie dziewczyny i chłopcy. To był szał szczęśliwych ludzi, klaszczących, wiwatujących, gotowych na wszystko. Przemknęła mi przez głowę myśl, że gdybym urodził się w

Niemczech, też cieszyłbym się, że należę do rasy wyższej. I tak stałem i patrzyłem na moich rówieśników z innych krajów Europy, którzy poczuli się nagle tak jak ja nieswojo. Nie wiedzieliśmy wtedy jako goście, że ten wiec w Norymberdze był propagandową oprawą hitlerowskich ustaw, które ograniczały prawa Żydów i były początkiem drogi, która prowadziła do Holokaustu. Wtedy w 1935 roku byłem naiwny. Ale nie tylko ja. Byli tacy, którzy nie wierzyli w nazistowskie ludobójstwo wtedy, kiedy się ono dokonywało. Świat w to nie chciał uwierzyć.

Jako emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego bardzo Pan ryzykował. Przedostał się Pan do getta warszawskiego, potem do obozu zagłady, żeby możliwie najwierniej przekazać zachodnim demokracjom wiadomości o dokonującym się ludobójstwie. Pana odwaga i poświęcenie nic nie przyniosły. Politycy nie chcieli na ten temat rozmawiać, zajęci strategicznymi planami zakończenia wojny. Alianci nie podjęli pomysłu zbombardowania linii kolejowych, którymi jechały transporty Żydów do Auschwitz czy Treblinki. Dlaczego Pana raport spotkał się z obojętnością?

To nie była obojętność. Za tym stała wielka polityka. Polityków angielskich i amerykańskich interesował najskuteczniejszy sposób zakończenia wojny.

Marian Kozielewski, brat Jana z żoną Jadwigą, lata 30. XX w. | **str. 6**

Churchillowi i Rooseveltowi do zakończenia wojny potrzebny był Stalin i jego wielka armia, a nie polski ruch oporu, polski wysiłek konspiracyjny. Już nie chcę wspominać nawet Powstania Warszawskiego. Alianci zachodni gotowi byli do takiego wysiłku militarnego przeciwko Niemcom, który przynosił wymierne sukcesy. W takim pragmatycznym planie nie było miejsca na bombardowanie torów, którymi jechały transporty z gett do obozów zagłady. To by nie miało żadnego wpływu na skrócenie linii frontu.

Albo pragmatyzm, albo miłosierdzie. Jestem już stary i doszedłem do wniosku, że do miłosierdzia w ciężkich chwilach byli zdolni tylko niektórzy, zupełnie zwykli ludzie. Zwykli, ale przecież bardzo niezwykli. To ci, co ratowali potrzebujących, którym udało się uciec z getta albo z pociągu wiozącego ich na śmierć. Ratowali w odruchu serca albo dlatego, że czuli się chrześcijanami, choć wiedzieli, że za pomoc Żydowi groziła kara śmierci. Izrael przyznaje im medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata", ale oni tak naprawdę ratowali tylko swoje sumienie. I przy tej okazji ratowali sumienie świata. Tylko że gdyby tych „sprawiedliwych" było nawet dziesięć razy więcej, sumienie świata wiele by nie zyskało.

Rozmawiał:
Gustaw Romanowski

Nagranie tej nieopublikowanej rozmowy powstało 26 czerwca 1996 roku podczas pierwszego pobytu Profesora w Łodzi. Wywiad miał być pierwotnie przeznaczony do „Rzeczpospolitej", w której wówczas pracowałem. Jan Karski był zmęczony i w pewnym momencie poprosił o przerwanie nagrania. Mieliśmy je kontynuować nazajutrz. Napięty program spotkań i nie najlepsze samopoczucie Profesora spowodowały, że do rozmowy już nie wróciłem, a wywiad pozostał nieukończony. G.R.

WiMiP im. J. P. w Łodzi
10671-A

Gabinet Profesora Jana Karskiego w Muzeum Miasta Łodzi

Wracasz tam, skąd się wziąłeś...

Rok 2014, którego wielką postacią wizerunkową został Jan Karski, jest okresem aktywizacji wielu instytucji kulturalnych w kraju i za granicą. Również dla Muzeum Miasta Łodzi stał się okazją, by przypomnieć jedną z najważniejszych postaci Panteonu Wielkich Łodzian oraz wyjątkową w swoim rodzaju kolekcję, która została zgromadzona w Gabinecie Profesora Jana Karskiego.

W momencie jego otwarcia w październiku 1999 roku Gabinet był pierwszą na świecie ekspozycją poświęconą Janowi Karskiemu, postaci znanej i szanowanej ze względu na jej postawę w czasie drugiej wojny światowej, dokonania naukowe i autorytet moralny. Wyjątkowość łódzkiej wystawy polega przede wszystkim na tym, że zaprezentowane obiekty – memorabilia stanowiące świadectwo życia i dokonań tego wybitnego łodzianina – zostały przez niego osobiście ofiarowane, a Gabinet otworzył z nieukrywanym wzruszeniem sam Profesor. Podkreślił wtedy nieprzypadkowy wybór miejsca, którym była Łódź – miasto jego urodzenia, gdzie, jak sam często mówił, spędził najlepsze lata swojego życia. Tym samym Muzeum Miasta Łodzi wzbogaciło się o kolejną ważną wystawę, która nawiązuje do historii i kultury miasta oraz jej twórców.

Walorem Muzeum zawsze było miejsce – Pałac Poznańskich z bogatą architekturą i urokliwymi wnętrzami oraz historia rodziny, która koresponduje z najciekawszym dziewiętnastowiecznym okresem Łodzi, miasta wielu narodów i kultur. Idea powstania Gabinetów tworzących Panteon Wielkich Łodzian zrodziła się po śmierci Artura Rubinsteina, kiedy dzięki staraniom Muzeum żona artysty Aniela Młynarska-Rubinstein podarowała Muzeum w jego rodzinnym mieście cenne dokumenty i pamiątki związane z osobą wirtuoza i jego bogatą działalnością artystyczną i społeczną. W kwietniu 1984 roku dokonano otwarcia czasowej wystawy, a w trakcie jej trwania narodził się pomysł utworzenia stałej Galerii Muzyki im. Artura Rubinsteina, którą otwarto w 1990 roku, prezentując największą na świecie kolekcję poświęconą znakomitemu

pianiście. W następnych latach powstały kolejne wystawy, Gabinety poświęcone wybitnym i zasłużonym – nie tylko dla miasta – łodzianom. W tej grupie znaleźli się: kompozytor Aleksander Tansman, pisarz Władysław St. Reymont, poeta Julian Tuwim, tłumacz literatury i poeta Karl Dedecius, pisarz Jerzy Kosiński. Do tego grona dołączyli także bohaterowie drugiej wojny światowej – Jan Karski oraz Marek Edelman.

Powroty po latach

Historia powstania Gabinetu Profesora Jana Karskiego w Muzeum Miasta Łodzi sięga czasu jego powrotów do pierwszej ojczyzny. Karski po wielu latach spędzonych w Ameryce odwiedzał Polskę, odbierając dowody uznania za swoje zasługi. Jednak jego pierwsza od zakończenia wojny wizyta w 1974 roku była związana z poszukiwaniami i studiami archiwalnymi w warszawskim Archiwum Akt Nowych. Będąc stypendystą Fundacji Fulbrighta, zbierał materiały do swojej, jak się później okazało, najważniejszej książki *Wielkie mocarstwa i Polska 1919-1945. Od Wersalu do Jałty.* Kolejny powrót do Polski miał miejsce dopiero w 1991 roku, kiedy został doceniony i uhonorowany przez Uniwersytet Warszawski, który przyznał mu doktorat *honoris causa.* Dwa lata później Karski ponownie przybył do Warszawy. Został zaproszony przez ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych Billa Clintona jako członek delegacji rządowej do udziału w obchodach z okazji pięćdziesięciolecia powstania w getcie warszawskim. Kolejną ważną datą w historii powrotów Karskiego do Polski był rok 1995. Prezydent RP Lech Wałęsa w dniu Święta Konstytucji 3 Maja przyznał mu najwyższe odznaczenie państwa polskiego, Order Orła Białego. W lipcu tego roku następna polska uczelnia wyższa, Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, przyznała mu doktorat

str. 2 Wizyta w Łodzi w związku z obchodami 575. rocznicy nadania praw miejskich, Muzeum (Historii) Miasta Łodzi, 1998 r.

honoris causa. W końcu przyszła kolej na rodzinne miasto Łódź, które Jan Karski odwiedził w 1996 roku na zaproszenie ówczesnego prezydenta Łodzi Marka Czekalskiego. Szczególną okazją było odebranie doktoratu *honoris causa* przyznanego przez Uniwersytet Łódzki. Karski powrócił do Łodzi po 65 latach, które minęły od momentu, kiedy po zdaniu matury opuścił rodzinne miasto, by rozpocząć studia we Lwowie.

W czasie tej bardzo wzruszającej wizyty odżyły wspomnienia z młodości i refleksje, jak ważną rolę odegrała Łódź w jego dalszym życiu. Karski wówczas wspominał: „Łódź była innym miastem. W zgodzie żyły tu społeczności: polska, żydowska, niemiecka, rosyjska. Miasto przepełniała atmosfera liberalna. Łódź rozwijała się dzięki koegzystencji żyjących tu wielu narodów i kultur". Wielokulturowa Łódź miała wpływ na jego osobowość, a dowodem na to były jego własne słowa, że bez Łodzi nie byłoby emisariusza Karskiego. W czasie wizyty w Łodzi powstała również ważna część zdjęć do filmu dokumentalnego *Moja misja*, którego autorami byli: łódzki dziennikarz i realizator filmowy Michał Fajbusiewicz i osobisty sekretarz Karskiego Waldemar Piasecki. Ten ważny dokument filmowy poświęcony legendarnemu kurierowi z Łodzi miał swoją premierę w lutym 1997 roku. Z relacji Michała Fajbusiewicza wiadomo, że to właśnie wówczas toczyła się ożywiona dyskusja na temat stworzenia ekspozycji poświęconej profesorowi Janowi Karskiemu.

Niewątpliwie istotne były wyznania profesora na temat roli, jaką odegrała Łódź w jego życiu. Te słowa zainspirowały krąg osób do wspierania tego pomysłu, wśród nich znaleźli się: prezydent Łodzi Marek Czekalski i blisko związany z Karskim Waldemar Piasecki. Najważniejszą rolę odegrał jednak sam Karski. Prawdopodobny wydaje się fakt, że już podczas pierwszych odwiedzin rodzinnego miasta w

Wizyta w Łodzi w związku z obchodami 575. rocznicy nadania praw miejskich, Muzeum (Historii) Miasta Łodzi, 1998 r.

1996 roku narodziła się idea przekazania osobistych pamiątek miastu. Rok później, w czasie premiery filmu *Moja misja*, Jan Karski po raz pierwszy złożył deklarację podarowania Łodzi osobistych pamiątek związanych z jego życiem i działalnością, dokonując samodzielnie tego świadomego wyboru. 17 maja 1998 roku Karski po raz drugi odwiedził Łódź, uczestnicząc w obchodach 575 rocznicy nadania jej praw miejskich. Najważniejszym akcentem tego pobytu była publiczna deklaracja podarowania swojemu rodzinnemu miastu osobistych pamiątek, wygłoszona w Muzeum Miasta Łodzi (ówcześnie Muzeum Historii Miasta Łodzi) i przekazanie pierwszych memorabiliów, które stały się zaczątkiem przyszłej muzealnej ekspozycji. Poparcie władz miasta, zaangażowanie lokalnych mediów, szczególnie łódzkiej telewizji, oraz otwartość dyrektora Muzeum Ryszarda Czubaczyńskiego sprawiły, że idea wystawy zaczęła się urzeczywistniać.

Oferta darowizny

2 września 1998 roku w Nowym Jorku została podpisana Oferta Darowizny. W dokumencie zapisano między innymi, że ofiarodawca „przekazuje nieodpłatnie, bezinteresownie, z potrzeby serca – na rzecz Miasta Łodzi zbiór memorabiliów zgromadzonych przez Niego w ciągu całego Jego życia, świadczących o zdarzeniach historycznych, związanych nie tylko z Łodzią, a także dających świadectwo o ludziach z Łodzią związanych". Jednocześnie Profesor Karski wyraził życzenie, aby przekazany zbiór był eksponowany w Muzeum Miasta Łodzi i traktowany jako kolekcja stała i niepodzielna w rozumieniu praktyki muzealnej. Dołączony wykaz obiektów obejmował odznaczenia, nagrody, dyplomy, proklamacje wręczone przez organizacje żydowskie, polskie, amerykańskie (70 obiektów), przedmioty o charakterze artystycznym, w tym obrazy olejne, akwarele, grafiki, rzeźby, fotografie, meble (39 obiektów). Razem na liście znalazło się 109 obiektów, z zaznaczeniem, że „inne drobne pamiątki, które obecnie posiadam w moim pokoju [...] trafią do Muzeum Historii Miasta Łodzi po mojej śmierci, są gotowe do natychmiastowego odbioru z Nowego Jorku". Ten istotny zapis, który znajduje się w uwagach do *Wykazu Memorabiliów*, wyraźnie określa wolę Jana Karskiego przekazania całego zbioru swoich osobistych pamiątek dla rodzinnego miasta.

Po śmierci Profesora historia potoczyła się jednak inaczej, pozostała część memorabiliów trafiła z inicjatywy przyjaciółki i ostatniej towarzyszki jego życia Kai Mireckiej-Ploss do utworzonej w Rudzie Śląskiej ekspozycji dotyczącej Profesora Jana Karskiego, która powstała w ramach działalności Międzynarodowego Instytutu Dialogu i Tolerancji.

Gabinet Profesora Karskiego – zgodnie z jego życzeniem – powstał w Muzeum Miasta Łodzi w październiku 1999 roku. W sprawach organizacji stałej wystawy pełnomocnikiem profesora został Waldemar Piasecki, jego osobisty sekretarz. Kuratorem wystawy z ramienia Muzeum był kustosz dr Marek Budziarek. Koncepcja ekspozycji zakładała wydzielenie dwóch części, recepcyjnej i gabinetowej. Warunki

ekspozycji miały być zbliżone do miejsca zamieszkania Jana Karskiego w Waszyngtonie. Dokonany wybór eksponatów miał łączyć zarówno gusta Profesora, jak i jego żony Poli Nireńskiej. Kurator wystawy podkreślał, że w łódzkim muzeum powstanie prawdziwy gabinet Profesora, gabinet żywy, w którym odwiedzający go goście będą mogli usiąść na kanapie, poczytać gazetę, a nawet napić się kawy. Dzięki zgromadzonym cennym pamiątkom zostanie ukazana droga życiowa Jana Karskiego, postać legendarnego emisariusza, cenionego naukowca, obywatela współczesnego świata. Autorom wystawy udało się zrealizować zamierzenia i stworzyć w przestrzeni ekspozycyjnej część prywatną i oficjalną. W pierwszej znalazły się przedmioty z domu Profesora: meble, obrazy, rzeźby i bibeloty, w drugiej dokumentacja działalności legendarnego kuriera i uniwersyteckiego wykładowcy: dokumenty, listy, fotografie oraz dyplomy, wyróżnienia, odznaczenia, medale pamiątkowe. Szczególną wartość posiadają najwyższe państwowe, cywilne i wojskowe odznaczenia: Order Orła Białego i krzyż srebrny Orderu Virtuti Militari oraz medal Instytutu Pamięci Yad Vashem, także dyplomy: Honorowego Obywatela Państwa Izrael i Sprawiedliwego wśród Narodów Świata oraz doktoraty *honoris causa* uniwersytetów amerykańskich i polskich. Całość stanowi bezcenny i jedyny na skalę światową co do wartości i ilości zbiór pamiątek związanych z życiem i działalnością Jana Karskiego. Bezpośredni kontakt zwiedzających z eksponatami stworzył atmosferę autentycznej obecności w waszyngtońskim mieszkaniu Profesora.

Ta nietypowa ekspozycja miała również być formą powrotu Karskiego do Polski i Łodzi. 2 października 1999 roku Jan Karski osobiście wziął udział w

Gabinet Jana Karskiego w Waszyngtonie, 1996 r.
Fot. z archiwum Michała Fajbusiewicza

uroczystym otwarciu swojego Gabinetu w Muzeum Miasta Łodzi. Wernisaż wystawy połączony został z promocją pierwszego polskojęzycznego wydania jego słynnej książki *Tajne Państwo*, w której na podstawie własnych doświadczeń przedstawił fenomen Polskiego Państwa Podziemnego. Wydana po raz pierwszy w 1944 roku książka stała się bestsellerem wydawniczym nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale także w Europie Zachodniej i przyczyniła się do zmiany wizerunku oraz właściwej oceny Polski i Polaków w czasie drugiej wojny światowej. Dla Jana Karskiego wizyta w Łodzi miała szczególne znaczenie. Otwierając swój własny Gabinet w Muzeum, dzielił się swoimi osobistymi wrażeniami: „Czuję się tu trochę nieswojo, gdy się w nim znajduję. To w końcu cząstka mego życia, którą «oddałem» memu miastu – dumnej i szczęśliwej młodości". Na biurku został wyeksponowany niezwykły list, który Jan Karski wysłał z Waszyngtonu do Jana Kozielewskiego w Łodzi. Napisał w nim między innymi: „Po latach znów mogę do Ciebie pisać pod łódzki adres. Nigdy nie przypuszczałem, że to się zdarzy. [...] Wracasz tam, skąd się wziąłeś. Do Miasta Twojej szczęśliwej i dumnej młodości". Zrobione wówczas zdjęcia Jana Karskiego siedzącego w swoim Gabinecie utrwaliły jego wielkie wzruszenie.

Honorowy Obywatel

Wkrótce potem, w 2000 roku, władze rodzinnego miasta postanowiły przyznać Janowi Karskiemu Honorowe Obywatelstwo Miasta Łodzi. Zaproszony na tę uroczystość profesor po raz ostatni odbył podróż do swojego rodzinnego miasta – jak się okazało, była to też jego ostatnia wizyta w Polsce. 16 maja, w czasie uroczystości nadania Honorowego Obywatelstwa Miasta Łodzi, Karski powiedział między innymi: „Tak naprawdę ja mentalnie stąd nie wyjechałem. [...] Łapię się często na tym, że bez tej Łodzi też mi jakoś w Waszyngtonie nieswojo. Sięgam wtedy po *Kwiaty polskie*". Muzeum Miasta Łodzi otrzymało wówczas w darze Dyplom Honorowego Obywatela oraz Klucze do Miasta, a także kilka innych pamiątek, w tym bardzo cenny dokument – paszport z 1943 roku na nazwisko Jan Karski.

Dwa miesiące później, 13 lipca 2000 roku, nadeszła z Waszyngtonu smutna wiadomość – zmarł legendarny kurier, który głośno mówił o Zagładzie Żydów. Marek Edelman, ostatni przywódca powstania w getcie warszawskim, w czasie uroczystości pogrzebowych powiedział: „Wielkość Jana Karskiego polegała na tym, że blisko sześćdziesiąt lat temu, wbrew wszystkim potrafił opowiedzieć się po stronie prześladowanych, przeciwko przemocy i przeciwko obojętności". Uczestniczący w pogrzebie prezydent miasta Łodzi Tadeusz Matusiak otrzymał i przekazał Muzeum sztandar natrumienny Stanów Zjednoczonych. Jeszcze raz historia zatoczyła koło, wypełniając wolę Karskiego o powrocie pamiątek związanych z jego życiem do Łodzi. Stało się tak również w 2013 roku, kiedy dzięki staraniom rodziny przyznany pośmiertnie rok wcześniej przez Baracka Obamę prezydencki Medal Wolności znalazł swoje honorowe miejsce w Gabinecie Profesora Jana Karskiego w Muzeum Miasta Łodzi.

Gabinet Profesora

Muzeum od początku istnienia Gabinetu Profesora Jana Karskiego realizuje specjalne programy spotkań i wydarzeń o charakterze popularno-naukowym i edukacyjnym. Przypadająca w 2010 roku dziesiąta rocznica śmierci i stulecie urodzin legendarnego emisariusza Polskiego Państwa Podziemnego w 2014 roku stały się okazją do ich rozwinięcia. Od 2010 roku odbywa się cykliczne wydarzenie pod nazwą Tydzień Kuriera Polskiego Państwa Podziemnego, który wypełniają otwarte spotkania tematyczne, lekcje i warsztaty muzealne dla młodzieży szkolnej. W 2012 roku w ramach interdyscyplinarnego projektu *Jan Karski – powrót bohatera* powstało multimedialne wydawnictwo edukacyjne. Znalazły się w nim archiwalia, dokumenty i zdjęcia związane z Janem Karskim, ikonografia dotycząca historii Łodzi oraz miniatury filmowe zawierające wypowiedzi Jana Karskiego oraz wspomnienia jego rodziny.

W 2014 roku w ramach obchodów Roku Jana Karskiego Muzeum przygotowało projekt modernizacji Gabinetu Profesora Jana Karskiego. Celem przedsięwzięcia jest stworzenie wystawy biograficznej, która zachowując dotychczasowy "gabinetowy" charakter, inspirowany wnętrzem waszyngtońskiego mieszkania Profesora, pozwoli na prezentację dostępnych materiałów archiwalnych i audiowizualnych w sposób atrakcyjny, przystępny i spełniający nowoczesne standardy wystawiennicze. Wypełniając wolę Karskiego, Gabinet ma sprawiać wrażenie żywego miejsca, w którym nadal się pracuje i mieszka, skąd Jan Karski właśnie wyszedł. Nowa aranżacja przestrzeni i użycie nowoczesnych środków technicznych stwarza możliwość prezentacji kolekcji w zupełnie nowym świetle. Intencją twórców wystawy jest uzupełnienie tradycyjnej formy ekspozycji o nowe środki przekazu. Zakłada się prezentację części materiału merytorycznego w sposób multimedialny. W aplikacjach znajdą się dodatko-

we materiały opisowe i elektroniczne kopie nieeksponowanych oryginalnych obiektów związanych z historią miasta, które stanowią rozwinięcie tematów zasygnalizowanych przez artefakty ze zbiorów Muzeum. Prezentację wzbogacają w układzie problemowo-chronologicznym wybrane wypowiedzi Jana Karskiego. Ideą twórców wystawy jest bowiem oddanie głosu samemu Profesorowi, który staje się „narratorem" – przewodnikiem po swoim życiu. Wystawa jest opowieścią Karskiego o samym sobie. Dzięki prezentacji fragmentów zarejestrowanych słów Profesora, jak również cytatów z jego publikacji, wywiadów prasowych i radiowych widz będzie miał możliwość podążać za bohaterem.

Realizacja takiej koncepcji pozwoli na poznanie historii kuriera w ciekawy i przystępny sposób, wystawa będzie także pomocna w zrozumieniu realiów drugiej wojny światowej, układów politycznych i społecznych na świecie w tym czasie, widzianych przez pryzmat indywidualnych losów bohatera. Cenne jest wyeksponowanie wątków związanych z łódzkim okresem życia Jana Kozielewskiego, w tym wspomnień z lat młodości. W nowej odsłonie zostają przedstawione zagadnienia związane z historią misji kurierskich podczas drugiej wojny światowej oraz amerykańskiego rozdziału życia profesora Karskiego. Najważniejszą wartością ekspozycji pozostanie kolekcja memorabiliów podarowana osobiście przez Jana Karskiego.

Muzeum Miasta Łodzi realizuje swoją podstawową misję gromadzenia, zachowania i naukowego opracowania i upowszechniania tego, co stanowi wartość w kontekście historii i kultury naszego miasta, ma znaczenie ponadregionalne i jest dziedzictwem kultury w wymiarze europejskim. Wynika to z jednego z wielu przesłań Karskiego, które mówi o potrzebie zachowania śladów minionych epok. W przypadku Jana Karskiego jest to dziedzictwo ogólnoświatowe i ma znaczenie ponadczasowe. Mamy nadzieję, że Rok Jana Karskiego w mieście jego urodzenia zostanie szczególnie zapamiętany dzięki wydarzeniom, które przypomną tę wybitną postać współczesnej historii z łódzkim rozdziałem jego życia.

Cezary Pawlak
– kustosz Muzeum Miasta Łodzi

Ślady i pamiątki

Wybór prezentowanych w Muzeum Miasta Łodzi obiektów z kolekcji memorabiliów Profesora Jana Karskiego

Dyplom ukończenia Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, 1935

Studia na Wydziale Prawa lwowskiej uczelni Jan Kozielewski rozpoczął w październiku 1931 roku. Najprawdopodobniej namówił go do tego jego starszy brat Marian Kozielewski, który był w tym czasie komendantem policji we Lwowie. W czerwcu 1931 roku sprowadził tam swoją matkę i najmłodszego brata Jana oraz zaopiekował się całą rodziną.

Jan Kozielewski tytuł magistra prawa otrzymał 27 września 1935 roku. Takie wykształcenie otworzyło mu drogę do dalszej kariery dyplomaty i ułatwiło współpracę z wieloma placówkami konsularnymi w celu zdobycia odpowiednich praktyk.

Świadectwo Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, 1936

Służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim Jan Kozielewski rozpoczął w 1935 roku, tuż po złożeniu egzaminu magisterskiego na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Szkolenie trwało rok, w czerwcu 1936 roku skończył naukę z ostateczną oceną „bardzo dobrą", uzyskując pierwszą lokatę. Jako prymus otrzymał szablę honorową Prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Miesiąc po zakończeniu szkolenia rozpoczął staż dyplomatyczny w Międzynarodowym Biurze Pracy w Genewie.

Krzyż srebrny orderu Virtuti Militari, 1943

Srebrny Krzyż Orderu Virtuti Militari przyznany Janowi Kozielewskiemu 30 stycznia 1943 roku dekretem Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. Władysława Sikorskiego „w uznaniu wybitnych czynów wojennych".

Paszport Dyplomatyczny, Londyn, 1943

5 maja 1943 roku generał Władysław Sikorski polecił młodemu Kozielewskiemu udanie się z tajną misją do Stanów Zjednoczonych. Kurier otrzymał paszport dyplomatyczny wystawiony na nazwisko **Jan Karski**. Dokument wydany został w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych na okres jednego roku: od 07.05.1943 do 31.05.1944. Paszport posiada strony przeznaczone na adnotacje informujące o przekroczeniu granic. Znajdują się tam odciski 18 pieczątek tuszowych, wbijanych jako wizy dyplomatyczne tranzytowe w Portugalii, Gambii, Trynidadzie, Bermudach, Nowej Fundlandii, USA (Nowym Jorku) i w Kanadzie. Dzięki tym adnotacjom można prześledzić trasę misji kurierskich Karskiego.

***Story of a Secret State*, Wydawnictwo Houghton Mifflin Company, Boston 1944**

Pierwsze wydanie książki *Tajne Państwo*. Książka stała się bestsellerem na rynku wydawniczym w czasie drugiej wojny światowej. W listopadzie 1944 roku w Bostonie odbyła się premiera wydania. Tylko do końca wojny w USA sprzedano 360 tysięcy egzemplarzy. Książka opowiada o wojennych przeżyciach tajnego kuriera Polskiego Państwa Podziemnego, działalności polskich konspiratorów, opisuje też dramat narodu żydowskiego w warszawskim getcie i obozie przejściowym w Izbicy. Książka napisana została między marcem a sierpniem 1944 roku, po dekonspiracji Jana Karskiego, kiedy jego powrót do kraju stał się niemożliwy. „Moja książka nie jest dokumentem. Jest opowieścią opartą na osobistych doświadczeniach. Pisząc ją, starałem się posługiwać moją pamięcią wiernie i uczciwie".

W 1999 roku, po 55 latach, książka doczekała się polskiej edycji. Podczas uroczystego otwarcia Gabinetu Profesora Jana Karskiego w Muzeum (Historii) Miasta Łodzi miała miejsce również jej promocja.

Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, Izrael, 1982

Medal przyznany został Janowi Karskiemu w 1982 roku przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie.

Awers przedstawia wyobrażenie kuli ziemskiej oplecionej drutem kolczastym. W otoku umieszczono napis po hebrajsku: „Ktokolwiek ratuje jedno życie, ten jakby cały świat ratował".

Rewers przedstawia budynek Sali Pamięci Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie. Poniżej dwuwierszowy napis w języku hebrajskim: „Dowód wdzięczności narodu żydowskiego". Niżej wygrawerowano: „Á JAN KARSKI" i inne inskrypcje. Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata jest najwyższym izraelskim odznaczeniem cywilnym nadawanym nie-Żydom. Medal i towarzyszący mu dyplom zostały powołane

dekretem parlamentu izraelskiego – Knesetu w 1963 roku, przyznawany jest przez Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Yad Vashem w Jerozolimie.

Dyplom medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, Izrael, 1982

Dyplom medalu Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata, przyznanego 2 czerwca 1982 roku Janowi Karskiemu przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie. W centrum dokumentu, na tle tekstu, umieszczono wizerunek medalu. Tekst wydrukowano w dwóch kolumnach, w lewej po francusku, a w prawej po hebrajsku. W środku odręcznie wpisano czarnym tuszem nazwisko „Jan Karski" alfabetem łacińskim i hebrajskim. Dokument podpisali przedstawiciele Instytutu Yad Vashem i Komisji Sprawiedliwości (podpisy nieczytelne).

List Jana Karskiego do Jana Kozielewskiego, 1999

Prezentowany list jest świadectwem symbolicznego powrotu Jana Karskiego do rodzinnego miasta. Wysłany został z Waszyngtonu na papierze firmowym z napisem „Georgetown University School of Foreign" 23 września 1999 roku, tydzień przed uroczystym otwarciem w Muzeum (Historii) Miasta Łodzi ekspozycji stałej – Gabinetu Profesora Jana Karskiego.

Słowa zawarte w liście świadczą o tym, że ich autor pomimo tego, że dawno opuścił rodzinne miasto, powracał do niego myślami. Dzieciństwo i młodość spędzone tutaj miały wpływ na jego osobowość. Wspominając młodzieńcze lata, powiedział: „Moja jednak świadomość, charakter i osobowość wyłaniały się w Polsce. Poprzez ten język, te realia i tych ludzi. Wracam zatem do źródeł oraz tak naprawdę ja mentalnie stąd nie wyjechałem. Bez tamtej Łodzi pewnie nie byłoby dzisiejszego Karskiego. Łapię się często na tym, że bez tej Łodzi też mi jakoś w Waszyngtonie nieswojo. Sięgam wtedy po *Kwiaty polskie*. Ulubionym polskim poetą Karskiego był właśnie Julian Tuwim, a do poematu *Kwiaty polskie* sięgał wyjątkowo często, czytając jego fragmenty wielokrotnie i z dużym sentymentem. Stąd też w wysłanym liście do Łodzi zaczerpnął cytat z tego utworu.

Opracowała: Beata Kamińska,
kustosz Muzeum Miasta Łodzi

Mogliśmy wszystko sobie powiedzieć…

Z Kają Mirecką-Ploss, przyjaciółką Jana Karskiego, rozmawia Maja Jakóbczyk

Przyjaźniła się Pani z Janem Karskim przez 20 lat. W jednym z wywiadów prasowych powiedziała Pani, że w ostatnich latach była „towarzyszką jesieni życia" tego niezwykłego człowieka. Kim był dla Pani Jan Karski?

W ostatnich dziewięciu latach życia Jana Karskiego byłam jego najbliższą przyjaciółką i towarzyszką życia, jestem także wykonawczynią jego testamentu. Znając go tyle lat, oczywiście mam wiele wspomnień, ważnych i mniej ważnych. Jedno z najważniejszych wspomnień jest związane z niedzielą na cztery dni przed jego śmiercią. Jak zawsze w niedzielę pojechaliśmy do kościoła […] Jan Karski był bardzo religijnym człowiekiem i zawsze się serdecznie modlił. Również tak było w tę niedzielę, nie odwrócił się nawet na moment, ani na prawo, ani na lewo, miał ręce złożone i modlił się… Gdy wróciliśmy do domu, zapytałam: „O co się tak modliłeś?". A on mi na to odpowiedział: „Modliłem się o spokojną śmierć". Ujął moje ręce i poprosił: „Pochowaj mnie, Kaju, obok mojej żony. Jej grób jest tylko kilka kroków od grobu mojego brata Mariana Kozielewskiego. Mój brat i moja żona oboje popełnili samobójstwo, a ja do końca swojego życia będę się czuł winien ich śmierci".

Mieliśmy serdeczny stosunek do siebie i mogliśmy sobie wszystko powiedzieć. Ja potrafiłam opowiedzieć mu rzeczy, o których wcześniej nikomu nie mówiłam – o biedzie, którą przeżyłam w dzieciństwie, o obozie, w którym byłam w czasie wojny – o tym wcześniej nie chciałam mówić i pisać. On wiedział o rzeczach, o których nie mogłam powiedzieć ani jednemu, ani drugiemu mojemu mężowi. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Mogliśmy wszystko sobie powiedzieć…

Wspomniała Pani dwie ważne postaci w życiu Karskiego – jego żonę Polę Nireńską, wybitną tancerkę pochodzenia żydowskie-

go, i starszego brata Mariana Kozielewskiego, jego mentora i opiekuna. Jan Karski nie mógł się pogodzić z ich samobójczą śmiercią...

Jan Karski często wspominał, o tym, że poprosił Polę, żeby dla niego przeszła na katolicyzm, a ona zrobiła to chętnie, z upływem lat czuła się jednak coraz bardziej winna, że zdradziła Żydów, zwłaszcza kiedy dowiedziała się, jak umarła jej siostra w Oświęcimiu. Próbowała wielokrotnie odebrać sobie życie. Popełniła samobójstwo w 1991 roku.

A jeśli chodzi o jego brata, to Marian Kozielewski był starszy od Janka o osiemnaście lat, a Janek wpatrzony w niego jak w ojca. Kozielewski był przed drugą wojną światową komendantem policji w Warszawie. Dla takich ludzi nie było miejsca w komunistycznej Polsce i dlatego Janek za każdą cenę chciał wydobyć brata i jego żonę z Polski. Ale nie miał pieniędzy, żeby ktoś przeprowadził ich przez granicę na Zachód. Janek, świeżo upieczony profesor na Georgetown University, wpadł wtedy na pomysł – wziął pożyczkę z banku, kupił bardzo stary, zniszczony dom na Kapitolu, obok Senatu i Kongresu, i przez rok sam po pracy na uniwersytecie szedł tam i ten dom naprawiał [...] Sprzedał dom z zyskiem, oddał pożyczkę, a za resztę pieniędzy sprowadził brata i jego żonę do Kanady, gdzie kupił dla nich małą farmę. Jednak ani on, ani jego żona nie mówili po angielsku, mieszkali z dala od Polaków, na farmie nigdy wcześniej nie pracowali i nie wiedzieli od czego zacząć [...] Marian Kozielewski popełnił samobójstwo w 1964 roku, pozostawiając Karskiemu bolesny list. Został pochowa-

Kaja Mirecka-Ploss w Gabinecie prof. Jana Karskiego, fot. B. Szafrańska

ny na najstarszym cmentarzu katolickim pod Waszyngtonem. Żeby być blisko brata, Karski kupił dla siebie miejsce na tym cmentarzu [...] Jan Karski był człowiekiem złamanym i postacią tragiczną, żył z poczuciem winy [...] to nie był człowiek, który się kiedykolwiek roześmiał na cały głos. Nigdy go nie widziałam śmiejącego się mocno. On tak naprawdę uśmiechał się tylko...

Karski często przywoływał bolesne obrazy z czasów drugiej wojny światowej. Przygotowując się do jednej z misji kurierskich, dwukrotnie przedostał się na teren warszawskiego getta, był także w obozie przejściowym w Izbicy. Shoshana Felman, francuska krytyczka i badaczka literatury, powiedziała o nim, że jest „najbardziej uczciwym, szlachetnym, współczującym świadkiem z zewnątrz, posłańcem czasu wojny".

Karski wspominał, że pierwszym obrazem, który ujrzał po wejściu do getta, był mały, półnagi chłopczyk leżący na ulicy. Karski mówił, że nie ma nocy, aby nie widział tego chłopca. To była jego tragedia, ale i największa inspiracja do walki z antysemityzmem [...] Nie zgadzam się jednak z opinią, że walczył tylko i wyłącznie z antysemityzmem, troszczył się tylko i wyłącznie o Żydów. To nieprawda. Jan Karski był wyjątkowo czułym na cierpienia ludzkie człowiekiem i z równą siłą walczył z antysemityzmem, jak i z rasizmem, walczył o prawa biednych i niepełnosprawnych. To on mnie namówił, żebym pieniądze, które otrzymałam po rozwodzie z moim mężem, przeznaczyła na polskie dzieci: „Nie musisz ich prowadzić do Holocaust Museum, wystarczy, jak przejdą się ulicą i zobaczą cztery świątynie obok siebie – każda innej wiary, zobaczą ludzi o różnych kolorach skóry – to nauczą się tolerancji. Zacznij od dzieci, Kaju!". [...] Dzięki Janowi Karskiemu przy współpracy z Fundacją Jolanty Kwaśniewskiej sprowadziłam ponad 200 dzieci do Stanów Zjednoczonych na dwutygodniowe wakacje. To on namówił mnie na to i przeznaczył pięć tysięcy dolarów na przyjazd pierwszej dwudziestoosobowej grupy z Polski w 2000 roku.

W Stanach Zjednoczonych Karski jest znany jako jeden z najbardziej zasłużonych wykładowców akademickich polskiego pochodzenia. Przez 40 lat był związany z Uniwersytetem Georgetown w Waszyngtonie, gdzie wykładał stosunki międzynarodowe. Od swoich studentów otrzymał wiele wyróżnień „dla najlepszego wykładowcy roku", które dziś są prezentowane na wystawie stałej w Muzeum Miasta Łodzi.

Sława Jana Karskiego to nie tylko to tutaj i nie tylko wśród Żydów. On wychował cztery pokolenia młodych Amerykanów na Uniwersytecie

Georgetown w Waszyngtonie. Wśród nich jest między innymi Stephen Mull, ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce. Każdy z jego studentów jest dzisiaj na wysokim stanowisku.

Z pomocą dawnych studentów stworzyłam między innymi Nagrodę imienia Jana Karskiego, której pierwszą laureatką w 2002 roku została Janina Ochojska. Chciałabym, aby w Ameryce Karski dołączył do Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki jako trzeci największy bohater, żeby były ulice Karskiego, specjalne stypendia edukacyjne, żeby dzieci uczyły się w szkole tolerancji w stosunku do ludzi o odmiennym kolorze skóry, innej religii, biednych i upośledzonych. O to walczył Jan Karski i to jest jego spuścizna.

Wspomnienia zapisała:
Maja Jakóbczyk, zastępca dyrektora Muzeum Miasta Łodzi

Kaja Mirecka-Ploss, aktorka, projektantka mody, pisarka. W latach drugiej wojny światowej więźniarka obozów koncentracyjnych, przyjaciółka Jana Karskiego. 5 czerwca 2012 roku na zaproszenie Muzeum Miasta Łodzi przyjechała do Łodzi. Inspiracją do wizyty była promocja jej najnowszej książki *Kobieta, która widziała za dużo*. Wydarzenie stało się okazją do wspomnień o wieloletniej przyjaźni z legendarnym kurierem Polskiego Państwa Podziemnego.

Rozmowa została zarejestrowana, a jej fragmenty wykorzystane także w miniaturze filmowej zamieszczonej w multimedialnym wydawnictwie edukacyjnym *Jan Karski – powrót bohatera*.

Droga Jana Kozielewskiego

Bohater bolesnej epoki

Droga Jana Kozielewskiego (Karski to jego nazwisko konspiracyjne) do światowej sławy biegła z wieloetnicznej Łodzi poprzez szkołę średnią, harcerstwo, religijne wychowanie domowe i Sodalicję Mariańską, studia dyplomatyczne na Uniwersytecie Lwowskim, działalność w piłsudczykowskim ruchu studenckim (Legionie Młodych), szkołę podchorążych rezerwy artylerii konnej we Włodzimierzu Wołyńskim, praktykę językową i dyplomatyczną w Opolu, Genewie i Londynie oraz w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych do 1939 roku.

Emisariusz

Druga wojna światowa dramatycznie wzbogaciła doświadczenia początkującego, ambitnego dyplomaty. Uciekając z sowieckiego obozu jeńców wojennych, uniknął tragicznej śmierci swych kolegów zamordowanych przez NKWD w Katyniu. Bardzo wcześnie stał się aktywnym żołnierzem Służby Zwycięstwu Polski, później Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej, trzykrotnie wyznaczonym przez Delegata Rządu RP do misji z informacjami o sytuacji w rozbudowywanym Polskim Państwie Podziemnym.

Druga misja przez góry Beskidu Sądeckiego mogła zakończyć się tragicznie. A to w związku z samobójczą próbą Kozielewskiego, aby nie załamać się podczas tortur i nie ujawnić gestapo ważnych informacji. Został wtedy odbity z aresztu szpitalnego w Nowym Sączu przez grupę członków PPS – WRN, zorganizowaną przez Józefa Cyrankiewicza, późniejszego wieloletniego premiera PRL.

Przed swoją trzecią misją Jan Kozielewski „Witold" poznał poglądy przywódców Bundu i ruchu syjonistycznego w związku z tragicznym losem ludności żydowskiej w Polsce. Z ich inspiracji zdołał naocznie poznać realizację zbrodniczej polityki niemieckiej w getcie warszawskim i w tranzytowym obozie śmierci w Izbicy Lubelskiej. Oglądanie z bliska śmierci narodu żydowskiego, brutalnych scen traktowa-

nia dzieci, kobiet i mężczyzn przez hitlerowskich oprawców ukształtowało wrażliwość moralną wobec Holokaustu bohaterskiego emisariusza.

Związany ideowo z Frontem Odrodzenia Polski, którego twarzą była pisarka katolicka Zofia Kossak-Szczucka, wiózł do Londynu, a później do Waszyngtonu pamięć o tych scenach i *Protest* FOP: „Świat patrzy na tą zbrodnię straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje, i milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonuje się wśród powszechnego złowrogiego milczenia. Milczą kaci, nie chełpią się tym, co czynią. Nie zabierają głosu Anglia ani Ameryka, milczy nawet wpływowe międzynarodowe żydostwo, tak dawniej przeczulone na każdą krzywdę swoich. Milczą i Polacy. Polscy przyjaciele Żydów ograniczają się do notatek dziennikarskich, polscy przeciwnicy Żydów objawiają brak zainteresowania dla sprawy im obcej. Ginący Żydzi otoczeni są przez samych umywających ręce Piłatów... Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie rozumie – nie jest katolikiem... Kto tego nie rozumie, kto dumną, wolną przyszłość Polski śmiałby łączyć z nikczemną radością z nieszczęścia bliźnich – nie jest przeto ani katolikiem, ani Polakiem".

Autorzy tych słów wkrótce założyli Radę Pomocy Żydom „Żegota" przy Delegaturze Rządu RP i nieśli pomoc potrzebującym, choć tylko na stosunkowo skromną skalę. Ale i tak blisko 10 tysięcy Polaków zostało zamordowanych przez Niemców za niesienie pomocy Żydom, a ponad pięć tysięcy otrzymało tytuł Instytutu Yad Vashem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Postać dla Żydów święta...

Karski zrobił wszystko, by Rząd RP w Londynie poinformował mocarstwa alianckie i światową opinię publiczną o zbrodni Holocaustu. Sam powiadomił o tej zbrodni i postulatach żydowskiego ruchu oporu w Polsce Delegata Rządu RP, Dowódcę ZWZ-AK, Premiera i Naczelnego Wodza oraz przywódców mocarstw anglosaskich, na czele z Anthonym Edenem i Franklinem Delano Rooseveltem, a także przywódców Żydów angielskich i amerykańskich. Efekt zabiegów Karskiego był bardzo skromny. Przywódcy mocarstw alianckich nie traktowali pomocy dla resztki żyjących Żydów w krajach niemieckiej okupacji jako priorytetowego zadania strategicznego. Przyjęli postawę osławionych Piłatów.

Naród żydowski, pamiętając o zasługach Jana Karskiego, przyznał mu tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata w 1982 roku i honorowe obywatelstwo Izraela w 1994 roku. Szewach Weiss, przewodniczący parlamentu Izraela, nazwał tego bohaterskiego Polaka „postacią dla Żydów świętą. Karski był nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla. Komu bardziej – podkreślał Weiss – mogła się ona należeć niż temu Posłowi Pokoju".

Postawa etyczna Karskiego jako praktykującego katolika budziła podziw Kościoła amerykańskiego, który wyróżnił go nagrodą Piusa XI. Kościół polski obdarzył go Nagrodą Brata Alberta, a na stulecie urodzin przygotowuje w Archikatedrze Łódzkiej tablicę pamiątkową.

Pisarz polityczny

Karski był bohaterem Polskiego Państwa Podziemnego, któremu poświęcił opublikowaną w Bostonie w listopadzie 1944 roku w nakładzie 360 tysięcy egzemplarzy pracę *Story of a Secret State* [Opowieść o państwie podziemnym]. Praca ta powstała w związku z jego misją informacyjną do USA, rozpoczętą w czerwcu 1943 roku na rozkaz Premiera i Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego. Pokazał w niej rozmiary polskiego ruchu oporu, który w samej Armii Krajowej skupił wtedy ponad 300 tysięcy członków. Uprzytomnił amerykańskim czytelnikom, jak działa struktura Państwa Podziemnego: Delegatura Rządu RP, jego tajna administracja obejmująca wszystkie główne aspekty życia społecznego, tajne sądownictwo, bogata wielopartyjna prasa, tajna edukacja wszystkich szczebli, tajne życie gospodarcze i samopomoc społeczna oraz życie religijne. Podkreślił w książce szczególną bohaterską postawę polskich kobiet. Wiele uwagi poświęcił polityce eksterminacji obejmującej ludność żydowską i polską. Cenzura amerykańska ze względu na sojusznika wojennego – Związek Sowiecki nie pozwalała Karskiemu napisać o sowieckiej polityce eksterminacyjnej.

Zasługi Jana Karskiego dla Podziemnego Państwa Polskiego to nie tylko wspomniane misje rządowego emisariusza, ale też ofiarna działalność w Akcji „N", polegająca na informowaniu niemieckich żołnierzy i funkcjonariuszy cywilnych o zbrodniach hitleryzmu. To także działalność w krakowskiej prasie konspiracyjnej i Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, w Ministerstwie Informacji i Propagandy Rządu Polskiego w Londynie oraz w misji informacyjno-propagandowej w USA. Współpracując z Instytutem Hoovera, Karski wraz z Józefem Garlińskim i Kajetanem Morawskim zabezpieczał dla potomności przed komunistyczną ingerencją dokumenty polskiej działalności wojennej. Polsce poświęcił swą podstawową pracę naukową *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919-1945. Od Wersalu do Jałty*, którą napisał już jako profesor Georgetown University w Waszyngtonie. Z uczelnią tą związał się w 1953 roku.

Surowy świadek historii

Polskie władze na uchodźstwie i krajowe III Rzeczypospolitej doceniły zasługi tego bohatera XX wieku, odznaczając go dwukrotnie Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari oraz Komandorią Odrodzenia Polski i Orderem Orła Białego przyznanym mu 3 maja 1995 roku przez Prezydenta RP Lecha Wałęsę.

Trzy polskie uniwersytety przyznały mu doktoraty honorowe. Jest też Karski patronem kilku stowarzyszeń i fundacji.

Podczas uroczystości nadania Komandorii Jan Karski w Londynie 18 lipca 1986 roku wypowiedział w obecności Prezydenta RP na obczyźnie Kazimierza Sabbata znamienne słowa: „Wobec majestatu tej, co nie zginęła, przychodzi mi na myśl strofa, którą, pamiętam, nauczyła mnie Matka, kiedy byłem w gimnazjum. Siedzi mi ta strofa w sercu – ale w tym budynku i w tym gronie powiem ją na głos: «Rzadko

na moich wargach, niech warga ta moja dziś wyzna – jawi się krwią przepełniony wyraz – Ojczyzna»".

W setną rocznicę urodzin Emisariusza Sejm RP uchwalił rok 2014 Rokiem Jana Karskiego.

Praca ze studentami Georgetown University, współpraca z Pentagonem i CIA, liczne kontakty i odczyty w USA i w Azji, a także rozmowy z działaczami Polonii Amerykańskiej i Jerzym Giedroyciem, a potem kontakty z krajem pozwoliły Karskiemu na krytyczny dystans wobec przemian zachodzących w Polsce. Podkreślał, że rodacy muszą nauczyć się demokratycznych zasad współżycia obywatelskiego i przestrzegania demokratycznych procedur poszanowania dla władz wyłonionych w demokratycznych wyborach.

Pod koniec życia schorowany i coraz bardziej samotny Karski (po samobójczej śmierci ukochanego brata Mariana, a potem żony w 1992 roku) miał odwagę stawiać sobie i rodakom trudne pytania. Czy słuszna była droga szastania polskimi ofiarami w latach drugiej wojny światowej, przede wszystkim w czasie Powstania Warszawskiego? Czy wolny świat postępował etycznie wobec Żydów i innych cierpiących narodów?

Od rodaków oczekiwał więcej obiektywizmu, realizmu politycznego, rzeczywistej solidarności, a przede wszystkim wydajnej pracy. Za Ignacym Janem Paderewskim, światowej sławy pianistą, powtarzał: „Pracując twórczo, człowiek stwarza sobie nowe życie. Twórczość przezwycięża śmierć".

Marian Marek Drozdowski
– em. prof. PAN, Uniwersytetu Opolskiego,
przyjaciel Jana Karskiego i autor jego biografii

Powyższy tekst jest referatem prof. M. M. Drozdowskiego, udostępnionym nam przez autora, a wygłoszonym na sesji naukowej zorganizowanej przez Muzeum Historii Polski w Parlamencie Europejskim w dniu 8 stycznia 2014 roku, poświęconej życiu i działalności Jana Karskiego. Cytaty pochodzą z książki biograficznej M. M Drozdowskiego *Jan Karski Kozielewski 1914-2000*, Wydawnictwo ASTRA-JR. Warszawa 2014; wydanie angielskie: Centrum Europejskie Natolin 2014.

Redakcja „Kroniki Miasta Łodzi" wyraża tą drogą podziękowanie profesorowi Marianowi Markowi Drozdowskiemu za życzliwą współpracę.

Życie Jana Karskiego

Przesłanie bohatera

Życie Jana Karskiego stało się już tematem kilku książek biograficznych, prac naukowych i filmów, francuski pisarz Yannick Haennel napisał wręcz fabularyzowaną powieść będącą próbą wniknięcia w intencje i myśli Karskiego. Nawet jednak pomimo faktu, że losy tego bohatera są już dość dobrze znane, nie przestaje być on postacią tajemniczą. Jego biografię spina bowiem wiele pozornych sprzeczności i ewidentnych paradoksów. Często są to sprzeczności tylko z naszego „polskiego" punktu widzenia, często jednak ujawniają one prawdziwą głębię charakteru i oryginalność myślenia. Już łódzkie dzieciństwo i młodość małego Janka Kozielewskiego, pokazuje, jak różne kierowały nim inspiracje. Był sodalitą marjańskim, od młodości cechowała go głęboka, konfesyjna religijność. Z drugiej strony idolem jego młodości był też Talleyrand – szara eminencja francuskiej polityki i dyplomacji w epoce od Rewolucji Francuskiej po Restaurację. Ten podwójny rys osobowości Jana Karskiego – z jednej strony głębokie przywiązanie do wartości a z drugiej trzeźwy, czasem mogący uchodzić za cyniczny pragmatyzm, będą już do końca stałymi cechami jego charakteru. Zapewne gdyby nie wybuch drugiej wojny światowej, Jan Kozielewski zostałby uznanym polskim dyplomatą. Być może jego życie upłynęłoby w gabinetach ministerstw, ambasad i attachatów, wśród zakulisowych negocjacji i układów. Dopiero straszna wojna, Zagłada, którą widział na własne oczy, i obojętność wobec niej świata, ujawniły niezwykłe przymioty moralne Karskiego. Dają mu one dzisiaj status świadka i strażnika sumienia świata, a jego misji miano „kamienia milowego cywilizacji XX wieku". Warto jeszcze raz przypomnieć najważniejsze epizody tej misji – zarówno w czasie drugiej wojny światowej, jak i dużo później, kiedy temat współodpowiedzialności za zbrodnię Holocaustu stał się ważnym tematem w historiografii światowej.

„Obywatel Kucharski [jeden z pseudonimów Jana Kozielewskiego vel Karskiego – przyp M.K.] jako kurier przechodząc na Słowacczyznę, schwytany przez agentów gestapo zniszczył cały niesiony materiał. Więziony, bity nie wydał nikogo. W zamachu samobójczym przeciął sobie żyły u rąk, a przewieziony do szpitala w Nowym Sączu przy pomocy dobrych obywateli uciekł i stanął do pracy w szeregach" – pisał w akcie nadania orderu Virtuti Militari pod datą 21 stycznia 1941 roku gen. Stefan Rowecki „Grot", ówczesny Komendant Główny Związku Walki Zbrojnej.

Był to dopiero jeden z pierwszych wojennych wyczynów Karskiego – po powrocie do służby ten emisariusz Polski Podziemnej za namową ówczesnego Delegata Rządu na Kraj Cyryla Ratajskiego skontaktował się z przedstawicielami żydowskiego podziemia w Polsce – bundowcem Leonem Feinerem i syjonistą Adolfem Bermanem. W przebraniu przedostał się do warszawskiego getta, a potem również do obozu koncentracyjnego w Izbicy (przez lata był przekonany, że trafił wtedy do Bełżca). Dwa lata temu minęła 70. rocznica przekazania przez Karskiego Brytyjczykom informacji o dokonującej się w okupowanej przez hitlerowców Polsce eksterminacji Żydów. Swoje raporty składał osobiście ministrowi spraw zagranicznych Imperium Anthony'emu Edenowi, a później również prezydentowi USA F. D. Rooseveltowi. O Zagładzie

Zdjęcie ślubne Jana Karskiego i Poli Nireńskiej, 1965 r. | **str. 2**

mówił ważnym przedstawicielom świata mediów, artystom i pisarzom, takim jak G. H. Wells czy Arthur Koestler. Jego wydana w 1944 roku w USA książka opowiadająca o Polsce Podziemnej, *The Story of a Secret State*, osiągnęła status bestselleru – ponad 360 tysięcy. sprzedanych egzemplarzy. Czynił tym samym wtedy, jak się zdaje, więcej dla sprawy polskiej, niż zdolna była uczynić cała polska ambasada w Waszyngtonie w trakcie wojny. Po czym na całe dziesięciolecia został prawie całkowicie zapomniany – tak w Polsce, jak i na świecie.

Życie w Ameryce

W istocie, krótko po zakończeniu drugiej wojny światowej Jan Karski stał się zupełnym outsiderem w Ameryce. Po uznaniu przez aliantów komunistycznych władz w Polsce wierny swojemu pryncypałowi, ambasadorowi Janowi Ciechanowskiemu, opuścił placówkę dyplomatyczną, zabierając ze sobą najważniejsze dokumenty. Przez krótki czas trwała jeszcze sława autora *The Story of A Secret State*. Z czasem jednak, w miarę jak w Stanach narastały pojednawcze wobec Sowietów nastroje końca wojny, również i legendarny emisariusz stał się postacią politycznie niewygodną. W udzielonym Maciejowie Wierzeńskiemu w połowie lat 90. wywiadzie mówił z charakterystyczną dla siebie autoironią: „Po ukazaniu się książki byłem zapraszany przez najznakomitsze domy amerykańskiej arystokracji finansowej – Rockefellerów, Dupontów, Vanterbiltów. Wyglądało to zawsze podobnie [...] Sadzano mnie po prawej stronie pani domu, która

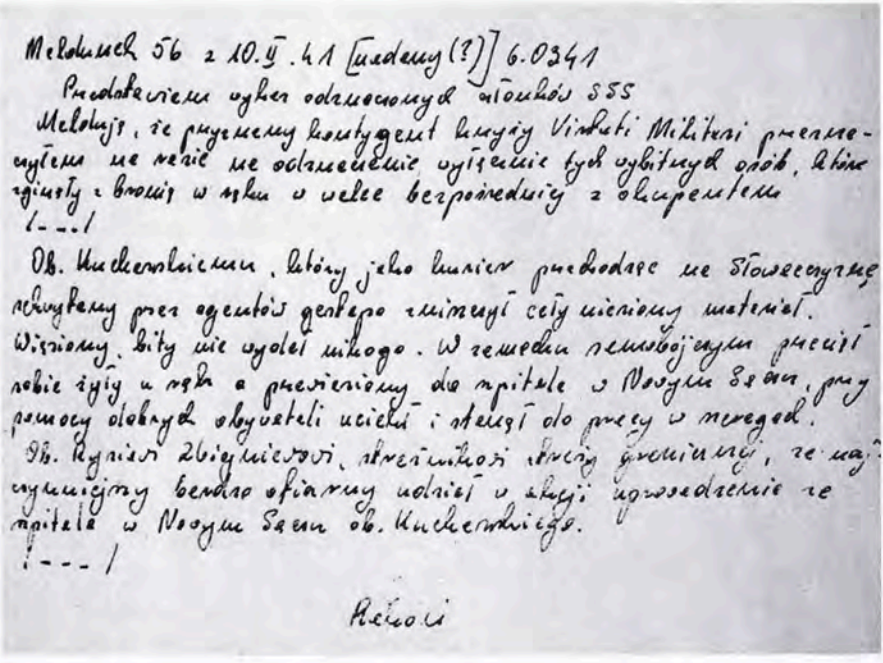

Meldunek 56 z 10.V.41 [Londyn (?)] 6.0341

Przedstawienie wykaz odznaczonych orderów [illegible]

Melduję, że przydzielony kontyngent klasy Virtuti Militari przeznaczyłem na nadanie na odznaczenie wyżej wymienionych osób, które zginęły z bronią w ręku w walce bezpośredniej z okupantem

[---]

Ob. Kucharskiemu, który jako lekarz przebadał na stwierdzenie zebranego przez agentów gestapo zeznania cały niezbędny materiał.

Wiśniowy, były nie wydał nikogo. W czasie ucieczki [illegible] sobie życie w celu a przewieziony do szpitala w Nowym Sączu, przy pomocy ukrytych obywateli uciekł i ukrył się do pracy w terenie.

Ob. Kuśnierz Zbigniewowi, stwierdzonych zbrodni gestapowskich, za ujęcie wymienionych bandytów oraz ich wydanie w ręce wymiaru sprawiedliwości na szkodę ludności polskiej.

[---]

Rowecki

str. 3 Meldunek Komendanta Głównego ZWZ gen. Stefana Roweckiego w sprawie przyznania Krzyża Oderu Virtuti Militari Janowi Kozielewskiemu, 1941 r.

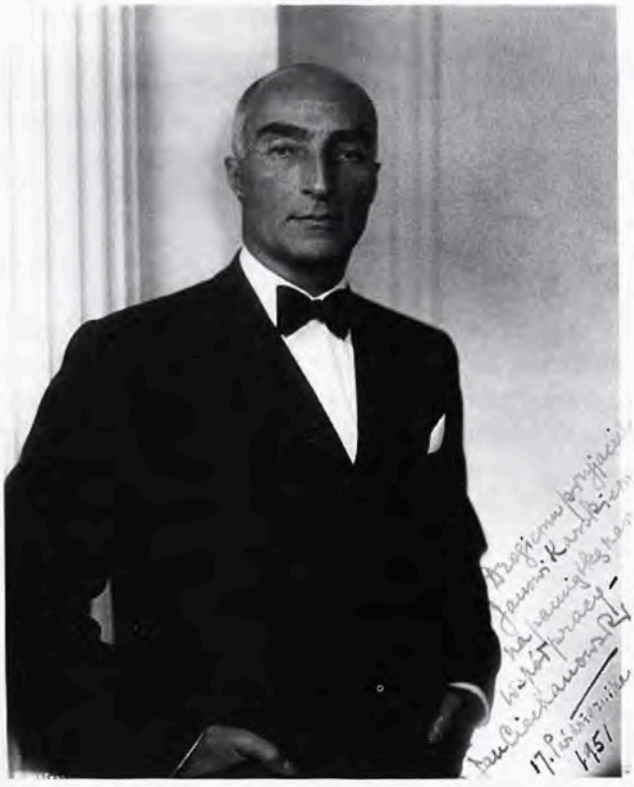

mówiła: «Oto jest pan Karski, autor tej sławnej książki. Zwalcza bezbożny komunizm, zdecydował się nam pomagać, żebyśmy nie ulegli bezbożnemu komunizmowi, za to należy mu się pochwała». [...] Trwało to jakieś siedem tygodni. Potem pojawiły się głosy, że występuję przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Dostawałem dalej zaproszenia, ale już na koktajle na stojąco. I znowu upłynęło kilka tygodni. Zaczęli mnie zapraszać weterani, córki rewolucji amerykańskiej. Najbardziej skrajne, prawicowe organizacje. Aktualność Karskiego się kończyła. Karski przestał być modny, bo nie godził się z komunistami". Taki swoisty ostracyzm spotkał zresztą całą rzeszę polskich intelektualistów na emigracji – aż do wybuchu konfliktu koreańskiego Amerykanie zdawali się wierzyć w porozumienie z „wujkiem Stalinem". Francuska inteligencja zaś zapatrzona była w Sowietów jeszcze długo po tym, jak Sołżenicyn pokazał rozmiary bestialstwa komunistów w *Archipelagu Gułag*.

W przeciwieństwie jednak do wielu swoich rodaków Karski doskonale zaadoptował się do życia w Stanach – jest to być może jedno z jego oblicz, którego nie znamy. Nigdy nie pozbył się wyraźnego wschodnioeuropejskiego akcentu, ale jednocześnie już jako sędziwy człowiek powtarzał, że Ameryka okazała się jego drugą ojczyzną, a nawet twierdził, że USA to najwspanialszy kraj na świecie. Był Ameryką

Jan Ciechanowski, ambasador RP w Waszyngtonie. Zdjęcie z dedykacją dla Jana Karskiego

autentycznie zafascynowany. I można odnieść wrażenie, że nie było to ślepe zafascynowanie – Karski w kulturze i tradycji Stanów Zjednoczonych znalazł coś, czego ewidentnie brakowało mu w Europie, a co pozwoliło mu choć trochę zintegrować jego wielowarstwową osobowość. Najbardziej wpływowym w historii Stanów Zjednoczonych prądem filozoficznym był bowiem pragmatyzm – reprezentowany przez takich myślicieli jak Charles Sanders Pierce, William James, a współcześnie Richard Rorty. Pragmatyzm był wcieleniem racjonalności opartej na doświadczeniu, wywodził się z pozytywnego stosunku do nauki, inaczej niż wiodące w Europie prądy myślowe, które cechowała skłonność do abstrakcyjnych spekulacji intelektualnych. Przy całym swoim praktycyzmie i empiryzmie pragmatyzm był jednak filozofią – głównie za sprawą pism Williama Jamesa – otwartą na sferę wartości, a także religijność. Wydaje się, że to właśnie ta cecha amerykańskiej duszy mogła tak bardzo odpowiadać Karskiemu. Łączyła jego potrzebę skutecznego, racjonalnego działania z wartościami, które wyznawał. Wartościami, które nie musiały się w takim kontekście kojarzyć z konserwatyzmem, religijnymi i narodowymi mitami, ale stawały się siłą kształtującą demokratyczny, nowoczesny porządek.

Jako trzydziestopięcioletni mężczyzna, bezrobotny i zubożały bohater, Karski, nie bardzo wiedząc, co z sobą zrobić, postanowił pójść na studia. Spotkanie z rektorem waszyngtońskiego Georgtown University odmieniło całe jego późniejsze życie; wielokrotnie i często ze łzami w oczach wspominał, jak ten „jezuicki księże" podczas spotkania z nim „uderzył pięścią w stół i zaczął prawić, że obowiązkiem Amerykanów jest podanie ręki takim ludziom jak ja, zdecydowanym tu zostać i pracować". Stypendium zaofiarowane przez Walsha pozwoliło legendarnemu emisariuszowi zacząć życie od nowa – Ameryka z całą pewnością mu imponowała. Imponowało szczególnie mierzenie ludzi nie poprzez kategorie etniczne, religijne czy klasowe, ale poprzez ich zdolności i talenty – stał się w ten sposób amerykańskim *DIY Man (Do it Yourself Man)*, czyli Panem Zrób to Sam. Z dumą wspominał o swoim pierwszym domu, który wyremontował własnymi rękoma – a potem o kolejnych, coraz większych. Lubił, kiedy amerykańscy koledzy z Uniwersytetu okazywali, że traktują go jak swojego. Z tego też początkowego okresu pochodzą fotografie, na których widzimy zrelaksowanego Karskiego śmiejącego się pełną piersią. I – co charakterystyczne – inaczej niż np. Jan Nowak-Jeziorański, inny wielki kurier Polski Podziemnej, Karski nigdy nie budował wokół siebie środowiska. Można z jego wypowiedzi odnieść nawet wrażenie, że trochę rodaków unikał i aż do 1977 roku, nawet jako profesor katolickiego Georgtown University, nie wspominał o swojej wojennej przeszłości.

Nie da się uciec od przeszłości

Wielu jego dawnych przyjaciół, szczególnie znana aktorka Zofia Rysiówna, miało nawet o to do niego pretensje. Ta późniejsza żona Adama Hanuszkiewicza pomagała w odbiciu Karskiego spod straży gestapo w szpitalu w Nowym Sączu i jako jedyna ze

sprzysiężenia uniknęła śmierci po nieopatrznej wsypie. Trudno orzec, co za tym stało – traumatyczne przeżycia w czasie wojny czy po prostu niechęć do pielęgnowania własnej martyrologii. Karski musiał odczuwać brzemię moralnego długu wynikającego z faktu, że uratowanie jego życia kosztowało kilka innych niewinnych istnień. Nie wracał jednak do tych wydarzeń przez całe dekady, twierdząc – być może nie do końca szczerze – że cały czas obowiązywała go w tej sprawie przysięga milczenia. W Ameryce ułożył sobie życie osobiste – po dwuletnim nieudanym małżeństwie z córką południowoamerykańskiego dyplomaty Karski związał się w 1965 roku z tancerką i choreografką Polą Nireńską, jak się zdaje – jego wielką miłością, podziwianą jeszcze na scenach w przedwojennej Polsce. Można odnieść wrażenie, że Jan Karski usilnie próbował ułożyć sobie normalne życie, zapominając o przeszłości. To się jednak nie udało. Tragizm losu i traumy odziedziczone jeszcze po wojnie dotykały jego i jego bliskich. W 1964 roku ukochany brat Karskiego Marian Kozielewski, którego udało się przemycić do Stanów krótko po wojnie, popełnił samobójstwo. Z czasem dotkliwe problemy psychiczne za-

częła też przeżywać żona Karskiego, która straciła w Holocauście swoich bliskich. Po wielu nieudanych próbach samobójczych odebrała sobie życie w 1992 roku. Karski obie te śmierci głęboko przeżył i za obie się obwiniał. Niewątpliwie osiągnął osobisty i zawodowy sukces. Był cenionym wykładowcą Uniwersytetów Georgetown i Columbia, stypendystą fundacji Fulbrighta, na zlecenie Departamentu Stanu podróżował z wykładami po 16 krajach Azji i Afryki frankońskiej. Wśród jego studentów znajdziemy wielu wybitnych dyplomatów i polityków – jak choćby prezydenta Billa Clintona czy obecnego ambasadora USA w Polsce Stephena D. Hulla. Z czasem – za sprawą Claude Lanzmanna – powróciły też najbardziej bolesne i trudne wspomnienia związane z wojenną misją samego bohatera.

Odkrywanie Karskiego

Francuski reżyser, szukając w 1977 roku bohaterów do – jak się później okazało swojego – przełomowego filmu o Zagładzie Żydów, przypomniał sobie książkę *The Story of a Secret State*. Początkowo Karski opierał się, nie chcąc wracać do trudnych wspomnień. Lanzmann miał podobno użyć wtedy argumentu, iż ten ma przed śmiercią obowiązek opowiedzenia prawdy… I rzeczywiście, film, a właściwie dziewięciogodzinna filmowa epopeja z istotnym udziałem legendarnego emisariusza Polski Podziemnej, stał się jednym z najważniejszych dokumentów przypominających światu tragedię Holocaustu, wstrząsającym świadectwem okrucieństwa nazistów i obojętności świata. Nim jednak film ten został po raz pierwszy pokazany widowni w 1985 roku, do Karskiego zgłosił się Elie Wiesel, jeden z przywódców Rady Pamięci Holocaustu, z zaproszeniem do Waszyngtonu na Międzynarodową Konferencję Wybawców (1981 r.). Wtedy chyba Karski po raz pierwszy publicznie odważył się wyrazić swoje przesłanie – nie była to już bowiem czysta relacja z tego, co widział w warszawskim getcie czy w obozie koncentracyjnym w Izbicy, ale raczej pełne znaczeń i nabrzmiałe długą i z gruntu moralną refleksją orędzie zawierające tak świadectwo, jak i oskarżenie oraz ostrzeżenie. Karski mówił wtedy: „Wielu z was było świadkami żydowskiej gehenny. To jednak mnie Bóg zlecił, abym nie tylko zobaczył, ale abym mówił i pisał w czasie wojny, kiedy – jak mi się wówczas zdawało – mogło to odnieść jakiś skutek. Nie odniosło… Nie mogę również powiedzieć zgromadzonym o moim wiele lat trwającym zdumieniu, gdy po wojnie wyjaśniano, że rządy, przywódcy, naukowcy, pisarze nie wiedzieli, co się działo z Żydami. To kłamstwo, że nie wiedzieli. Mam prawo wołać «kłamstwo!», bo wiem, ile raportów złożyłem, ile osób powiadomiłem oprócz amerykańskiego prezydenta i ministrów angielskich. O rozmiarach Holocaustu, o Żydach mordowanych w getcie, wożonych w wagonach z niegaszonym wapnem opowiadałem Herbertowi Georgowi Wellsowi i Arthurowi Koestlerowi, wydawcom takim jak Allen Lane z londyńskiego Penguina czy pani Ogden Reed z «New York Herald Tribune»".

To właśnie wtedy dobitnie objawiło się drugie oblicze bohaterstwa Karskiego. W czasie wojny wykazał się heroizmem w swojej odwadze i wierności, w

niezłomnej postawie wobec tortur i gotowości na śmierć. Przed publicznością waszyngtońskiej konferencji Jan Karski był już jednak bohaterem nieco innym, dojrzalszym – emisariuszem prawdy i świadkiem sumienia. Tym, który nie tylko widział tragedię narodu żydowskiego, ale i tym, który głęboko się z pokrzywdzonymi identyfikował. „Tak jak rodzina obecnej na sali mojej żony [Poli Nireńskiej – przyp. M.K.], która wyginęła w gettach albo obozach koncentracyjnych i piecach krematoryjnych, tak wszyscy wymordowani Żydzi stali się moją rodziną. Ale ja jestem chrześcijańskim Żydem. Jestem praktykującym katolikiem. Moja wiara każe mi mówić, że ludzkość popełniła drugi grzech pierworodny, dopuszczając do Zagłady, z nakazu czy zaniedbania, z samorzutnej niewiedzy lub nieczułości, z egoizmu czy hipokryzji, czy też zimnego wyrachowania. Ten grzech będzie prześladował ludzkość. Prześladuje i mnie…" – mówił w dalszej części swojego wystąpienia.

Z czasem wieści o Karskim zaczęły również napływać do kraju. W 1987 roku Krzysztof Kozłowski przeprowadził ze starym już wtedy profesorem Georgtown University wywiad dla „Tygodnika Powszechnego". Okazał się on zresztą pierwszą istotną wzmianką o tym bohaterze w polskiej prasie. Już po transformacji ustrojowej w 1989 roku zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że był on w istocie jednym z największych Polaków i największych ambasadorów Polski w XX wieku. Powstały pierwsze większe publikacje o tej postaci, m.in. *Misja ostatniej nadziei* Jerzego Korczaka. Dopiero jednak w ostatnich latach doczekaliśmy się naprawdę solidnych biografii Karskiego: fabularyzowaną opowieść o nim poczynili E. Thomas Wood i Stanisław M. Jankowski (*Karski – opowieść o emisariuszu*, wydanie polskie 1996) oraz Stanisław M. Jankowski (*Karski. Raporty tajnego emisariusza*, 2009), rzetelną naukową biografię napisał prof. Andrzej Żbikowski (*Karski*, 2011), a ostatnio opublikowano cytowane w tym tekście wypowiedzi Karskiego, pochodzące z wywiadów udzielonych Maciejowi Wierzyńskiemu w latach 1995-1997 (*Emisariusz – własnymi słowami*, 2012).

Z książek tych wyłania się już obraz człowieka zdystansowanego do „sprawy polskiej" – Karski pod koniec życia wypowiadał się często bez ogródek również o swoich własnych dokonaniach, nie ukrywając zasadniczo trudnych spraw. Już sama jego misja emisariusza Polski Podziemnej, pod przysięgą przekazującego informacje z okupowanego kraju rządowi londyńskiemu, była przyczyną wielu nieporozumień i dezinformacji. Zbyt dobrze ten odważny człowiek zdawał sobie sprawę ze swej roli; nie był przecież politykiem ani mężem stanu. Jego predyspozycje – fotograficzna pamięć i znajomość języków – sprawiały, że świetnie nadawał się do swojej arcytrudnej roli. Nie był jednak, jak czasem chciano by go widzieć, „kreatorem" polityki, a jedynie jej „narzędziem". Emisariusz wspominał dość groteskową awanturę, którą urządził mu gen. Władysław Sikorski w 1943 roku. Ówczesnemu premierowi wydawało się, że Karski próbuje w Londynie politykować. Każdemu bowiem z londyńskich przedstawicieli najważniejszych ugrupowań w kraju, socjalistom, narodowcom i ludowcom, raportował o miażdżącym poparciu, jakim cieszy się każde z tych stronnictw w

okupowanej Polsce. Oczywiście awantura była absolutnie niesłuszna, Karski był bowiem jedynie „przekaźnikiem" powtarzającym słowo w słowo to, co pod przysięgą kazali mu zapamiętać liderzy partii w Polsce (a każdemu z nich zależało na pokazaniu się z jak najlepszej strony).

W charakterystyczny dla siebie „antybohaterski" sposób deprecjonował również rolę, którą odegrały jego osobiste spotkania z Edenem i Rooseveltem, twierdząc, że na obu się skompromitował, przy Edenie zbyt nachalnie ubiegając się o audiencję u Churchilla, przy Roosevelcie zaś uniżonością niespotykaną w amerykańskiej kulturze politycznej. (Karski miał „wycofywać" się z gabinetu prezydenta, idąc w półukłonie twarzą do gospodarza. Zupełnie jakby wychodził od króla – ku uciesze zresztą samego Roosevelta i ambasadora Ciechanowskiego). Oczywiście te anegdoty były być może jedynie obroną przed „mitologizowaniem" jego wojennej misji, był bowiem Karski człowiekiem niezwykle trzeźwo myślącym, świetnie zdającym sobie sprawę z gorzkiego i ponurego faktu, iż w gruncie rzeczy heroizm Polski Podziemnej nie przyczynił się znacząco do rozstrzygnięcia losów wojny, że w gruncie rzeczy niewiele jemu samemu udało się zdziałać. W wieku 82 lat pytał: „a gdyby nie było polskiego ruchu podziemnego lub gdyby miał mniejszą skalę, co by się wtedy działo? Nie mam wątpliwości: alianci i tak by wojnę wygrali. Wojna bez naszego udziału nie byłaby dłuższa ani o jeden dzień. Wojnę wygrali alianci, bo zbudowali dziesiątki tysięcy okrętów, bombowców, czołgów. One wygrały wojnę, a nie ruch podziemny. Czy warto było ponosić tyle strat...?".

Dziedzictwo

Wydaje się, że pytanie o dziedzictwo Jana Karskiego jest cały czas bardzo aktualne. Współgrało w tym człowieku bardzo wiele czasem pozornych, a czasem oczywistych sprzeczności. Ten do końca głęboko wierzący katolik i polski patriota zawsze czuł bliskość i sympatię do narodu żydowskiego. Jego heroiczna i bohaterska postawa współgrała jednocześnie z niezwykle trzeźwym oglądem sytuacji – Jan Nowak-Jeziorański mówi o nim, iż zawsze „myślał w sposób zimny, prawie cyniczny". Nie było w nim też ani krzty ofiarnictwa czy ideologicznego zacietrzewienia. W jednej z jego najintymniejszych wypowiedzi publicznych wspominał o najtrudniejszych momentach w gestapowskim więzieniu, gdy już zdecydował się na samobójstwo: „Zastanawiałem się czasem, o czym myśleli ludzie, kiedy umierali za jakieś ideały. Wydawało mi się wówczas, że z pewnością absorbowały ich wówczas rozważania na temat sprawy, za którą oddali życie. Teraz wiedziałem, że jest inaczej. Czułem jedynie nienawiść – i obrzydzenie, które górowało nad wszystkim, nawet nad bólem fizycznym i nad nienawiścią. Ogarnął mnie bezdenny smutek, że muszę umrzeć tak nędzną anonimową śmiercią, jak rozdeptany robak. Ani rodzina, ani przyjaciele nigdy nie dowiedzą się, gdzie zostałem pochowany [...] Pomyślałem o matce, o dzieciństwie, studiach i nadziejach na przyszłość".

Wielkość Karskiego to więc nie tylko odwaga, heroizm, wierność i oddanie. Był też Jan Karski człowiekiem wielkiej wrażliwości, inteligencji i rozsądku. Cech, które pozwalały mu nawet do własnego heroizmu odnosić się krytycznie. Częścią jego przesłania jest również postulat, byśmy zdobyli się na wysiłek zmierzenia się także z naszymi, polskimi mitami i stereotypami narodowymi, z naszą narodową megalomanią i równie powszechnymi kompleksami.

Marcin Kieruzel

Korzystałem z:
1. Stanisław M. Jankowski, *Karski: raporty tajnego emisariusza*, Poznań 2009.
2. Andrzej Żbikowski, *Karski*, Warszawa 2011.
3. Jan Karski, Maciej Wierzyński, *Emisariusz. Własnymi słowami*, PWN, Warszawa 2012.

Na marginesie książki Jana Karskiego

Patriota bez mrzonek

Urodzony 24 września 1914 roku – u progu Wielkiej Wojny – a dorastający w niepodległej II Rzeczypospolitej w wielonarodowej, wieloreligijnej i wielokulturowej przedwojennej Łodzi. Zdeklarowany piłsudczyk i państwowiec młodzieńczo, szczerze wierzący w ówczesną polską mocarstwowość. Żarliwy katolik, a do tego – jak sam się określał – filosemita. Prymus Wydziału Prawa i Dyplomacji Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, a później elitarnej Szkoły Podchorążych Artylerii Konnej we Włodzimierzu Wołyńskim. Na kampanię wrześniową wybrał się ze srebrną szablą od prezydenta Mościckiego, która była nagrodą dla najlepszego absolwenta włodzimierskiej podchorążówki, i aparatem fotograficznym, którym chciał uwieczniać… rychłą polską defiladę zwycięstwa w Berlinie, mającą zakończyć krótką potyczkę z III Rzeszą i ostateczny triumf nad Hitlerem. W latach niemiecko-sowieckiej, a później niemieckiej okupacji konspirator i „etatowy" pracownik struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Tajny kurier wysyłany z kraju w misjach informacyjnych do emigracyjnego rządu Rzeczypospolitej we Francji, a później w Anglii. „Człowiek, który sam próbował zatrzymać Holokaust", powiadamiając aliantów o zbrodniczej istocie niemieckiego „ostatecznego rozwiązania" kwestii żydowskiej. Rozmówca premiera Władysława Sikorskiego, prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Delano Roosevelta, sekretarza stanu USA Cordella Hulla i amerykańskiego sekretarza wojny Henry'ego Stimsona. Podczas jednej z kurierskich misji schwytany, więziony, torturowany przez Niemców i po nieudanej próbie samobójczej odbity z ich rąk. Autor wydanego jeszcze w czasie wojny w Bostonie w 1944 roku bestsellera *Courier from Poland: The Story of a Secret State* (w Polsce opublikowanego w 1992 roku pod tytułem *Tajne państwo: opowieść o polskim Podziemiu*), którego nakład zbliżył się do 400 tysięcy i który miał ukazać opinii publicznej Zachodu heroizm polskiej konspiracji. Po drugiej wojnie światowej emigrant z wyboru, nieakceptujący Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przez czterdzieści lat pracownik naukowy prestiżowego, ukierunkowanego na kształcenie przyszłych amerykańskich elit dyplomatycznych jezuickiego Uniwersytetu Georgetown, na którym wykładał jako profesor nauk politycznych stosunki międzynarodowe i teorię komunizmu. Wymienia-

JAN KARSKI

WIELKIE MOCARSTWA WOBEC POLSKI

1919-1945 Od Wersalu do Jałty

ny obok znakomitego sowietologa Włodzimierza Bączkowskiego i doradcy prezydenta Jimmy'ego Cartera Zbigniewa Brzezińskiego jako jeden z trzech Polaków mających w latach „zimnej wojny" największy wpływ na kształtowanie opinii amerykańskich polityków na temat Związku Sowieckiego, bloku komunistycznego i regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Prezentowany przez prezydenta Billa Clintona jako jego „nauczyciel" i „mistrz" w dziedzinie historii komunizmu i wschodu Starego Kontynentu. „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" – posiadacz własnego drzewka na terenie Yad Vashem w Jerozolimie i honorowego obywatelstwa izraelskiego. Nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla i zaliczony przez prestiżowy amerykański tygodnik „Newsweek" do wąskiego, elitarnego grona najwybitniejszych postaci XX wieku. Wyróżniony najwyższymi odznaczeniami polskimi i amerykańskimi – Orderem Orła Białego i Medalem Wolności. Kiedy zmarł 13 lipca 2000 roku, na jego pogrzebie na cmentarzu Góry Oliwnej w Waszyngtonie hołd oddali mu prezydenci USA i Rzeczypospolitej Polskiej – Bill Clinton i Aleksander Kwaśniewski. Z bohaterskiego, obfitującego w dramatyczne wydarzenia i zwroty życiorysu Jana Karskiego (a właściwie Jana Kozielewskiego – Karski to bo-

wiem jeden z jego konspiracyjnych pseudonimów z okresu wojny, któremu pozostał wierny do końca życia) dałoby się wykroić materiał na kilka niezwykłych biografii.

Bohater sumienia

Jan Karski zapisał się w historii Polski i świata, jak już wspomniano, przede wszystkim jako bohater drugiej wojny światowej – obok Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Jerzego Lerskiego najbardziej znany emisariusz tajnego Polskiego Państwa Podziemnego i człowiek, który usiłował skłonić wielkie mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej na Zachodzie do podjęcia rzeczywistych działań na rzecz powstrzymania zbrodniczej hitlerowskiej machiny Holokaustu. Przypomnijmy – w trakcie swych kurierskich misji dostarczał polskiemu rządowi i przywódcom stronnictw politycznych na uchodźstwie kluczowe informacje, sugestie i pytania dotyczące struktury i działalności krajowej konspiracji wojskowej i cywilnej, a także ogólnej sytuacji na ziemiach polskich oraz polecenia i instrukcje od władz Rzeczypospolitej na uchodźstwie dla okupowanego kraju. Był żywym znakiem jedności, łącznikiem pomiędzy Prezydentem RP, premierem, rządem i Wodzem Naczelnym, sprawującymi swoje konstytucyjne funkcje na emigracji, a Delegatem Rządu na Kraj i Komendantem Głównym Armii Krajowej, którzy organizowali zbrojny i cywilny wysiłek Polaków na terenach okupowanych.

Obok zagadnień dotyczących konspiracji politycznej i wojskowej skupiał się w swoich misjach na przekazywaniu informacji dotyczących położenia obywateli polskich pochodzenia żydowskiego i tych Żydów, którzy – deportowani z obszarów Europy znajdujących się pod bezpośrednią okupacją niemiecką lub z krajów satelickich III Rzeszy, współpracujących z hitlerowcami w prześladowaniu narodu żydowskiego – znaleźli się na ziemiach polskich. To szczególne zainteresowanie Karskiego problematyką represji dotykających Żydów wynikało z przekonania kuriera o ich wyjątkowo masowym charakterze. Początkowo wyrażało się ono w przekazywaniu na Zachód obok informacji pochodzących od głównych instytucji i największych polskich ugrupowań politycznych również materiałów przygotowanych przez różne żydowskie środowiska polityczne, skupione zarówno w ruchu syjonistycznym, jak i w konspiracji socjalistycznego Bundu.

Kiedy uzmysłowił sobie, iż Niemcy dążą do całkowitej i szybkiej fizycznej eksterminacji Żydów, postanowił uczynić priorytetem swych misji powiadomienie o tej ludobójczej akcji zachodnich aliantów i przekonanie ich do podjęcia działań mających jej przeciwdziałać. Chcąc zebrać wiarygodne informacje o realiach Holokaustu, przekradł się na teren warszawskiego getta, w którym na własne oczy widział ludzi masowo umierających z głodu i chorób na ulicy oraz Niemców strzelających do przypadkowych ofiar. W mundurze ukraińskiego strażnika dostał się również do obozu przejściowego w Izbicy (początkowo był przekonany, iż trafił do obozu zagłady w Bełżcu). Po latach tak relacjonował swoje wrażenia z tej straceńczej eskapady: „Widziałem straszne rzeczy. Rampa kolejowa, wywózka z obozu. Żandarmi, esesmani, masy Żydów.

Nie wiem – tysiąc, półtora tysiąca. Dzieci, kobiety, starcy. Smród, rozpacz, krzyki: «Raus! Raus!». Wpychanie kolbami do pociągu, jak ktoś się potknął, to kolbami ich bili. Przerażenie. Obraz nie z tego świata, bydła tak ludzie nie traktują [...]. Ostatnich zmuszali do wdrapywania się na głowy tych, co weszli wcześniej".

Po przedostaniu się na Zachód próbował uświadomić przywódcom Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, ich doradcom, zachodnim mediom, a przez nie również obywatelom państw alianckich, co dzieje się z Żydami pod niemiecką okupacją. Informował o tym prezydenta Roosevelta, wspomnianych już wcześniej sekretarzy stanu i wojny USA Hulla i Stimsona, sędziów amerykańskiego Sądu Najwyższego, przedstawicieli potężnej żydowskiej organizacji Joint, zwierzchników Kościoła katolickiego za oceanem, wreszcie przedstawicieli wielkiego przemysłu filmowego, artystów i dziennikarzy. Rooseveltowi wyjaśniał: „Jest różnica w systemie terroru niemieckiego skierowanego przeciw Polakom i przeciwko Żydom. Niemcy chcą mieć na tych terenach [dawnej II Rzeczypospolitej] lud polski pozbawiony elity politycznej [...]. W odniesieniu do Żydów chcą zniszczyć naród żydowski biologicznie. Przywiozłem oficjalne oświadczenie Rządowi mojemu od Delegata Rządu i Komendanta Armii Krajowej, że jeżeli Niemcy nie zmienią metod wobec ludności żydowskiej, jeżeli nie będzie interwencji aliantów [...] w ciągu półtora roku od mojego wyjazdu z kraju ludność żydowska przestanie istnieć!".

Karski apelował – w imię ogólnoludzkiej solidarności, humanitaryzmu i obrony Żydów przed całkowitym unicestwieniem – o przedsięwzięcie przez aliantów kroków, które uznawał za niezbędne, by zahamować ludobójczą nazistowską machinę. Oczekiwał regularnego bombardowania torów kolejowych prowadzących do

Jan Karski w Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, 1994 r., fot. E. T. Wood

obozów zagłady, zagrożenia władzom niemieckim nalotami na największe miasta Rzeszy, wreszcie wydawania Żydom paszportów *in blanco*.

Historyk bez złudzeń

Jednak to nie Karski – nieustraszony konspirator i emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego ani też Karski – tragiczny obrońca godności i prawa do życia eksterminowanego przez Niemców narodu żydowskiego jest głównym bohaterem niniejszego tekstu. Legendarny kurier miał bowiem jeszcze jedno, powojenne oblicze. To znakomity historyk dziejów Polski i jej położenia na arenie międzynarodowej w minionym stuleciu. W swym *opus vitae*, monumentalnym studium *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1918-1945*, ukończonym w 1970 roku, wydanym w Polsce dwie dekady później, a ostatnio wznowionym w bieżącym roku przez Wydawnictwo Poznańskie (promocja książki odbyła się 23 marca 2014 roku w Muzeum Miasta Łodzi), nie tylko drobiazgowo zrekonstruował przebieg historycznych wydarzeń i procesów. Zaproponował również autorską interpretację losów Polski i Polaków w pierwszej połowie XX wieku, ufundowaną na głębokim przeświadczeniu (podzielanym przez wielu i przez tyluż poddawanym w wątpliwość), iż „historia powinna być nauczycielką życia", a polityka wewnętrzna, a przede wszystkim zagraniczna państwa powinna opierać się nie na romantycznym „mierzeniu sił na zamiary", lecz realistycznym, zdroworozsądkowym, pozbawionym emocji i eliminującym złudzenia obrachunku celów i praktycznych możliwości ich realizacji.

Sam Karski, pytany często w wywiadach o korzenie jego przesyconej duchem *realpolitik* wizji polskiej dwudziestowiecznej historii, tak różnej od młodzieńczych romantycznych przekonań, zwykł odpowiadać z ironicznym dystansem, iż widocznie musiał przeczytać po wojnie za wiele książek. Jednak to chyba nie w lekturach polskiego emigranta wykładającego w jezuickiej amerykańskiej uczelni Georgetown szukać należy przyczyn przewartościowania przez niego własnych poglądów dotyczących dramatycznych losów Polski „między wojnami". Zadecydowały o nim bowiem, jak sądzę, tragiczne życiowe doświadczenia, jakie stały się jego udziałem w latach drugiej wojny światowej. Obserwował bohaterstwo, determinację i gotowość do największych poświęceń żołnierzy Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz cywilnych konspiratorów Polskiego Państwa Podziemnego, które zaowocowały… jałtańskim porozumieniem wielkich ponad głowami Polaków. A w konsekwencji tego porozumienia: zniewolenie Polski przez Związek Sowiecki i utrata Kresów Wschodnich. Jako świadek brutalnych prześladowań, a następnie dokonywanej na oczach całego ówczesnego cywilizowanego świata bestialskiej eksterminacji bezbronnego narodu oraz ignorancji, bierności i braku gotowości do poświęceń ze strony „Zachodnich Demokracji", szermujących hasłami obrony wolności jednostki i praw narodów do samostanowienia, doznał głębokiego wstrząsu.

Znamienne i traumatyczne w tym względzie były dla Karskiego, jak sam wspominał po latach, jego spotkania z Rooseveltem i sędzią Sądu Najwyższego

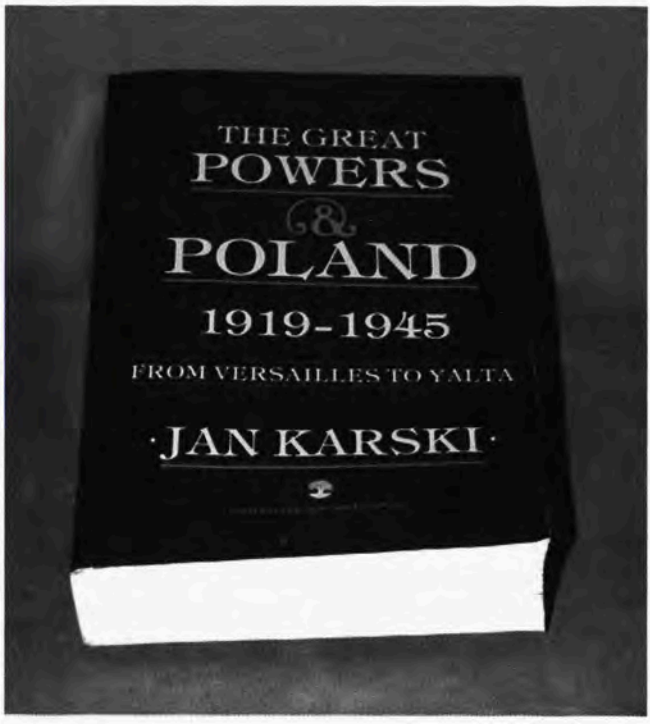

USA Feliksem Frankfurterem. Ten drugi po wysłuchaniu wstrząsającej relacji polskiego emisariusza o konsekwentnej realizacji przez Niemców programu „ostatecznego rozwiązania" kwestii żydowskiej, zgasił jego nadzieje na pozyskanie wpływowego sojusznika krótką odpowiedzią: „Panie Karski [...] mówię: po prostu nie jestem w stanie uwierzyć w to, co mi pan powiedział". Natomiast prezydent Stanów Zjednoczonych, skomplementowany wcześniej przez polskiego premiera generała Sikorskiego – z właściwą temu ostatniemu polityczną czołobitnością, którą zwykł demonstrować wobec przywódców mocarstw – określeniem „sumienie Wolnego Świata", przerwał bezceremonialnie opowieść o eksterminacji Żydów, przetykaną żarliwymi prośbami o zaangażowanie amerykańskich sił zbrojnych w działania mogące pokrzyżować realizację ludobójczego planu: „Policzymy się z Niemcami po wojnie. Panie Karski, proszę mnie ewentualnie wyprowadzić z błędu, ale czy Polska jest krajem rolniczym? Czy nie potrzebujecie koni do uprawy waszej ziemi?".

Bolesna dla kuriera Polskiego Państwa Podziemnego prawda wyglądała bowiem tak, że Roosevelt i Churchill uważali, iż amerykańskie i brytyjskie samoloty powinny osłaniać natarcia własnych wojsk na froncie i morskie konwoje, zamiast zajmować się rozmontowaniem niemieckiej sieci kolejowej wykorzystywanej tymczasem przez nazistów do transportu Żydów do komór gazowych i krematoryjnych pieców w obozach zagłady.

Pierwsze amerykańskie wydanie książki, fot. archiwum Muzeum Miasta Łodzi

Książka *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919-1945*, skonstruowana zgodnie z zasadą chronologiczną, została przez jej autora zbudowana z dwóch obszernych części, odnoszących się do okresu pierwszej wojny światowej i dwudziestolecia międzywojennego oraz do lat drugiej wojny światowej. Podzielone one zostały łącznie na kilkadziesiąt rozdziałów, w których wyróżniono niekiedy także mniejsze, szczegółowe podrozdziały. W swym dziele Karski omawia w kolejności: losy sprawy polskiej podczas pierwszej wojny światowej, prezentując zarówno działania podejmowane przez polskie elity polityczne i wojskowe, jak i stosunek Ententy i Państw Centralnych do zagadnienia niepodległej Polski; budowanie zrębów państwowości polskiej u schyłku pierwszej wojny światowej; walkę o granice Rzeczypospolitej i jej międzynarodowe uwarunkowania na konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 roku; przebieg wojny polsko-sowieckiej i reakcję na jej wydarzenia na Starym Kontynencie; konflikt polsko-litewski o Wilno i polsko-czechosłowacki o Cieszyn. Zwraca uwagę na rolę Rzeczypospolitej w polityce francuskiej i jej położenie międzynarodowe w kontekście niemiecko-sowieckiego politycznego, gospodarczego i wojskowego porozumienia (zapoczątkowanego układem w Rapallo w 1922 roku). Wskazuje na genezę i okoliczności towarzyszące zawarciu przez Polskę układu o nieagresji ze Związkiem Sowieckim i podpisaniu deklaracji o niestosowaniu przemocy z hitlerowskimi Niemcami. Wskazuje na zmieniającą się jak w kalejdoskopie sytuację międzynarodową w Europie w drugiej połowie lat trzydziestych, wyznaczaną przez agresywną politykę III Rzeszy, i na koncepcję ministra Józefa Becka, próbującego utrzymać neutralność Polski wobec Niemiec i Związku Sowieckiego, a zarazem pozyskać dla niej gwarancje bezpieczeństwa, integralności terytorialnej i niepodległości ze strony wielkich mocarstw zachodnich. Karski analizuje upadek państwa polskiego w wyniku niemiecko-sowieckiej agresji we wrześniu 1939 roku, odbudowę jego struktur na emigracji we Francji, a następnie w Wielkiej Brytanii oraz proces kształtowania się Polskiego Państwa Podziemnego na obszarach okupowanych oraz relacje Polski ze Związkiem Sowieckim, Anglią i Stanami Zjednoczonymi w latach 1941-1943, ze szczególnym uwzględnieniem sprawy przyszłej granicy polsko-sowieckiej. Podkreśla dramatyzm i rezultaty zerwania stosunków polsko-sowieckich w 1943 roku, wpływ wkroczenia armii Związku Sowieckiego – „sojusznika naszych sojuszników" – na ziemie polskie, towarzyszącej mu akcji „Burza" i Powstania Warszawskiego oraz wysiłków dyplomatycznych rządu polskiego na uchodźstwie w trakcie konferencji Wielkiej Trójki w Teheranie i Jałcie.

Niewątpliwym atutem pracy Jana Karskiego jest wartka, interesująca, wciągająca czytelnika, zakotwiczona w literaturze przedmiotu i źródłach narracja, w której prezentowanym faktom towarzyszą rzetelnie uargumentowane opinie autora oraz trafnie ilustrujące jego wywód cytaty. Podnosi to w swej ocenie dzieła m.in. przywoływany już Z. Brzeziński: „Jako profesor Szkoły Służby Zagranicznej Uniwersytetu Georgetown przez wiele lat [Karski] badał archiwa, które stały się podstawą tej prawdziwie niezwykłej książki. Daje ona nie tylko wgląd w kulisy polskiej dyplomacji i historię stosun-

ków Polski i wielkich mocarstw, ale jest również znakomicie napisana, wzbogacona pouczającymi anegdotami i nowymi materiałami z wcześniej niedostępnych archiwów".

Bez złudzeń

Wartość opracowania wynika również z dokonania przez Karskiego zabiegu, który nieczęsto stosowany jest przez polskich dziejopisów przedstawiających losy Polski i Polaków. Nie napisał on bowiem swej książki z pozycji „polonocentrycznych", jak to dość nagminnie czynią nasi historycy. Jak wskazuje trafnie we wstępie do niej Timothy Snyder, znany badacz dziejów Europy Środkowo-Wschodniej, „Karski bardzo starannie dobrał tytuł: *Wielkie mocarstwa wobec Polski, a nie Polska i wielkie mocarstwa*. Wielkie mocarstwa w geopolityce mają większe znaczenie, lecz w tym dziele ich pozycja nie została przedstawiona jako efekt niezrozumiałej małostkowości, spisku czy nieumiejętności zrozumienia cnót i wartości Polski. Wielkie mocarstwa nie są widziane w książce oczyma Polaków, lecz zostały przedstawione tak, jak postrzegały się same: jak widziały siebie i własne interesy".

Wreszcie wartość dzieła podnoszą sygnalizowane już wcześniej wyraziste, ostre, bezkompromisowe – ale zawsze poparte argumentacją, mocno osadzoną w materiale źródłowym – tezy autora, który stara się rzeczowo i chłodno oceniać politykę zagraniczną prowadzoną przez kolejne rządy II Rzeczypospolitej, a następnie gabinety na uchodźstwie w latach wojny. Przykładem może być jego refleksja dotycząca Polski jako podmiotu wielkiej polityki międzynarodowej w interesującym go okresie. Uważa on bowiem, iż tylko w latach wojny polsko-sowieckiej i w pierwszej połowie czwartej dekady minionego stulecia, pamiętnej podpisaniem polsko-sowieckiego i polsko-niemieckiego porozumienia, Rzeczpospolita na krótko zdołała wywalczyć sobie pozycję rzeczywistego, samodzielnego podmiotu polityki międzynarodowej, pozostając w innych okresach – niezależnie od ambicji i wysiłków polskich polityków – pionkiem w grze wielkich mocarstw.

Karski nie pozostawia także złudzeń co do oceny gwarancji brytyjskich i francuskich, danych Polsce przed wrześniem 1939 roku. Określa je jako podpisywane przez Paryż i Londyn „w złej wierze", wskazując nie tylko na fakt, iż „nie zostały wypełnione", ale że jest „nader wątpliwe, czy kiedykolwiek zamierzano się z nich wywiązać". Wielka Brytania i Francja udzielały ich nie po to, aby udzielić militarnego wsparcia Polsce, ale decydując się na hazardowe zagranie, by do wojny nie dopuścić – w stawce nie ryzykowały jednak bezpieczeństwem własnym, lecz państwa polskiego, skuszonego wizją „historycznego przymierza" i uodpornionego dzięki niemu na presję niemiecką.

Równocześnie autor książki podkreśla, iż podbój Polski do wiosny 1939 roku – kiedy to minister Beck uzyskał gwarancje brytyjskie i zdecydował się ostatecznie odrzucić niemieckie propozycje sojuszu militarnego w ramach paktu antykominternowskiego za cenę uznania pretensji III Rzeszy do Wolnego Miasta Gdańska i

budowy eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez polskie Pomorze – nie był celem Hitlera. Jak wskazuje, *führer* „przestrzeń życiową" dla rodaków widział tylko i wyłącznie na bezkresnych obszarach bolszewickiej Rosji („podbój Rosji stanowił warunek absolutnego spełnienia jego marzeń"), a w dziele jej zniszczenia przewidywał sojusznicze miejsce dla Rzeczypospolitej u boku III Rzeszy. Dlatego też „co do roszczeń Niemiec do Polski ograniczył je tak, jak żaden dotąd niemiecki przywódca". Był też przekonany, iż Beck polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy interpretuje jako początek drogi mającej doprowadzić do antysowieckiego aliansu, podczas gdy ten widział w tym porozumieniu właśnie koniec dziejowej drogi i upragniony finał polsko-niemieckich sporów z lat dwudziestych. Stąd relacje polsko-niemieckie w latach 1934-1939 Karski określił jako „politykę nieporozumień".

Wykład zaprezentowany na kartach *Wielkich mocarstw wobec Polski...*, poświęcony dramatycznym losom Rzeczypospolitej, która w okresie dwudziestolecia międzywojennego i drugiej wojny światowej stała się ofiarą „młynów historii", wart jest polecenia – z racji erudycji autora, ale i odwagi, z jaką broni swoich sądów – zarówno zawodowym historykom, jak i amatorom-pasjonatom historii najnowszej Polski i świata. Być może szczególnie należałoby zadedykować go politykom – przede wszystkim dlatego, iż jego autor jawi się jako rzadki nad Wisłą i wśród polskiej powojennej emigracji okaz zdeklarowanego zwolennika *realpolitik* i filozofii „ekonomii krwi", w której łatwym poświęcaniu na ołtarzu historii wielu chciałoby widzieć polską cnotę narodową. Karski wysyła Polakom ożywczy apel nawołujący do porzucenia mrzonek na rzecz realizacji prawdziwej polskiej racji stanu, sformułowany przez znającego historię dziejopisa i doświadczonego przez nią dotkliwie wielkiego polskiego patrioty-państwowca.

Przemysław Waingertner
– prof. nadzw. dr hab. w Katedrze Historii Polski Najnowszej
Instytutu Historii (Wydział Filozoficzno-Historyczny) Uniwersytetu Łódzkiego

Bibliografia:

1. Karski J., *Tajne państwo: opowieść o polskim Podziemiu*, Warszawa 1999.
2. Karski J., *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919-1945 od Wersalu do Jałty*, Poznań 2014.
3. Karski J., Wierzyński M., *Emisariusz. Własnymi słowami*, Warszawa 2012.
4. Korczak J., *Karski*, Warszawa 2001.
5. Korczak J., *Misja ostatniej nadziei*, Warszawa 1992.
6. Jankowski S. M., *Karski: raporty tajnego emisariusza*, Poznań 2009.
7. Wood E. T., *Karski: opowieść o emisariuszu*, Kraków 1996.
8. Żbikowski A., *Karski*, Warszawa 2011.

Chcemy, żeby Centrum było miejscem autentycznej rozmowy i dialogu…

Z Joanną Podolską, dyrektorką Centrum Dialogu im. Marka Edelmana, rozmawia Marcin Kieruzel

Pani Dyrektor, instytucja kultury Centrum Dialogu im. Marka Edelmana została powołana uchwałą Rady Miejskiej 25 sierpnia 2010 roku. Po prawie czterech latach od tej daty oddano w końcu do użytku docelową siedzibę Centrum w Parku Ocalałych. Jak zrodziła się idea powstania Centrum i czemu będzie ono służyło?

Idea stworzenia Centrum Dialogu w Łodzi zrodziła się chyba już podczas obchodów 60. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Getto razem z ideą powstania Parku Ocalałych. Okazało się, że zainteresowanie Łodzią i jej przeszłością wśród byłych żydowskich mieszkańców miasta, ich rodzin, a także mediów prawie na całym świecie jest na tyle duże, że kilkudniowe jednorazowe wydarzenie nie jest w stanie go zaspokoić. Powstała więc idea utworzenia instytucji, która będzie stale – a nie od rocznicy do rocznicy – pracowała na rzecz pamięci. Chciałabym jednak przy tym podkreślić, że temat wielokulturowej pamięci miasta nie jest czymś, co zrodziło się razem z ideą utworzenia Centrum Dialogu. To oddolna praca i pasja wielu ludzi, w tym historyków, nauczycieli, przewodników miejskich, pasjonatów Łodzi, a często po prostu zwykłych łodzian, pozwoliła i pozwala nadal tę wielokulturową przeszłość odkrywać. Bo początkowo, jeszcze w latach 90., nawet gazety rzadko o historii miasta wspominały. Dopiero teraz temat pamięci stał się w pewien sposób modny. Nowa generacja zaczęła ten temat eksplorować, sięgać po dokumenty, relacje, stare fotografie i z nich próbować odtwarzać fascynującą historię tego miejsca. Również nowe pokolenie pisarzy i ludzi kultury wydaje się tematem wielokulturowej Łodzi zafascynowane. I jestem przekonana, że nadal tak będzie…

Chcemy więc, żeby Centrum było miejscem spotkania, autentycznej rozmowy i dialogu pomiędzy tymi, którzy dziś tutaj mieszkają, i tymi, których rodziny kiedyś tutaj mieszkały. Ten dialog zresztą jest ważny także w samej Łodzi. Mam tutaj na myśli właśnie dialog z naszą przeszłością. Ale nie tylko przeszłością. Centrum powinno być też miejscem, gdzie rozmawia się o ważnych sprawach współczesnych. Bo nie powinniśmy się skupiać tylko na tym, co było, chodzi raczej o zrozumienie, jak przeszłość determinuje dzień dzisiejszy i naszą rzeczywistość, a także w jaki sposób nauka płynąca z historii może wpłynąć na jakość naszego życia dzisiaj.

Celem statutowym kierowanej przez Panią instytucji jest „promowania wielokulturowego i wieloetnicznego dziedzictwa Łodzi, ze szczególnym uwzględnieniem kultury żydowskiej". Oczywiście mamy w Łodzi mit „czterech kultur", ale pamięć łódzkich Żydów oraz dramatyczne losy tej społeczności w czasie drugiej wojny światowej wzbudzają wciąż wyjątkowe zainteresowanie…

Tak, właśnie ze względu na to zainteresowanie Centrum zostało utworzone. Również ze względu na to, że my, łodzianie uświadomiliśmy sobie w końcu, jak ogromny wpływ na rozwój naszego miasta miała – i w pewnym sensie ma nadal – społeczność żydowska. Oczywiście Łódź była wielokulturowa. W początkach Łodzi przemysłowej szczególnie dominowała tutaj społeczność niemiecka, z czasem zaczął przeważać żywioł polski. Tylko pamiętajmy, że liczba żydowskich mieszkańców Łodzi na początku XX wieku czy w przededniu drugiej wojny światowej stanowiła 33% mieszkańców, ponad 220 tys. ludzi. Było to więc jedno z ważniejszych skupisk społeczności żydowskiej w świecie. Znaki tej obecności cały czas są w tkance naszego miasta głęboko odciśnięte. Łódź wzbudza więc ogromne zainteresowanie i sentyment wśród społeczności żydowskich na całym świecie. Nawet przez ten krótki czas, od kiedy funkcjonujemy w nowej siedzibie w Parku Ocalałych, miejsce to odwiedziło już wiele rodzin Ocalałych. Niestety, w większości to już drugie i trzecie pokolenie – dzieci i wnuki tych, którym koszmar getta udało się przetrwać, albo tych, którzy wyjechali z Łodzi przed wojną. Często tym ludziom nie chodzi zresztą tylko o zobaczenie miasta, z którego pochodzili ich przodkowie, chcą poszukać głębiej swoich korzeni, chcą budować swoją tożsamość w oparciu o pamięć o swoich przodkach.

Społecznością, która jest również mocno związana z historią łódzkiego getta, jest społeczność romska. Trzeba przypomnieć, że na terenie getta Niemcy utworzyli przecież obóz dla pięciu tysięcy Cyganów z Burgenlandu, których w ciągu trzech miesięcy zamordowali. Dziś w Łodzi i regionie łódzkim społeczność romska jest obecna i staramy się ten temat poruszać, bo krzywdzące stereotypy związane z Cyganami i dziś są niebezpieczne. Rozmawiamy też o tematach rosyjskich, które zwłaszcza w ostatnich miesiącach wydają się bardzo aktualne. Można się oczywiście spierać, jaki

wpływ Rosjanie mieli albo nie na rozwój miasta. Z całą pewnością jednak nasza trudna sąsiedzka przeszłość i związane z nią stereotypy mają wpływ na to, jak na wspomniane rosyjskie dziedzictwo w Łodzi patrzymy. Rozmawianie również o tym jest więc bardzo ważne i potrzebne.

Wróćmy jeszcze na chwilkę do Łodzi żydowskiej. Mówiliśmy o tym, że łodzianie dostrzegają już wpływ społeczności żydowskiej na rozwój naszego miasta, oczywiste jest też zainteresowanie wszystkich tych, których z Łodzią łączą korzenie rodzinne i groby bliskich. Ale to nie wszystko, bo historia diaspory żydowskiej, a w szczególności historia getta stały się dzisiaj ważnym tematem literackim. Powstają w tym temacie nie tylko liczne prace naukowe, ale też powieści, jak choćby bestseller Steva Sem-Sendberga Biedni ludzie z miasta Łodzi.

Mam rzeczywiście wrażenie, że osoby, które nie zajmują się tym tematem, nie mają świadomości, jak bardzo getto i w ogóle dzieje łódzkiej diaspory żydowskiej są obecne w literaturze i historiografii światowej. Bo w Argentynie, w Izraelu, w Australii, w Niemczech powstaje wiele istotnych książek na ten temat. Ostatnio obserwujemy szczególne zainteresowanie Łodzią we Włoszech. Zresztą nasza wystawa o „wielkiej szperze", współorganizowana przez Archiwum Państwowe w Łodzi, Centrum Dialogu i Uniwersytet Łódzki, ma swoją wersję włoską. Była pokazywana w Ge-

Centrum Dialogu im. Marka Edelmana, fot. archiwum Centrum Dialogu

nui, jest teraz w Mediolanie i będzie po tym kraju podróżowała nadal. Również i tam powstała powieść, której autorką jest Dacia Maraini, gdzie łódzkie getto jest tłem wydarzeń. Myślę, że można zaryzykować stwierdzenie, że temat ten jest teraz w wielu intelektualnych kręgach modny. Również postać Chaima Rumkowskiego, przez swoją niejednoznaczność i emocje, które wzbudza nawet po 70 latach, ma ogromny potencjał literacki. Dowodem tego choćby książki Sem-Sendberga i Andrzeja Barta. Kiedy rozmawiam ze studentami, to oni cały czas żywo spierają się, czy droga, którą wybrał Rumkowski, była słuszna, czy może trzeba było wybrać tak jak Adam Czerniakow, czy produkując masowo towary dla niemieckiej armii, łódzkie getto nie przyczyniło się w rzeczywistości do wydłużenia wojny. Są to wszystko skrajnie trudne pytania, na które nie ma i chyba nie będzie jasnych odpowiedzi…

Ale chciałabym powiedzieć, że Łódź zupełnie nie przeczuwa jeszcze kolejnego dużego tematu związanego z kulturą żydowską. Mam na myśli potoczną wiedzę, bo oczywiście osoby zajmujące się tymi sprawami zdają sobie z tego sprawę. Mówimy wiele o getcie, ale w gruncie rzeczy niewiele wiemy o dziełach, które pozostawiła po sobie społeczność żydowska w okresie międzywojennym i trochę wcześniej, na przełomie wieku XIX i XX. Całe bogactwo kultury żydowskiej, literatura w języku żydowskim, poezja tworzona w jidysz i po hebrajsku wciąż są mało znane i czekają na opracowania. Powstała też cała masa wspomnień o żydowskiej Łodzi z lat 20. i 30. XX wieku. Takim przykładem są książki zmarłej niedawno Chavy Rosenfarb, która napisała powieść *Z miłości do Łodzi (Of Lodz and Love)* i znaną lepiej fenomenalną książkę o getcie pt. *Drzewo życia (Tree of Life)*. To potężne dzieło, przetłumaczone już z jidysz na angielski. Mam nadzieję, że uda nam się przetłumaczyć tę powieść i udostępnić ją czytelnikom polskim. Jest też literatura dotycząca Łodzi w języku hiszpańskim, francuskim, angielskim… Warto również wspomnieć o pismach religijnych, bardzo dla nas dziś zagadkowych. Ukazało się kilka wspomnień mówiących o religijnej przeszłości Łodzi. Mam wrażenie, że odkrywając te teksty, poznamy zupełnie nową Łódź, o której do tej pory nie wiedzieliśmy nic lub bardzo mało. To jest fascynujące także dlatego, że materialny obraz świata przedstawionego we wspomnianych książkach i wspomnieniach w dużej mierze pokrywa się z obrazem współczesnej Łodzi. Inaczej niż w wypadku Warszawy, w której nie ma już przedwojennej żydowskiej Krochmalnej i Nalewek, Łódź zachowała po wojnie swoją strukturę przestrzenną. Cały czas mamy więc szansę poczuć albo chociaż wyobrazić sobie klimat przedwojennej Piotrkowskiej, klimat bałuckich zaułków czy atmosferę Starego Rynku.

Pani Dyrektor, przez jakiś czas toczyła się w Łodzi dyskusja na temat nadania Centrum imienia Marka Edelmana. Niektórzy sądzili, że może to utrudnić kontakty ze społecznością żydowską w Izraelu – Edelman bowiem często krytycznie wypowiadał się o polityce współczesnego Izraela. Z tego też powodu nie jest w Izraelu tak

znany i otaczany takim szacunkiem jak np. innych przywódca powstania w warszawskim getcie Antek Cukiermann. Czy rzeczywiście decyzja Rady Miejskiej o nadaniu Centrum im. Marka Edelmana utrudniła kontakty choćby ze współfundatorem Centrum Mordechajem Zisserem?

Może warto wrócić do kalendarza. Idea Centrum Dialogu została ogłoszona w trakcie obchodów rocznicy likwidacji Litzmannstadt Ghetto w 2009 roku. Początkowo nie łączono jej z żadnym patronem. Owszem, toczyły się dyskusje, czy powinno to być centrum im. Jana Karskiego, czy może Marka Edelmana, padały też inne propozycje. Ale stwierdzono, że Centrum Dialogu nie powinno mieć z góry określonego patrona. Formalnie zostało utworzone w sierpniu 2010 roku. Natomiast 2 października 2010 roku przypadała pierwsza rocznica śmierci Marka Edelmana. Radni Rady Miejskiej w Łodzi zaproponowali, żeby Centrum przyjęło jego imię. Wzbudziło to *post factum* sporo dyskusji, również dlatego, że współfundatorem Centrum jest wspomniany przez pana Izraelczyk Mordechaj Zisser, którego rodzina pochodziła z Łodzi i przeszła łódzkie getto. Myślę jednak, że te obawy był mocno przesadzone. Osobiście współpracując z izraelskimi instytucjami, takimi jak Instytut Yad Vashem czy Ghetto Fighters House, nigdy nie spotkałam się z żadnymi obiekcjami wobec faktu, że Centrum nosi imię Marka Edelmana. Edelman był oczywiście postacią wyrazistą, której bezkompromisowe opinie mogły czasem wydawać się kontrowersyjne, ale był przecież przywódcą powstania w getcie warszawskim, które Izraelczycy otaczają wyjątkową czcią. A szacunek, którym Marek Edelman cieszy się w Polsce i w Łodzi, potwierdził ostatnio plebiscyt „Gazety Wyborczej", w ramach którego łodzianie uznali Marka Edelmana za najważniejszą postać 25 lat wolności w Łodzi.

Wspomniała Pani o Janie Karskim. Obchodzimy właśnie setną rocznicę urodzin tego legendarnego kuriera Polskiego Państwa Podziemnego. Karski ze względu na fakt, że urodził się w Łodzi, oraz na swoje zaangażowania w pomoc Żydom w czasie drugiej wojny światowej jest również dla kierowanej przez Panią instytucji bardzo ważny…

Rzeczywiście przygotowywaliśmy się szczególnie do setnej rocznicy urodzin Karskiego. To dla nas ważna postać, również z powodu tego, czym się zajmujemy, czyli dialogu polsko-żydowskiego. Chciałabym też podkreślić, że jest to chyba najważniejszy łodzianin XX stulecia. Promuje Łódź na całym świecie. W ubiegłym roku mieliśmy Rok Juliana Tuwim. Ja uwielbiam poezję Tuwima, cenię to, co robił w literaturze i w języku polskim, jest ważnym twórcą, ale jego twórczość ma przede wszystkim polski wymiar. Karski jest zaś fenomenem o światowym zasięgu. Co

więcej, jest postacią, która mówi o Polsce jak najlepiej i pokazuje nas z tej najszlachetniejszej strony. Naprawdę, mówiąc o Karskim, możemy być dumni.

Jan Karski był człowiekiem, który nie wahał się mówić prosto w oczy prawdy, której nie chciano usłyszeć i której do końca nie usłyszano. Jego misja, którą traktował bardzo osobiście i którą głęboko przeżywał do końca życia, nie przyniosła co prawda wymiernych efektów. Nie udało mu się skłonić ani przywódców aliantów, ani opinii publicznej na Zachodzie do działań mających na celu przyjście z pomocą Żydom w okupowanej przez nazistów Europie. Stał się jednak wielkim i niezłomnym świadkiem sumienia. Przy tym wszystkim był też Karski człowiekiem skromnym. Proszę zwrócić uwagę, że przez wiele lat o swojej misji nie mówił publicznie. Dopiero Claude Lanzmann za sprawą swojego filmu *Shoah* przypomniał tę postać. Myślę, że Jan Karski otwiera nam dzisiaj niezwykle wiele tematów trudnych, takich jak na przykład dialog z Izraelem.

My w Centrum już od półtora roku staramy się osobę Jana Karskiego przybliżać. Nie tylko jako postać, która odegrała istotną rolę w historii Polski w trudnych latach drugiej wojny światowej, ale także jako swego rodzaju wzór do naśladowania. Kogoś, kto mając przed sobą świetne perspektywy i marzenia o karierze dyplomatycznej, nie wahał się ich poświęcić dla wartości, które był dla niego ważne. Zaczęliśmy od Klubu Kuriera, projektu, w który zaangażowaliśmy młodzież z łódzkich szkół średnich. Młodzi ludzie stali się sami ambasadorami-emisariuszami Jana Karskiego, o którym opowiadają nie tylko swoim rówieśnikom, ale też i starszym. Tak się złożyło, że pierwszą wystawę, która zainauguruje działalność Centrum Dialogu w Parku Ocalałych, będzie duża biograficzna wystawa Narodowego Centrum Kultury poświęcona Karskiemu; będzie ona u nas czynna przez cały Rok Karskiego. Warto też przy okazji wspomnieć o wystawie *Jan Karski. Człowiek wolności*, zorganizowanej przez Muzeum Historii Polski, której Centrum Dialogu i Muzeum Miasta Łodzi były partnerami, a ja osobiście zostałam poproszona o napisanie scenariusza. Dzięki współpracy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych udało się ją przygotować w kilku wersjach językowych, dzięki czemu od roku podróżuje ona po świecie. Była już pokazywana w Stanach Zjednoczonych, Izraelu, Rosji, Francji, byliśmy z nią również w Brukseli.

Centrum Dialogu będzie też – o czym już wspominaliśmy – koordynatorem obchodów 70 rocznicy likwidacji Litzmanstadt Getto. Czego możemy się spodziewać po tegorocznych obchodach i czy tak jak to było w trakcie 60 i 65 rocznicy odwiedzą Łódź Ocalali i ich rodziny?

Można się spodziewać, że przez cały ostatni tydzień sierpnia w Łodzi będzie się dużo działo, zarówno w sferze kultury, jak i historii. Planujemy kilka koncertów, między innymi koncert w Parku Ocalałych z muzyką klezmerską z tekstami Jankie-

la Herszkowicza. Planujemy cykl filmowy – 20 filmów – które w ciągu 50 lat powstawały na temat łódzkiego getta. Chcę podkreślić, że Centrum jest koordynatorem miejskich uroczystości i wydarzeń, ale w obchody włączyło się bardzo wiele łódzkich i nie tylko łódzkich instytucji kultury, nauki i stowarzyszeń, dzięki czemu udało się zbudować bogaty program. Wśród projektów wydawniczych, których można się spodziewać w sierpniu, będzie przede wszystkim opublikowana przez Uniwersytet Łódzki *Encyklopedia getta*, a także wspomnienia Ryfki Lipszyc czy powieść graficzna *Naród zatracenia*... Oczywiście spodziewamy się na obchodach wielu gości. Mamy bardzo dużo zapytań od Ocalałych i ich rodzin – i to z różnych zakątków świata. Ważne dla nas jest to, że związek z Łodzią czują nie tylko Ocalali, ale również ich dzieci, a nawet wnuki, które urodziły się poza Łodzią. To wielka szansa na dialog i wspólne działania. Z szacunku dla przeszłości, ale już z myślą o przyszłości.

Rozmawiał: Marcin Kieruzel

Jan Karski
100. rocznica urodzin

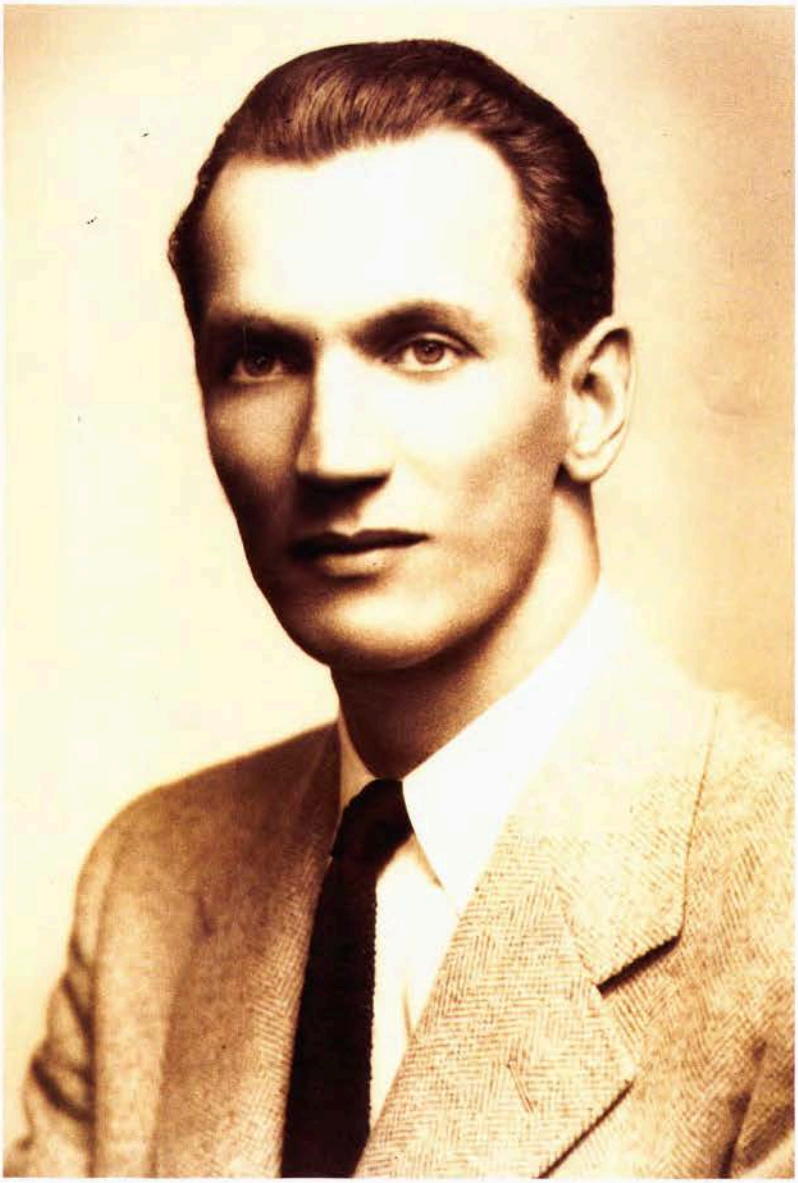

Jan Karski (1914-2000),
Honorowy Obywatel Miasta Łodzi,
Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata

Rodzina Kozielewskich. Od lewej: Aurelia, Marian, Stefan Ignacy, Laura, Józef, Walentyna, fot. Ze zbiorów prywatnych – dzięki uprzejmości rodziny Jana Karskiego

Marian – ukochany brat Jana Karskiego, Laura, Cyprian Kozielewscy, Nowogródek 1924 r., fot. Ze zbiorów prywatnych – dzięki uprzejmości rodziny Jana Karskiego

This passport is valid for travel via North Africa

PASZPORT DYPLOMATYCZNY — **PASSEPORT DIPLOMATIQUE**

London, May 23rd 1943

For the Polish Minister for Foreign Affairs

W. Babiński.

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Wszystkim, komu o tym wiedzieć należy, wiadomo czyniny, iż

Pan Jan Karski

Kurier Dyplomatyczny

urodzony w m. Łgierz

dnia 22 marca 1912

udaje się za granicę

Wobec czego polecamy wszystkim władzom polskim cywilnym i wojskowym oraz prosimy odpowiednie władze zagraniczne aby pozwoliły mu swobodnie przejechać i udzieliły pomocy i opieki w razie potrzeby.

Paszport niniejszy ważny jest do 31 maja 1944

Londyn, dnia 4 maja 1943

za Ministera Spraw Zagranicznych

AU NOM DE LA RÉPUBLIQUE POLONAISE

A tous ceux qui ces présentes verront faisons savoir que

M Jan Karski

Courrier Diplomatique

né à Łgierz

le 22 mars 1912

se rend à l'étranger

En raison de ce nous prions les autorités civiles et militaires polonaises et prions les autorités étrangères de vouloir bien le laisser librement passer et de lui accorder aide et protection en cas de besoin.

Passeport valable jusqu'au 31 mai 1944

Londres, le 4 mai 1943

par Le Ministre des Affaires Étrangères

W. Babiński.

Nº. 1718 L. 1218

Podpis posiadacza
Signature du porteur

Jan Karski.

Paszport dyplomatyczny Jana Kozielewskiego wystawiony na konspiracyjne nazwisko Karski, fot. Z archiwum Muzeum Miasta Łodzi

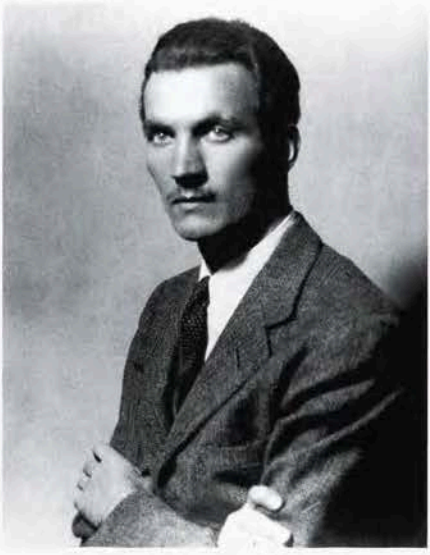

Jan Karski, 1943 r.

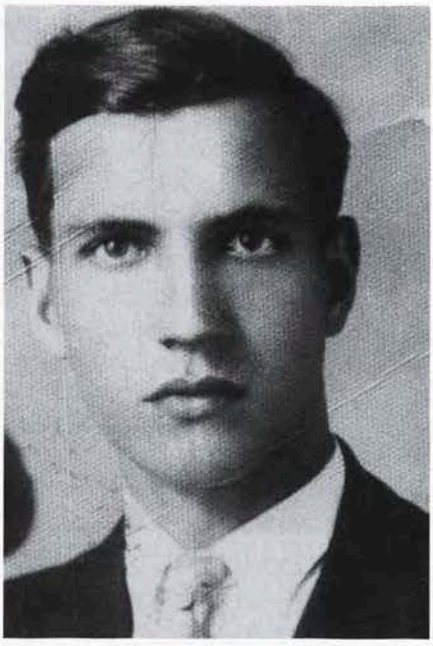

Jan Kozielewski – maturzysta, Łódź, 1931 r.

Karski jako młody pracownik MSZ na balu sylwestrowym z ówczesną narzeczoną, 1939 r., fot. Instytut Hoovera w Californii

Jan Karski, doktorant Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie, 1951 r.

Krzyż srebrny Orderu Virtuti Millitari, przyznany dekretem Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych gen. Władysława Sikorskiego, 1943 r.

Order Orła Białego przyznany Janowi Karskiemu w 1995 r.

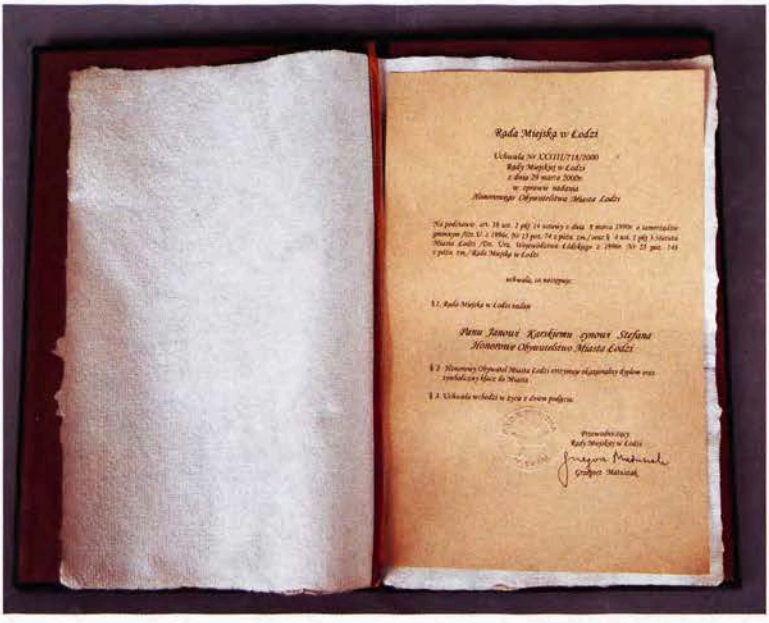

Rada Miejska w Łodzi

Uchwała Nr XXIII/178/2000
Rady Miejskiej w Łodzi
z dnia 29 marca 2000r.
w sprawie nadania
Honorowego Obywatelstwa Miasta Łodzi

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 14 ustawy z dnia 8 marca 1990r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 1996r. Nr 13 poz. 74 z późn. zm.) oraz § 4 ust. 1 pkt 3 Statutu Miasta Łodzi (Dz. Urz. Województwa Łódzkiego z 1996r. Nr 25 poz. 143 z późn. zm.) Rada Miejska w Łodzi

uchwala, co następuje:

§ 1. Rada Miejska w Łodzi nadaje

Panu Janowi Karskiemu synowi Stefana
Honorowe Obywatelstwo Miasta Łodzi

§ 2. Honorowy Obywatel Miasta Łodzi otrzymuje okolicznościowy dyplom oraz symboliczny klucz do Miasta

§ 3. Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

Przewodniczący
Rady Miejskiej w Łodzi
Grzegorz Matusiak

Akt nadania Janowi Karskiemu Honorowego Obywatelstwa Miasta Łodzi, 2000 r.

Fot. Z archiwum Muzeum Miasta Łodzi / www.jankarski.org

Leszek Rózga. Przenikanie i pejzaże wystawa w 90. rocznicę urodzin

Przenikanie III, 1969, akwaforta, 49,7x32,2, fot. Radosław Jóźwiak

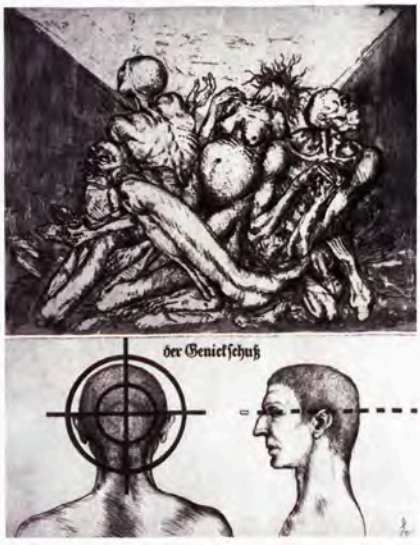

Przenikanie XIII – genickschuss, 1970, akwaforta, akwatinta, 64x49,5, fot. Radosław Jóźwiak

Przenikanie X albo Lewitacja, 1970, akwaforta kolor, 64,5x49,5, fot. Mariusz Łukawski

Zmagania (Przenikanie IX), 1970, akwaforta, akwatinta, 64x48,7, fot. Radosław Jóźwiak

Toskania – Leonardo, 1993, akwaforta kolor, 24,8x29,8, fot. Radosław Jóźwiak

Toskania – Ogrody II, 1994, akwaforta, suchoryt, 25x29,8, fot. Radosław Jóźwiak

Pejzaż wiosenny, 1976, akwaforta kolor, 32,2x24,8, fot. Mariusz Łukawski

fot. z archiwum Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

kultura

90-lecie Leszka Rózgi
Moja twórczość jest rozmową z samym sobą
Grzegorz Matuszak
str. 69

10 lat Atlasa Sztuki
Od Romana Opałki do Katarzyny Kozyry
Dominika Łarionow
str. 79

Pustostan
Błażej Filanowski
str. 88

90-lecie Leszka Rózgi

Moja twórczość jest rozmową z samym sobą

W kameralnej galerii Re:Medium przy ul. Piotrkowskiej 113 w czasie trwania wystawy *Przenikania i pejzaże* 18 marca 2014 roku swoje 90 urodziny obchodził znakomity artysta grafik i malarz, profesor Leszek Rózga, od dzieciństwa związany z Łodzią. Były adresy gratulacyjne od ministra kultury, łódzkiej Rady Miejskiej i pani prezydent miasta, kwiaty, serdeczne życzenia oraz wypełniające galerię liczne grono kolegów artystów, dawnych studentów profesora i wielbicieli jego sztuki. Podkreślano, że znakomite dzieła graficzne i malarskie Jubilata niosą głęboką, humanistyczną refleksję o człowieku oraz skłaniają do podziwu dla ich walorów warsztatowych. Mistrz dziękował, recytując z dużą ekspresją *Burzę*, jeden z *Sonetów krymskich* Adama Mickiewicza, której przesłanie niosą słowa: „szczęśliwy kto [...] ma z kim się żegnać". Ale Leszek Rózga jest w dobrej formie artystycznej i mimo upływu czasu ciągle tworzy, w jego pracowni powstają wciąż nowe rysunki i grafiki i na wszelkie pożegnania jest zdecydowanie za wcześnie. Jednak 90 rocznica urodzin skłania do próby przypomnienia życia i dzieła artysty.

Leszek Rózga urodził się 18 marca 1924 roku w Zgierzu. Ojciec Jubilata był zawodowym wojskowym, a niepracująca matka miłośniczką literatury, teatru i muzyki. To właśnie ona wpłynęła na charakter i humanistyczne zainteresowania syna. Rodzina Rózgów w 1929 roku przeniosła się do Łodzi. Tutaj przyszły artysta poznał w 1936 roku artystę malarza Karola Hillera, który zainteresował się jego rysunkami, ocenił, że ich autor ma fantazję i wyobraźnię, oraz zalecił mu rysowanie z natury i ćwiczenie oka. Po latach Leszek Rózga wspominał, że wielkie wrażenie wywarły na nim obrazy Jankiela Adlera, które zobaczył u Hillera. Zaczęła dojrzewać w nim myśl, że w przyszłości będzie malarzem.

Leszek Rózga,
fot. Adriana Michalska

Ambitne plany życiowe pokrzyżował wybuch drugiej wojny światowej. W 1940 roku Leszek Rózga został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec. Pracował w fabryce beczek w Altdamm koło Szczecina. W wolnych chwilach rysował liczne portrety współwięźniów, część rysunków zachowała się.

W 1942 roku Leszek Rózga uciekł z obozu pracy, został aresztowany i trafił do więzienia w Berlinie. Udało mu się uzyskać zwolnienie i wyjechał do pracy w cegielni w Grossenbaum pod Duisburgiem. Znajomość języka niemieckiego i względnie znośne warunki pracy przymusowej w Nadrenii umożliwiły samokształcenie. We wspomnieniach z czasów wojny Leszek Rózga pisze, że zaczął kupować niemieckie pisma traktujące o sztuce, między innymi „Kunst dem Volk".

> Dzięki temu pismu dokształcałem się, zapoznając się z reprodukcjami dzieł najwybitniejszych twórców renesansu, baroku, rokoko, ale i czasów romantyzmu i realizmu francuskiego i niemieckiego. Zachwycałem się Dűrerem, Rembrandtem i klasykami renesansu z Leonardem i Michałem Aniołem na czele. Fascynował mnie wtedy Rubens.
> Dokształcałem się, bo nie chciałem być pokonany i zepchnięty przez pracę i niewolę do roli ciemnego pariasa. Rysowałem z natury pejzaże, wnętrza, por-

Toskania – Rafael, 1993 r., akwaforta, repr. Radosław Jóźwiak | str. 2

trety, studiowałem też akt, z konieczności męski. Konfrontowałem moje prace ze znanymi mistrzami rysunku. Uczyłem się od nich operować kreską i plamą. Ciekawość budziła we mnie sztuka, którą hitlerowcy nazywali sztuką zwyrodniałą. Do tej zwyrodniałej sztuki zaliczano również twórczość niemieckich ekspresjonistów, których reprodukowane prace dodatkowo budziły moją ciekawość.

W kwietniu 1945 roku Leszek Rózga został wyzwolony przez armię amerykańską i trafił do obozu dipisów (*displaced persons* – określenie osób wywiezionych na przymusowe roboty przez Niemców, które nie wróciły do kraju zaraz po zakończeniu wojny) w Mülheim w Zagłębiu Ruhry. Tam uczestniczył w życiu artystycznym obozu, występował w teatrze amatorskim, uczył się malarstwa i rysunku, zdał tak zwaną małą maturę. Pogłębiał swoje zainteresowania sztuką, zwłaszcza niemieckim ekspresjonizmem. Uczestniczył w organizowanych przez UNRRA wystawach plastycznych, na których otrzymywał nagrody i wyróżnienia za rysunki. W grudniu 1946 roku na apel matki powrócił do Polski.

W 1948 roku Leszek Rózga zdał maturę w Liceum im. S. Staszica w Zgierzu i rozpoczął studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi

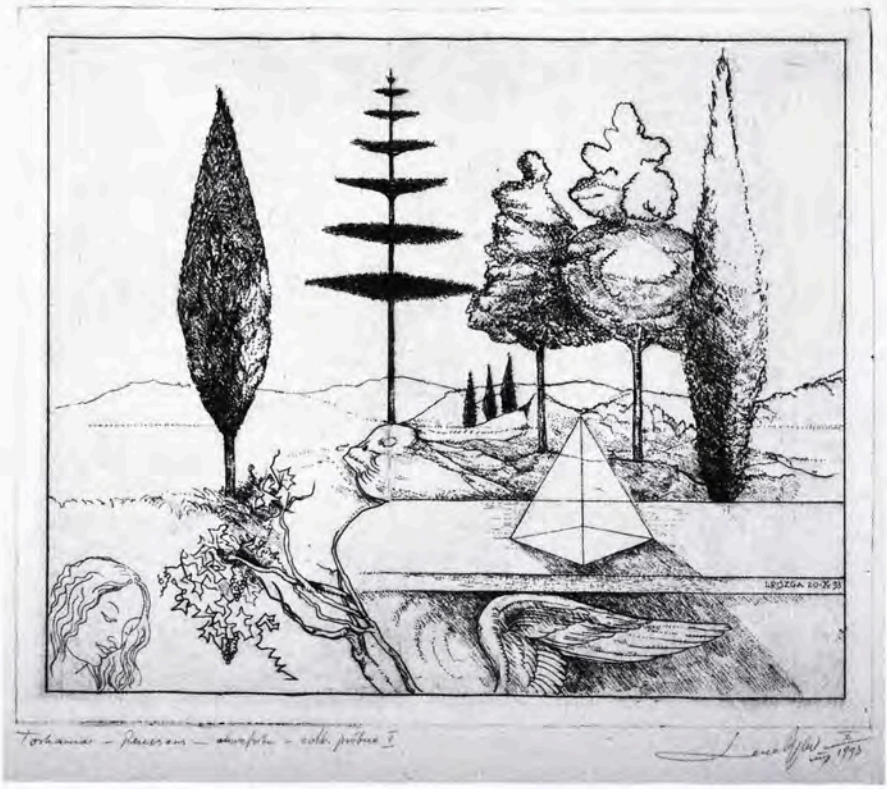

str. 3 Toskania – Renesans, 1993 r., akwaforta, repr. Mariusz Łukawski

pod kierunkiem profesorów Adama Rychtarskiego, Stefana Wegnera, Ludwika Turowicza i Władysława Strzemińskiego. W 1952 roku musiał przenieść się do Katowic na Wydział Grafiki Propagandowej w tamtejszej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, która wkrótce stała się filią krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, w Łodzi został bowiem zlikwidowany Wydział Plastyki Przestrzennej PWSSP. W czerwcu 1954 roku Leszek Rózga uzyskał z wyróżnieniem dyplom ukończenia ASP w Krakowie.

W latach 50. ubiegłego wieku artysta malował figuratywne obrazy olejne, tempery i gwasze, częstym motywem jego prac były widoki Zgierza i okolicznych miasteczek. Wystawiał swoje prace w Łodzi, Warszawie i w Sopocie. W latach 1960-1963 stworzył cykl grafik zatytułowany *Rudery*, w których ukazywał małomiasteczkowe pejzaże, zmurszałe domy i zagracone podwórka. Był to świat bez nadziei, świat gnuśnych ludzi wegetujących w rozpadających się budynkach, ludzi pozbawionych marzeń i oczekiwania na lepszą przyszłość.

Równolegle z *Ruderami* w latach 1961-1964 powstał cykl grafik *Relikty*, poświęcony przemijaniu i niszczącemu działaniu czasu. Leszek Rózga wyrażał w pracach z tego cyklu egzystencjalny lęk przed destrukcją człowieka i otaczającego go świata. Tę pesymistyczną wizję kontynuował w kolejnym cyklu grafik zatytułowanym *Zmory i bezmiary*. Wyraźnie w tym czasie artysta pozostawał pod wpływem estetyki

Od lewej: Prof. Grzegorz Matuszak, Prof. Leszek Rózga, fot. Adriana Michalska

turpizmu, fascynował go dramatyzm brzydoty, lęki i obsesje ludzkie. Sam Leszek Rózga nazywa siebie moralizatorem, który boi się „brutalności i przemocy, okrucieństwa, które jest w każdym z nas. Wieczny niepokój, niepewność jutra mojego i jutra wszystkich miesza się ciągle z nadzieją i wiarą, że człowiek pokona zwierzę, że duch pokona ciało".

Ten metafizyczny lęk i egzystencjalne sprzeczności ludzkich aspiracji i przeznaczenia, przybierające postać metaforycznych kompozycji, występują także w cyklu graficznym *Przenikania*, powstającym w latach 1967-1970. Okres ekspresjonistyczny w twórczości Leszka Rózgi zamyka cykl *Śmietniki* z lat 1969-1972.

W latach 60. ubiegłego wieku artysta odbył pierwszą podróż zagraniczną na Węgry, uczestniczył w międzynarodowej wystawie grafiki w Lugano, miał pierwszą indywidualną wystawę swych prac w Wiedniu. Prace Leszka Rózgi były prezentowane na wystawach polskiej grafiki w Czechosłowacji, Jugosławii, Niemczech, Norwegii, Szwecji, Holandii i we Włoszech.

W 1967 roku artysta rozpoczął pracę w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi jako prowadzący zajęcia z grafiki. Cztery lata później, w 1971 roku, wraz ze Stanisławem Fijałkowskim i Romanem Artymowskim zorganizował w łódzkiej PWSSP Wydział Grafiki. Został mianowany docentem i kierownikiem pracowni wklęsłodruku oraz prodziekanem nowo powstałego Wydziału.

W latach 70. odbył podróże do Niemiec, Jugosławii, Anglii i Szkocji, Hiszpanii i Francji. W 1973 roku powstały pierwsze prace z cyklu *Kartki z albumu*, a od 1976 roku cykl *Pejzaże wiosenne*. Metaforyczne *Pejzaże* artysta kontynuował przez prawie 20 lat, aż do 1997 roku. Po niespokojnych, egzystencjalnych lękach cechujących wcześniejsze prace artysty przychodzą prace pełne prostoty, ukazujące przedmioty i pejzaże wywołujące sympatię oraz poczucie spokoju.

Leszek Rózga osiąga stan wewnętrznego ukojenia, podkreśla swą serdeczność i życzliwość wobec przyrody. Pozostaje w jego pracach nostalgiczna tęsknota za innym światem niż ten realny, wolnym od zgiełku, przynoszącym ciszę, odprężenie psychiczne, harmonię myśli i emocji. Artysta skierował swoją uwagę ku naturze, tworząc impresyjne pejzaże, które pozwoliły mu odejść od świata dramatycznych konfliktów ku łagodzącej napięcia przyrodzie. We wspomnianych wyżej cyklach Leszek Rózga osiągnął prawdziwe warsztatowe mistrzostwo.

Obok wielkoformatowych grafik warsztatowych artysta tworzył także graficzne miniatury i ekslibrisy, a równolegle z grafiką powstawały monotypie i rysunki, w których można odnaleźć motywy występujące w jego akwafortach i suchorytach. Od 1949 roku Leszek Rózga uprawia także malarstwo; początkowo są to obrazy olejne, później malowane temperą i farbami akrylowymi, a od lat 80. dominują w jego twórczości malarskiej akwarele i prace wykonane kredką i gwaszem, w których najczęstszymi motywami są nostalgiczne pejzaże z okolic Łodzi. Część odbitek graficznych artysta wzbogaca o kolor poprzez ich podmalowanie właśnie akwarelami.

W 1979 roku Leszek Rózga otrzymał tytuł profesora. Aż do osiągnięcia wieku emerytalnego, czyli do 1994 roku, kontynuował pracę dydaktyczną w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych im. Władysława Strzemińskiego. W latach 80. i 90. odbył liczne podróże zagraniczne, między innymi do Hiszpanii, Turcji, Danii, Izraela, Włoch i USA. Często zapraszany był do Niemiec, gdzie jego twórczość cieszy się szczególnym uznaniem i popularnością. Rezultatem wspomnianych podróży są kolejne cykle rysunków i grafik: *Donkichoteria, Dulcynejada, Egea, Toskania, Monumenty i Kaniony, Sycyliana, Z Ziemi Świętej – Izrael, Z wyspy Sylt.*

Leszek Rózga sam podkreśla, że każdy z 16 cykli graficznych „powstawał w określonym czasie i był inspirowany refleksją nad istotą istnienia, bytem osobistym, akceptacją, protestem, tęsknotą, rozmową wewnętrzną". Za najważniejsze autor uważa *Rudery, Przenikania, Kartki z albumu, Pejzaże* i *Donkichoterię.*

Z upływem lat i z kumulacją doświadczeń życiowych artysta coraz silniej podkreślał swój duchowy związek z przyrodą. W związku z cyklem Toskania pisał w 1996 roku:

> [...] w pewnym wieku człowiek skłonny jest z perspektywy lat przebytych spojrzeć wstecz krytycznie. Szuka prawdy poza sobą. Wszystko przemija, a to co jest inspiracją dla tego, co widzi, słyszy, czuje, istnieje poza czasem. W przyrodzie jest wszystko.
> Gdy oglądam obrazy mistrzów renesansu, poza ich treścią i formą istnieje notacja pejzażu. Treści i formy przemijają, a pejzaż, w tym wypadku pejzaż Toskanii, pozostaje taki sam, niezmieniony, niezmienny. Budzi się refleksja – ja prze-

Na krzesłach siedzą od lewej: Leszek Rózga, Waleria i Stanisław Fijałkowscy, fot. Adriana Michalska

minę, a te wzgórza, ten zapach, to niebo, cyprysy pozostaną, pozostanie też duch miejsca. Pozostanę również „ja" w „mojej" Toskanii.

Godna przypomnienia jest jeszcze inna refleksja Leszka Rózgi wyrażona w 1997 roku po obejrzeniu w Berlinie wystawy *Sztuka nowoczesna w XX wieku:*

> [...] sztuka, która zrywa z przedmiotowością, nie nawiązuje do świata, który nas otacza, do przyrody, w której i mikro- i makroświat jest zawarty, staje się tylko czystą dekoracją.
> Prawdziwa sztuka człowieka związana jest z ziemią i życiem duchowym istoty ludzkiej. Mody przemijają, cywilizacje przemijają, ideologie przemijają, a prawdziwa sztuka człowiecza trwa i trwać będzie tak długo, jak człowiek istnieć będzie.

Potwierdzeniem tych myśli są wrażenia artysty z podróży do Izraela:

> [...] przede wszystkim zostałem oczarowany miejscem i przyrodą. Miejsce i świadomość o tym miejscu, gdzie przez wieki kształtowała się duchowa kultura współczesnych narodów, gdzie wyrosły trzy mity, trzy religie powstawały, gdzie przez wieki cała ludzkość kształtowała swoje współczesne oblicze ze swymi wspaniałymi osiągnięciami i przekleństwem, z miłością i nienawiścią, które w nas ciągle tkwią, a tu je jakby wyraźniej widać. Tu człowiek uprzytamnia sobie swoją dwoistość. Przyroda niezmienna od setek tysięcy lat przykuwa uwagę i promieniuje z taką siłą, że człowiek jest świadom swojej nicości i świadomy zależności od nieskończonego, którego jest częścią. Aura tego miejsca, którą przeczuwałem, wypełniła mnie i tkwi mocno. Jestem niczym.

Twórczość graficzna i malarska Leszka Rózgi jest ciągłą rozmową z samym sobą o sensie istnienia. Swoje zainteresowanie człowiekiem i naturą oraz związkami między nimi zachodzącymi artysta przedstawia w trzech płaszczyznach: treści grafiki lub obrazu, w warstwie formalno-warsztatowej oraz w warstwie filozoficznej. Artysta poprzez swą wspaniałą sztukę wyraża lęki, nadzieje i emocje każdego człowieka, który stara się odnajdywać odpowiedzi na pytania dotyczące własnej egzystencji.

Błyskotliwa wyobraźnia, bogaty, metaforyczny przekaz lęków człowieka uwikłanego w sprawy otaczającego go świata oraz poetycka aura emanująca z każdego dzieła Leszka Rózgi skłaniają odbiorców jego sztuki do podziwu i zachwytu przynależnych tylko dziełom wielkim i ponadczasowym.

Ale Leszek Rózga jest nie tylko grafikiem i malarzem. Od ponad pięćdziesięciu lat na skrawkach papieru, w notatnikach i kalendarzach artysta robi zapiski liryczne, często nawiązujące do jego prac graficznych, obrazów i rysunków. Podobnie jak w twórczości plastycznej artykułuje w nich swoje myśli i nastroje, nadzieje, tęsknoty i poczucie ulotności chwili, egzystencjalne lęki i świadomość przemijania. Są

to zapiski artysty niezwykle wrażliwego na metaforę słowa i zarazem dojrzałego, doświadczonego przez życie człowieka, który potrafi własne wrażenia uogólnić w humanistyczną refleksję o ludzkim losie.

Z tych zapisków lirycznych powstał tomik *Stoję na krawędzi* (Łódź 2003), w którym poszczególne wiersze zostały dopełnione małymi formami graficznymi. Są one swoistym komentarzem, emocjonalnym uzupełnieniem, a czasem kontrapunktem dla miniatur poetyckich. Spośród 44 wierszy pozwalam sobie przytoczyć trzy:

Daleko i blisko
Daleko i blisko,
Ślimakiem podążać,
Czy lecieć tam ptakiem?
Cel w oddali majaczy,
Czuję ciepło miękkiej dłoni,
Drżę.
Jak najszybciej tam być,
Jak najdłużej tam płynąć.

Myślą Cię ogarniam
Myślą Cię ogarniam
Jak marzeniem.
Sercem Cię ogarniam
Jak pragnieniem.
Szukam Ciebie ciągle i pustka wokół.
Jesteś we mnie tęsknotą,
Wyczekiwaniem jutra,
Mgłą.

Stoję na krawędzi
Stoję na krawędzi,
Czuję ciężar otchłani.
Brak skrzydeł zniewala.
A może tak runąć,
Poddać się chwili,
Stać się kamieniem?

Pięć lat później ukazał się drugi zbiór miniatur lirycznych Leszka Rózgi *U kresu wędrówki* (Łódź 2009). W krótkich utworach pisanych białym wierszem artysta formułuje podstawowe pytania dotyczące sensu życia, pamięci, przemijania i dochodzenia do kresu istnienia. Artysta szuka odpowiedzi i ze stoicką powściągliwo-

ścią, dostępną tylko ludziom mądrym, którzy wiele przeżyli i wiele zebrali doświadczeń, tworzy swoje rozliczenie z życiem.

W lirycznych, pełnych emocjonalnego napięcia miniaturach poetyckich stary poeta godzi się z losem, upływającym czasem, nieuchronnością śmierci. Ma poczucie osamotnienia i konieczności indywidualnego rozliczenia się z przeszłością, bez poszukiwania transcendentnych ułatwień i złudzeń. Wie, że człowiek jest zawsze sam, gdy przychodzi mu uporać się ze wspomnieniami, odchodzeniem bliskich, samotnością, chorobą i cierpieniem, gdy przeczuwa kres drogi, z której nie ma powrotu.

W tomiku *U kresu wędrówki* miniaturom lirycznym towarzyszy kilkadziesiąt autoportretów autora powstałych w okresie 1968-2008. Artysta od lat utrwala w rysunkach, obrazach i grafikach swoją twarz, zafascynowany nastrojem chwili i mijającym czasem, który na jego twarzy zostawia coraz bardziej wyraziste ślady. Wydaje się, że właśnie autoportrety, często mające tylko postać szkicu, będące studium lub fragmentem większej kompozycji, są najlepszym dopełnieniem myśli wyrażonych w poetyckim przesłaniu Leszka Rózgi i pokazują komplementarność słowa i obrazu, tak charakterystyczną dla ostatniego etapu twórczości artysty.

Już tam nie wrócę
Widzę daleką przestrzeń,
Rozległą.
Tam byłem,
Już tam nie wrócę.
Za mgłą ukryte widoki snów.
Marzeń nie stało, Bezsens istnienia
Zamykam w sercu.

Tęsknota
Znów mówi do mnie.
Pyta czy pamiętam?
Czy wspominam?
Czy tęsknię?
Czyż mógłbym zapomnieć?
Gdyby nie te wspomnienia,
Gdyby nie te tęsknoty,
Nie byłoby sensu życia,
Nie byłoby życia.

Prośba
Budzisz z mroków snu
Przeszłości tęsknotę.

Trwaj proszę jeszcze chwilę!
Daj możność smakować
Godziny ulotne.
Jeszcze się we mnie tli
Wspomnienie poranka.

W czasach pośpiechu, życia dniem dzisiejszym i coraz większego ubóstwa we wzajemnym komunikowaniu sobie spraw ważnych grafiki, obrazy, rysunki i miniatury poetyckie Leszka Rózgi skłaniają do zadumy, do własnej refleksji nad sensem istnienia.

Prace plastyczne Leszka Rózgi znajdują się w licznych publicznych i prywatnych zbiorach polskich i zagranicznych, między innymi w Muzeach Narodowych w Kielcach, Krakowie, Poznaniu, Szczecinie, Warszawie i Wrocławiu, Muzeum Sztuki w Łodzi, Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi, Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego, Bibliotece Wojewódzkiej im. Marszałka J. Piłsudskiego w Łodzi, Bibliotece Narodowej w Warszawie i Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Wrocławiu oraz Bibliotece Narodowej w Paryżu, Ermitażu w St. Petersburgu, Albertinie w Wiedniu i zbiorach graficznych w Bremie, Erlangen, Getyndze, Hamburgu i Oldenburgu.

Artysta jest odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi (1976), Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1985), Nagrodą Artystyczną m. Łodzi oraz Nagrodami Ministra Kultury i Sztuki I i III stopnia za osiągnięcia w dziedzinie grafiki. W 2004 roku otrzymał Honorowe Obywatelstwo Miasta Zgierza.

Łódź może być dumna, że od blisko 40 lat mieszka i tworzy wśród nas wielki artysta, mistrz współczesnej grafiki Leszek Rózga, który swą twórczością na trwałe zapisał się w historii polskiej sztuki.

Grzegorz Matuszak
Prof. dr hab. UŁ, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w Łodzi

Wszystkie cytowane wypowiedzi artysty według katalogu *Leszek Rózga – rysunek, grafika, malarstwo*, Łódź 2005.
Fotografie i reprodukcje dzięki uprzejmości Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

Bibliografia:

1. *Leszek Rózga- rysunek, grafika, malarstwo*, katalog wystawy, Miejska Galeria Sztuki, Łódź 2005.
2. Matuszak Grzegorz, Leszek Rózga – poeta [w:] „Akapit" tom 5 / 2010, s. 96-100.
3. Rózga Leszek, *Wspomnienia z lat 1924-1946*, Łódź 2012.

10 lat Atlasa Sztuki

Od Romana Opałki do Katarzyny Kozyry

W październiku 2003 roku wystawą Romana Opałki *1965/1 – co* zainaugurował działalność w Łodzi Atlas Sztuki. Powstała dość nietypowa jak na czasy kultury konsumpcji galeria sztuki współczesnej. Aspektu wyjątkowości przydaje tej placówce sposób jej funkcjonowania. Stanowi ona prywatną inicjatywę Andrzeja Walczaka, założyciela i współwłaściciela firmy Atlas. Obecność w sferze sztuki stanowi pod względem prawnym i organizacyjnym odrębną formę, istniejącą poza strukturą dużego przedsiębiorstwa, które jest na rynku polskim wiodącym producentem m.in. klejów do glazury i terrakoty, fug, zapraw murarskich, farb elewacyjnych itd.

W 2006 roku Atlas Sztuki uzyskał status organizacji pożytku publicznego, może się więc ubiegać się o jednoprocentowy odpis podatku od osób fizycznych. Jako prowadząca działalność w sferze kultury instytucja o charakterze niekomercyjnym podlega kontroli Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W tym miejscu od razu pojawiają się dwa paradoksy. Po pierwsze, w sprawozdaniach firmy kwota uzyskana w ramach odpisu podatkowego rokrocznie nie przekracza sumy 1500 zł. Po drugie, galeria nigdy nie uzyskała dotacji z ministerstwa, chociaż kilkakrotnie podjęła takie starania. Prawo otrzymania środków mają wszystkie instytucje o statusie niekomercyjnej placówki kultury. Atlas Sztuki w ciągu dziesięciu lat odniósł sukces, stając się jedną z wiodących sal ekspozycyjnych sztuki współczesnej w Polsce, kilkakrotnie wygrywając ranking najlepszych galerii prywatnych na łamach tygodnika „Polityka". „Tygodnik Powszechny" w 2010 roku przyznał Atlasowi Sztuki czwarte miejsce wśród najlepszych ogólnopolskich placówek kultury działających na niepublicznym rynku sztuki współczesnej.

Mecenat nie tylko finansowy

Zdobycie uznania wśród historyków i krytyków sztuki oraz samych artystów nie było łatwe, jak by się mogło pozornie wydawać. Mecenat Andrzeja Walczaka z pewnością był i jest kołem zamachowym szeregu inicjatyw. Ważne miejsce w historii pierwszej dekady zajmuje Jacek Michalak, który od początku prowadzi galerię. To ciekawa osobowość. Jest doktorem nauk chemicznych, na co dzień wiceprezesem Zarządu Grupy Atlas odpowiedzialnym za rozwój firmy, jest również ekspertem przy Komitecie Technicznym Europejskiego Komitetu Normalizującego CEN/TC67 oraz członkiem Rady

Naukowej Instytutu Techniki Budowlanej w Warszawie. Atlas Sztuki stał się jego pasją i hobby, co również przełożyło się na felietony, które publikował na łamach „Art & Business" w latach 2005-2010. Galeria wiele zawdzięcza jego uporowi i determinacji. Budzi też podziw kompetencja osób zajmujących się konstruowaniem ekspozycji, a niebędących z wykształcenia historykami sztuki czy artystami. To powoduje, że w gronie znawców Atlas Sztuki stał się niebywałym *enfant terrible* świata polskich galerii prywatnych. Przełamał wszelkie utarte schematy oraz tradycyjne sposoby myślenia wywiedzione przynajmniej na terenie Łodzi ze stygmatu dziewiętnastowiecznego fabrykanta.

Walczak usytuował swoją galerię w nietypowym miejscu, wydawałoby się, że zapomnianym, odsuniętym od centrum, ratując wartościowy obiekt dla historii architektury. Atlas Sztuki mieści się bowiem w parterowym budynku, który zbudowano w obszernym podwórku kamienicy pod adresem Piotrkowska 114/116. Powstał on na planie prostokąta, z rzędami wielkich okien zakończonych półokrągło, a kunsztu dodają bryle sztukaterie i kolumny z kapitelami. Autorem projektu architektonicznego był David Lande, jeden z ważniejszych architektów łódzkich działający od końca XIX wieku, a zleceniodawcą ówczesny właściciel posesji Jonasz Warszawski. Obiekt ten, przeznaczony pod halę targową, powstał w latach 1896-1899. Istnieją przypuszczenia, że mógł również służyć jako sala widowiskowa dla teatru żydowskiego. Niestety w dostępnej dokumentacji nie ma wzmianek na ten temat. Nie można jednak wykluczać, że mógł on być wykorzystany na zasadzie użyczenia na potrzeby przedstawień *purimszpil*, które wywodzą się z chasydzkiej tradycji obchodów święta Purim, a

były w owym czasie niezwykle popularne. W okresie drugiej wojny budynek został zdewastowany przez okupantów, a po 1945 roku był prowizorycznym domem modlitwy, magazynem, później zaś m.in. drukarnią Związku Polskich Artystów Plastyków. W 2003 roku Atlas Sztuki podpisał umowę najmu z dwoma obecnymi właścicielami, która obowiązuje do 2017 roku. Firma podjęła się renowacji budynku i przebudowania wnętrza pod obecną funkcję. O rozmiarach zniszczeń może świadczyć już anegdotyczna przypowieść o wyłowieniu setki utopionych szczurów w podziemiach obiektu.

Wystawa otwierająca działalność z punktu widzenia historycznego była doskonałym początkiem, gdyż zaprezentowała artystę polskiego związanego z nurtem sztuki konceptualnej, o światowej renomie, którego prace – chociaż znane z kolekcji muzealnych – były wówczas rzadko dostępne na ekspozycjach indywidualnych. Jednak Opałka nie przyciągnął w progi nowej galerii historyków czy krytyków sztuki. Wystawa miała nikły oddźwięk medialny. Zainteresowanie wzbudziła natomiast następna wystawa. Była nią prezentacją malarstwa i fotografii Davida Lyncha, reżysera, dobrze znanego szerokiemu odbiorcy nie tylko ze względu na filmy (m.in. *Blue Velvet* czy *Dzikość serca*), ale przede wszystkim jako autora kultowego serialu lat 90. *Twin Peaks. Ogniu krocz ze mną*. Nazwisko autora, doskonale funkcjonujące zarówno w sferze kultury popularnej, jak i wysokiej, przyciągnęło do galerii dziennikarzy wszystkich mediów. Był to z pewnością pierwszy ważny dla Atlasa Sztuki atut wizerunkowy. Trzecia wystawa zatytułowana *Pozytywy i Mistrzowie* autorstwa Zbigniewa Libery odbyła się w kwietniu 2004 roku i była sukcesem merytorycznym. Atlas pokazał artystę kontrowersyjnego, funkcjonującego wówczas w obrębie tzw. sztuki krytycznej, który tym pokazem atakował nie tylko świat zastanych schematów kanonu sztuki współczesnej, ale również mentalną pamięć kultury ubiegłego wieku. Wystawa obrosła w bogatą bibliografię fachową, była również prezentowana poza Łodzią prawie we wszystkich ważnych galeriach w Polsce i w Europie, a Libera sprzedał swoje prace do kolekcji muzealnych. Artysta ten należy do grona twórców, którzy powracają do Atlasa Sztuki. W 2013 roku przygotował ekspozycję pt. *Płaska rzeczywistość*, która stała się prowokacją względem nowej kreacji, którą daje druk 3D.

Między awangardą a nieawangardą

Do chwili obecnej Atlas przygotował 69 wystaw. Niestety z racji ograniczeń publikacji nie można omówić ich wszystkich. Skupię się jedynie na pewnych jasno dostrzegalnych tendencjach czy raczej preferencjach widocznych w pierwszej dekadzie działalności galerii. Prezentuje ona sztukę wywodzącą się w większości z dorobku awangard I poł. XX wieku, stąd m.in. przygotowana przez Józefa Robakowskiego jako kuratora wystawa *Front wschodni* (2012), prezentująca niezwykłą „siłę desantu rewolucyjnych artystów", jak ich określił w komentarzu pomysłodawca. Pokazał on istotne z punktu widzenia tzw. rozwoju twórczego myślenia zetknięcie artystów wywodzących się z Rosji I poł. XX wieku z Polską oraz konsekwencje owego niezwykłego zderzenia. Specyficz-

nym uzupełnieniem była pokazywana nieco wcześniej w 2012 roku prowokacyjna zbitka Anny Baumgart i Andrzeja Turowskiego *Zdobywcy słońca / Parowóz dziejów*. Przedstawiono w niej film zrobiony z zachowaniem wszelkich reguł obrazu dokumentalnego, z uwzględnieniem fachowego komentarza cenionego historyka sztuki. Film omawiał dzieje pociągu przyjaźni, który rzekomo miał ruszyć w połowie lat 20. XX wieku z Moskwy do Berlina z dziełami sztuki konstruktywistycznej. Kiedy zatrzymał się w Koluszkach, został tu wysadzony w powietrze. Fikcyjna opowieść w sposób zabawny wpisała się w dyskusje znawców sztuki o wyższości i wadze miejsca kolekcji sztuki nowoczesnej, która toczy między dwoma rywalizującymi miastami, czyli Łodzią i Warszawą. Specyficznym *continuum* wątków rosyjskich jest dwukrotna obecność artystów: Ilyi i Emilii Kabakovów (*10 albumów*, 2006; *What we shell see after Death*, 2008). Małżeństwo twórców o korzeniach żydowsko-ukraińskich od lat specjalizuje się w sztuce instalacji. Wcześniejsze prace Ilyi oraz te, które od ponad dwudziestu lat są sygnowane przez parę, często nawiązują do rosyjskości jako kategorii mentalnej. Artyści stają się kontynuatorami tradycji wielkiej awangardy, przetwarzając ją poprzez zawiłą historię II poł. XX wieku.

Uczniowie Strzemińskiego

Atlas przypomniał m.in. dzieło Stefana Krygiera, ucznia Władysława Strzemińskiego, jednego z ciekawszych łódzkich awangardzistów. W tym nurcie odbyła się też wystawa prac Teresy Tyszkiewiczowej, której towarzyszyła publikacja dziennika artystki. Obecny w galerii był również Stanisław Fijałkowski, jeden z najważ-

Regina Silveira, *Głębia*, 2010 r., fot. Dominik Szwemberg

niejszych artystów mieszkających w Łodzi, także wywodzący się ze szkoły Strzemińskiego. Jego wystawa indywidualna odbyła się na wiosnę 2010 roku. Galeria w sposób szczególny uczciła dziewięćdziesięciolecie tego wybitnego malarza, honorując wydaniem wraz z wydawnictwem Le Monde diplomatique rozmów z artystą, które przeprowadził prof. Zbigniew Taranienko. Promocji publikacji towarzyszyło spotkanie zorganizowane z autorem i prof. Marią Poprzęcką. Kontrapostem łódzkiej szkoły myślenia o obrazie była indywidualna wystawa Wojciecha Fangora (2009), twórcy o niezwykłej osobowości, jak dotąd jedynego polskiego artysty, który miał wystawę w Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Tworzy on dzieła, które działają na widza kontrastem nasycenia barw, stając się przyciągającymi jak magnes wirującymi kolorami formami.

Nurt awangardowego myślenia o obrazie i technice jego tworzenia prezentowany był poprzez wystawy artystów uznanych, jak m.in. Lech Majewski, Józef Robakowski czy Zbigniew Rybczyński. Atlas nie bazuje tylko na znanych nazwiskach. Organizuje wystawy artystom młodego pokolenia, m.in. Karolinie Bregule (*Centrum wszystkiego*, 2013), dość kontrowersyjnej Grupie Twożywo (*Wybór oBraz / Nihil Negativum*, 2011) czy Ance Leśniak (*Muzy Łodzi Kaliskiej*, 2010). Można uznać, że Michalak nie boi się wyzwań, czasem prowokuje, uderzając mocno w tok myślenia utartymi schematami, jaki jest właściwy dla krytyków, tym samym kreując nowe trendy. Dlatego większość wystaw Atlasa odbija się szerokim echem w środowisku, powodując nowe dyskursy widoczne nie tylko w publicystyce kulturalnej, ale również w naukowym przekazie (m.in. Ewa Domańska, która pierwszej wystawie Libery w Łodzi poświęciła cały rozdział książki *Historie niekonwencjonalne*, Poznań 2006).

str. 5 Zbigniew Rybczyński, 2014 r., fot. Jan Janiak

Ciężar pustki

Zauważalnym akcentem jest w Atlasie Sztuki szeroka obecność kultury niemieckiej, a z drugiej strony aktywny głos na temat pustki, która powstała po odejściu społeczności żydowskiej. We współpracy z Hamburger Bahnhof, Museum für Gegenwart – Berlin oraz Muzeum Narodowym w Szczecinie zorganizowano pierwszą w Polsce prezentację prywatnej kolekcji sztuki nowoczesnej dr Ericha Marxa. Jest to jeden z najlepszych zbiorów sztuki współczesnej znajdujących się w rękach prywatnych. W Polsce wystawiono tylko 22 prace dające wyobrażenie o trendach w malarstwie europejskim i północnoamerykańskim ostatnich 30 lat. Obok Rossa Blecknera, Sandra Chii, Eberharda Havekosta, Anselma Kiefera pokazano dzieła Romana Lipskiego, Rafała Bujnowskiego, Zbigniewa Rogalskiego i Wilhelma Sasnala. Kolekcji tej można zarzucić pewien eklektyzm, ale sztuka II poł. XX wieku – poprzez dynamikę zmieniających się gestów artystycznych – w jakimś stopniu taka właśnie jest. I jest to jej cecha immanentna, niezależna od miejsca urodzenia danego twórcy. Dwukrotnie był obecny w Atlasie Sztuki niemiecki teoretyk i znawca sztuki współczesnej Gerhard Jűrgen Blum-Kwiatkowski (*Argumenta*, 2005 i *Inteligibilna sztuka bez gwałtu*, 2007). Przedstawiono zapisy filmowe pokazów Josepha Beuysa (*Performatywny Beuys*, 2012). Wcześniej Michalak zorganizował wystawę dorobku Jűrga Immendorffa i Markusa Lűpertza (2008), wywodzących się ze szkoły niemieckiego Beuysa.

Innego rodzaju wydarzeniem była promocja książki Rűdgeera Freiherra von Fritsha *Stempel do wolności. Ucieczka z Niemiec do Niemiec*. Autor przebywał w Polsce dwukrotnie z misją dyplomatyczną. Początkowo w latach 80. pełnił funk-

Jarosław Kozłowski, *Dekompozycje*, 2014 r., fot. Jan Janiak | str. 6

cję referenta do spraw politycznych przy ambasadzie Republiki Federalnej Niemiec w Warszawie, a do jego obowiązków należało m.in. utrzymanie kontaktów z opozycją polską. Od 2010 roku był ambasadorem Niemiec w Polsce, a od 2014 roku pełni tę samą funkcję w Moskwie. Jednakże współwydana z Oficyną Wydawniczą Atut książka nie opowiada dziejów dyplomacji z czasów zimnej wojny. Odnosi się do wydarzeń, które miały miejsce w życiu osiemnastoletniego autora, który postanowił przemycić swojego kuzyna z Niemieckiej Republiki Demokratycznej do świata kapitalistycznego. Jest to brawurowo napisana opowieść o czasach, w których słowo „wolność" miało niespotykane zabarwienie. Jednocześnie przybliża czytelnikowi polskiemu rzadko omawiany wątek traumy narodu niemieckiego, żyjącego przez pięćdziesiąt lat w dwóch systemach politycznych.

Kultura żydowska, która została wpisana w istnienie Atlasa Sztuki wraz z lokalizacją miejsca historycznie odnoszącego się do narodu nieobecnego, jest stale obecna w galerii. Dyskurs ten rozpoczęła wystawa Elżbiety Janickiej *Miejsce nieparzyste* (2006). Autorka w ramach projektu zrobiła zdjęcia nieba nad obozami koncentracyjnymi. Na wystawie pokazała tylko sześć prac, tworząc ascetyczną przestrzeń, w której wydźwięk ciszy nieba i jego bezkresu był zarazem hołdem dla ofiar oraz gestem kompromitującym wszelkie patetyczne działania artystyczne wokół hekatomby *Shoah*. Inaczej do problemu podszedł Wojciech Wilczyk w projekcie *Niewinne oko nie istnieje* (2009). Sfotografował dawne synagogi i domy modlitwy, pokazując proces ich degradacji lub zawłaszczenia przez czas i niewiedzę. Powstał dokument, który stawia pytanie: gdzie oni są i dlaczego ich tu nie ma? Brak religii i brak

str. 7 *Front Wschodni*, 2012 r., fot. Dominik Szwemberg

ludzi jest tak samo prowokacyjny jak puste miasta Azteków czy Inków w dzisiejszym Meksyku.

Eklektyczna pauza

Działaniami odrębnymi były wystawy m.in. Piotra Naliwajko *Tylko wielkie obrazy* (2005). Pokazał on płótno, które stało się później kurtyną Teatru Powszechnego w Łodzi. Tym samym wypełnił dowcipnie historyczną lukę po obiecanej w początkach XX wieku, a nigdy niezrealizowanej kurtynie autorstwa Henryka Siemiradzkiego. Miała ona być namalowana dla nieistniejącego już budynku Teatru Wielkiego, jednakże znajdował on się w sąsiedztwie teatru, dla którego artysta przygotował płótno w XXI wieku. Inną formą wyjścia z budynku galerii była *Opera Dworcowa*, napisana przez Marcina Polaka i odegrana tuż przed likwidacją Dworca PKP Łódź Fabryczna jesienią 2011 roku. Atlas Sztuki zabrał wówczas aktywnie pierwszy raz głos w kwestii przebudowy centrum miasta, chociaż Walczak jest na tym obszarze aktywny od samego początku istnienia projektu przebudowy. Rozmowę o kształcie Łodzi jako struktury miejskiej podejmują artyści grupy awangardowej Łódź Kaliska. W Atlasie prezentowali swoje prace dwukrotnie: *Alementarz* (2007) i *Maszyny drżące* (2013). W omawianym kontekście istotna jest ostatnia z wystaw. Jej częścią było wielkie zdjęcie centrum miasta, z którego wyeliminowano wszystkie obiekty zbudowane przed 1945 rokiem. Powstało miasto pustki, niewielka ilość zabudowy, która powstała po drugiej wojnie, dała wyraz zaniedbaniom inwestycyjnym kolejnych władz.

Kolekcja Marxa, 2011 r., fot. Dominik Szwemberg | **str. 8**

Nowe wyzwania

Wiosna 2014 dla Atlasa Sztuki jest kolejnym wyzwaniem. W połowie kwietnia indywidualną wystawę otwiera Katarzyna Kozyra z projektem *Szukając Jezusa*. Artystka słynie z działań prowokacyjnych. Czy wywoła w czasie Wielkiego Postu nowy dyskurs wokół obecności religii w kulturze? Michalak po raz pierwszy jest również kuratorem tej wystawy. Wiadomo już, że ekspozycja Kozyry będzie prezentowa w czerwcu w Galerii Labirynt w Lublinie. To niewątpliwie dowód uznania, jakim cieszy się w Polsce zarówno galeria łódzka, jak i jej moderator.

Atlas Sztuki przez 10 lat swojej działalności zyskał stałe miejsce na mapie placówek kultury w Polsce. Sukces galerii łódzkiej cieszy, gdyż można powiedzieć, że realizuje ona hasło promocyjne miasta, kreując nowe fakty artystyczne i poddając je szerokiej dyskusji. Pozostaje tylko niedosyt, że Muzeum Sztuki w Łodzi, które jest w posiadaniu jednej z ważniejszych polskich kolekcji sztuki nowoczesnej, nigdy nie weszło w dyskurs z Atlasem Sztuki. Jednak może takie działanie stanie się wyzwaniem dla nowej dekady obecności tej prywatnej galerii w mieście.

Dominika Łarionow
– dr nauk humanistycznych, pracownik naukowy UŁ

Fot. z archiwum Atlasa Sztuki

Pustostan

Zaledwie osiem godzin można było oglądać wystawę *Hurt* Marii Apoleiki, zrealizowaną przez Galerię Czynną – oddolną inicjatywę bez stałej lokalizacji. Miejscem ekspozycji był pustostan na ulicy Piotrkowskiej, w którym do niedawna mieścił się sklep ze sprzętem sportowym, a tematem sytuacja Starego Polesia, dzielnicy, po której nie spaceruje się bez powodu.

Tytuł wystawy *Hurt* nawiązuje do uwiecznionego na obrazie artystki zaniedbanego napisu, reklamy podupadłej hurtowni na jednym z murszejących budynków Polesia. Jednocześnie słowo to w języku angielskim znaczy skaleczenie, ranę, ból lub sprawianie krzywdy. Jak podkreśla artystka: „te obrazy – choć może to brzmi głupio – wynikają z prawdziwej potrzeby odreagowania emocji związanych z miejscem, w którym mieszkam już dziewięć lat". Na wystawie prezentowany był *slide show* ze zdjęciami rejestrującymi życie na Starym Polesiu oraz groteskowe malarskie scenki obyczajowe. „Dokumentuję okolicę, chodząc razem z Kapslem (pies), dzięki temu nawiązuję sporo kontaktów z mieszkańcami" – jak przyznaje Maria Apoleika, kontakty te to zarówno wydarzenia pozytywne, jak i żenujące, a sporadycznie niebezpieczne.

Artystka wynajmuje lokal przy ulicy świętego Jerzego, gdzie działa konglomerat pracowni artystycznych, który powstał w efekcie negocjacji artystów z miastem w 1995 roku, prawdopodobnie nadal największy w Łodzi. Swoje pomieszczenia ma tam wiele osobowości łódzkiej sceny artystycznej – pracownicy uczelni artystycznych, muzycy, animatorzy kultury, fotograficy, twórcy eksperymentalnego video. Pod tym adresem zarejestrowanych jest kilka organizacji pozarządowych (stowarzyszenia K220, OtwARTa Wystawa, Świętego Jerzego); wiele nieformalnych inicjatyw wystartowało właśnie z tego miejsca. Sam budynek jest jednak od dawna nieremontowany i prezentuje dość marny stan techniczny. Artyści narzekają na administrację, która nie reaguje na zgłaszane problemy (cieknący dach, niesprawna instalacja elektryczna), ale pamięta, żeby uaktualniać stawki czynszu.

Na wprost bramy do budynku znajduje się pamiątka po wielokulturowej Łodzi, rzymskokatolicki kościół garnizonowy[1], jest też Hotel Reymont oraz modernistyczny budynek mieszkalny – poza tym kilka średnio lub słabo prosperujących warsztatów i magazynów, zaniedbane kamienice, a także ruiny – jednym słowem ulica kontrastów. W okolicy pełno jest na wpół zrujnowanych oficyn, tych, w których jeszcze ktoś mieszka, i tych, które powoli zarastają dziką roślinnością. Aktywnie działa „ekipa remontowa" – niestety nie jest to samoorganizacja mieszkańców na rzecz zmiany czy budowlana partyzantka, ale grupa „fanatyków" Łódzkiego Klubu Sportowego, specjalizująca się w wielkoformatowych muralach. Niektóre tereny zdają się sugerować, że ich mieszkańcy zostali zdziesiątkowani przez jakiś konflikt, epidemię lub katastrofę. Stan ten to blizna po upadku przemysłu i skutek wiążącego się z tym wzrostu bezrobo-

cia, kryzysu tożsamości oraz nieefektywnej polityki miasta. Miasta, które jeszcze w latach 70. miało „dobić do miliona" i którego bolączką zawsze była polityka mieszkaniowa. Pogarszający się stan kamienic, brak udogodnień cywilizacyjnych, dziwnie wydzielone ciasne mieszkania sprawiały, że mieszkańcy chętnie przeprowadzali się do bloków. Ludzie w naturalny sposób opuścili najbardziej niedoinwestowane rejony. Te wszystkie procesy składają się na dzisiejszy obraz Starego Polesia – opustoszałego, frustrującego, dotkniętego zanikaniem ludzkiej aktywności. Słabnąca siła nabywcza mieszkańców i niewielki napływ ludzi z zewnątrz tworzy swoisty krajobraz ekonomiczny. Maria Apoleika zauważa, że „specyfiką Polesia są punkty usługowo-handlowe łączone", i wylicza: „mamy sklep: sprzęt wędkarski i kołdry, punkt gdzie możemy zamówić wycieczkę, kupić rajstopy i pióra Parker, a także dorabianie kluczy ze sprzedażą lecz-

czych wód mineralnych – w ten sposób z napisów reklamowych tworzy się mała nieuświadomiona poezja".

Koloryt rozkładu

Hurt jest próbą zarejestrowania specyficznego stanu, a także obyczajowości osób żyjących w tym otoczeniu. Groteskowe sceny na obrazach i szokujące zdjęcia są bardziej próbą zmierzenia się z rzeczywistością niż jej krytyki. „Moje prace nie mają na celu naśmiewać się z tych ludzi. Mam ogromny problem z wysłuchiwaniem kolejnych «ciekawych» dykteryjek o tym, kto się gdzie upił i w jaki sposób umarł – to jest tragedia, podszyta ludzką nieumiejętnością i słabością" – podkreśla artystka. „Nie jestem też obrażona na to miejsce, ono ma swoje plusy. Lepiej czuję się tu niż na wypędzlowanym grodzonym osiedlu" – dodaje. Prace jednak przerażają, przy czym na pierwszy rzut oka znacznie bardziej szokujące wydają się fotografie niż przerysowane postacie z obrazów utrzymanych w estetyce filmu animowanego. Apoleika rejestruje za pomocą aparatu szereg napisów reklamowych świadczących o resztkach przedsiębiorczości lub będących pozostałościami różnorodnej aktywności. Na ścianach odciskają się też antagonizmy i starcia za pomocą napisów, wlepek i murali kibiców łódzkich drużyn piłkarskich. Widać rozpad architektury i odbijającą kolejne metry kwadratowe naturę. Miasto jest tu przestrzenią eksploatacji, a nie organizacji. Zdjęcia szokują, ale też zachwycają i zaskakują swoją barwnością. W kontrastach, prowizorce, destrukcji i życiu na krawędzi jest coś, co wykracza poza normy, a to fascynuje – zarówno artystów, jak i odbiorców sztuki.

str. 4 | Pustostan
Błażej Filanowski

Z ukazywaniem krzywdy, bólu, biedy wiąże się zawsze wiele problemów, a jednym z nich jest „estetyzacja biedy" – pokazywanie ludzi w ubóstwie jako swoistego „naturalnego krajobrazu", który jak przyrodnik obserwujemy, ale w niego nie ingerujemy. Szczególnie aparat fotograficzny wyzwala takie instynkty. Susan Sontag w *Widoku cudzego cierpienia* analizuje ten problem, powołując się na cykl grafik *Okropności wojny* autorstwa Francisca Goyi. Tworzący na przełomie XVIII i XIX wieku

artysta ceniony jest za odrzucenie konwencji „spektaklu" wojny (patetycznego starcia armii na tle krajobrazu). Ukazuje za to wojenny koszmar bez wzniosłości, zwykle z perspektywy ofiar i cywilów. Jego grafika nie jest rejestracją konkretnej sceny, ale „okropności" i chce nam powiedzieć, że „takie rzeczy mają miejsce". Natomiast fotograf-reporter zdaniem Sontag chce nam przekazać dodatkową wiadomość: „ja to uchwyciłem". Przytoczony przykład nie ma dowodzić, że jest coś niemoralnego w robieniu zdjęć Łodzi, a jedynie zaznaczyć, jak płynne są granice między dokumentem a kreacją. Światem, w którym te dwa obszary się przeplatają, jest też malarstwo Apoleiki. Jej obrazy mają demoniczny klimat, jakby zapożyczony z prac Pietera Bruegela czy nawet Hieronima Boscha. Największe wrażenie robi jednak związek między pracami malarskimi a zdjęciami. Rozpoznajemy miejsca, zdarzenia, napisy, postacie, reminiscencje uchwyconych zdarzeń. Prace malarskie w syntetyczny i przerysowany sposób przekazują ogromny ładunek informacji i emocji. Dzięki połączeniu ich z fotografiami tracimy wątpliwości i jesteśmy w stanie uznać, że „takie rzeczy mają miejsce".

Z zegarkiem w ręku

Wystawę *Hurt* Galeria Czynna zaprezentowała w pustostanie. Oglądając ekspozycję, widziało się, jak nawet krótko nieuczęszczane miejsce ulega szybkiej i widocznej degradacji. Jak czytamy w opisie misji galerii, „to partyzanckie przedsięwzięcie samoorganizacyjne i alterinstytucjonalne". Artyści co prawda nie włamują się do lokali, ale działają w nieco konspiracyjnym klimacie – na efemeryczne wydarzenia Czynnej trafiają niemal tylko zaproszone osoby. W kontekście prac Apoleiki pustostan dodatkowo daje do myślenia – jak niedaleko od Piotrkowskiej do Polesia. Galeria Czynna wędruje

str. 6 Pustostan
Błażej Filanowski

i ogranicza czas trwania wystaw z jeszcze jednego powodu, który podkreśla Tomasz Załuski (współtwórca galerii, historyk sztuki, filozof, wykładowca) – jest to zjawisko gentryfikacji. Często sztuka jest wykorzystana do tego, aby miejsce stało się modne (jako przykład Załuski podaje przypadek Off Piotrkowskiej). Zjawisko gentryfikacji nie wystąpiło jednak na ulicy świętego Jerzego pomimo dziewiętnastu lat działania tu pracowni artystycznych. Stan okolicy – jak ocenia Apoleika – jest od pewnego czasu raczej *constans*. W pobliżu działa ogromny kompleks handlowo-usługowy z sąsiadującymi instytucjami kultury – Manufaktura. Gigant nie pozostawia za wiele miejsca na konkurencję.

Drugi współtwórca galerii, Marcin Polak, jest artystą zaangażowanym w działania na rzecz Łodzi oraz zainteresowanym kondycją środowiska artystycznego. Działał w Grupie Pewnych Osób. Prowadzi portal Miej Miejsce, swoją nazwą nawiązujący do happeningów organizowanych w przestrzeniach publicznych miasta wraz z trzecim współtwórcą Czynnej, Łukaszem Ogórkiem (artystą, wykładowcą ASP, który współtworzył wraz z Konradem Kuzyszynem pracownię wideo V13). Galeria jest kolejną w historii Łodzi akcją podziemną, efemeryczną, świadczącą, że łódzkie środowisko artystyczne nie pogrążyło się w stagnacji, ale (podobnie jak całe miasto) zmaga się z wieloma problemami.

Opalacze kabli

Na jednej z prac malarskich przedstawione zostały postacie opalaczy kabli, którzy na klepisku (dawnym boisku) palą izolację ze skradzionych przewodów. Powrót do zbieractwa i migracje z miejsca do miejsca to rzeczywistość wielu miejsc w Łodzi XXI

wieku. „Mamy puste, podupadające pałace, kto by się przejmował kamienicami – komentuje Apoleika i dodaje: – Miejsca architektonicznie drastyczne działają na ludzi". Takie przestrzenie przygnębiają, ale i wywołują zainteresowanie. Zjawisko tzw. „pornografii ruin" lub fenomen turystki fotograficznej nastawionej na rejestrację zniszczenia w Detroit świadczą o tym, że porzucona, zdegradowana architektura jest czynnikiem silnie oddziałującym na emocje obserwatora. Potwierdza to także powodzenie artystycznych produkcji z gatunku *survival horror*. Zdegradowane przestrzenie postapokaliptycznego miasta, w których rozgrywa się akcja gry *The Last of us*, na pewno wpływają na powodzenie tytułu. W grze przedstawiono świat w 2033 roku, w którym ludzie zmagają się z epidemią grzyba-pasożyta zmieniającego ludzi w niewolników (inspiracja autentyczną infekcją grzybiczną występującą u mrówek *Camponotus leonardi*). Postapokaliptyczna fascynacja nie jest niczym nowym, ale w świecie po 11 września i kryzysie gospodarczym popularność produkcji tego typu staje się symptomatyczna. W kryzysowej sytuacji *survival horror* struktury państwowe działają brutalnie i na „chybił trafił". Dokonuje się rozpad społeczeństwa na skutek podziału ludzi na tych „zarażonych", nieprzewidywalnych, kierujących się najprymitywniejszymi instynktami, oraz tych pragnących przetrwać i jakoś kontynuować cywilizację.

Jeden z obrazów Marii Apoleiki przedstawia portret „stwora" – ani ludzka, ani zwierzęca istota pije odrażającą ciecz z podłogi. To percepcja koszmaru, stanięcia wobec nieokiełznanego. Zarówno w postapokaliptycznych produkcjach, jak i w obrazach Apoleiki widać odwieczny konflikt między człowiekiem, który próbuje two-

rzyć i organizować, a naturą, która żadnych ludzkich zasad nie respektuje. Która eksploatuje, marnuje, epatuje okrucieństwem. Przed jej nieokiełznaną siłą czujemy respekt, lęk i obrzydzenie. Wizje zniszczonych, opuszczonych miast to współczesna, świecka kontynuacja motywu „sądu ostatecznego". Artystka ostrzega, że zdegradowane przestrzenie są znakiem: nasza cywilizacja nie podołała – rozrzutna i lekkomyślna ludzkość nie zdiagnozowała zagrożenia na czas, przez co kruchy porządek upadł. Po koszmarze jest jednak nadzieja na odbudowę i choć błędów nie da się raczej naprawić, ludzkość znów będzie miała szansę wygrać choćby jeszcze jedną bitwę z bezlitosną naturą.

Błażej Filanowski

Maria Apoleika, *Wystawa malarstwa i fotografii*. Galeria Czynna, 31 stycznia 2014.

Reprodukcje z archiwum Marii Apoleiki

Przypisy:

1. Dawniej Cerkiew garnizonowa św. Aleksego Metropolity, poświęcona w 1896 roku.

historia

Wspomnienia sprzed półwiecza
Obrazki z „wyzwolonej" Łodzi 1945/46
Władysław Trzaska-Korowajczyk
str. 99

Najstarsza uczelnia Łodzi
Seminarium baptystyczne
Grzegorz Pełczyński
str. 106

Wspomnienia sprzed półwiecza

Obrazki z „wyzwolonej" Łodzi 1945/46

W turkocie bydlęcego wagonu pozostawało w śnieżnej zadymce moje rodzinne miasto Wilno. Miasto smutne, ogarnięte zmrożonym odorem wojny, spalenizną, walącymi się ruinami płonących kamienic, sączącym się mdłym trupim zapachem. Za każdym obrotem kół pociągu oddalał się strach, że przed świtem przyjdą i załomoczą kolbami w drzwi, a niepewną alternatywą wyjazdu na zachód stanie się bezmiar mroźnych kazachstańskich stepów. W jednym wagonie bydlęcym podróżowało, stłamszonych na kilkunastu metrach powierzchni, prawie dwadzieścia osób – tylko z resztkami mienia, które pozwolono im wywieźć. Nasz transport Nr 6A opuszczał więc Wilno i ojczystą ziemię. Po trzech tygodniach wlokącej się podróży i smętnego biwakowania na kołach wysadzono nas w Lublinie i zakwaterowano w barakach hitlerowskiego obozu na Majdanku. Potem powieziono do Warszawy, z wypalonymi do piwnic domami, gruzowiskiem ruin i pustymi wąwozami ulic, jeszcze z resztkami powstańczych barykad. Nie, i tu nie było dla nas miejsca. Trzeba więc było jechać do Łodzi, do zainstalowanej tu wcześniej rodziny z Warszawy.

Rajskie mieszkanie

To mógł być 30 kwietnia 1945. Rzężący niemiłosiernie Willis, „zarzucający" na wertepach pogruchotanej wojną szosy, wiózł nas do Łodzi, której widok utrwalony na jakiejś fotografii miał zapowiadać las kominów. A tu tymczasem miasto nie z tego świata. Ani śladu wojny, w oknach światło elektryczne i puste, czyste ulice. I nieoczekiwany wjazd w bramę eleganckiego domu z lat trzydziestych. Kiedy w późniejszych latach przyszło mi oglądać wspaniałe pałace i rezydencje, żadna z nich nie zrobiła takiego wrażenia jak to piękne mieszkanie przy al. Kościuszki. Wygodne stylowe meble, lśniąca kuchnia i łazienka z ciepłą wodą!

Następnego dnia pod balkonem przemaszerowała grupa chyba ze stu ludzi. Nieśli wiele czerwonych flag, jakieś transparenty, ale wśród nich nie było ani jednej flagi biało-czerwonej. Coś wykrzykiwali, coś skandowali, ale słowa nie docierały nam do uszu. W Wilnie, w tych ostatnich miesiącach przed ewakuacją

w nieznane, czerwonych flag nie brakowało, ale w Łodzi! Tam był już przecież Związek Radziecki, ale tu miała być Polska. Dopiero trochę później dotarło do mnie, że to przecież łódzka klasa robotnicza obchodziła Święto 1 Maja. Czy taka miała być cała robotnicza Łódź?

Każdy dzień, każda godzina przynosiły coś interesującego. Następnego dnia po tym pochodzie, wieczorem, zadudniła artyleria, gromka kanonada najprzeróżniejszej broni. Nalot? Alarm? Nie! To tylko Berlin został zdobyty! W kilka dni później podobna kanonada i na niebie setki rozbłyskujących rakiet. Koniec wojny! W siąpiący deszczem dzień 3 maja „odbierałem" defiladę Berlingowców na Piotrkowskiej. Jak mizernie wyglądali ci chłopcy w tandetnych mundurach, z pozbawionymi korony orzełkami na rogatywkach.

Po miesiącach strachu w Wilnie przed bolszewickim NKWD i po wielu tygodniach tułaczek mieliśmy wreszcie przytulisko w pięknym mieszkaniu nr 9 przy Kościuszki 91. Dziękując Bogu, że jakoś przeżyliśmy czasy wywózek, bombardowań, głodu, pobiegłem do najbliższego Kościoła Akademickiego przy ul. Sienkiewicza 60. A tam tłumy młodzieży w białych studenckich rogatywkach. W tamtym roku nie zdawałem sobie nawet sprawy, że byłem świadkiem historii. Z kazalnicy płynęły słowa kapłana. Nie wiedziałem, że miałem szczęście wsłuchiwać się w słowa legendarnego jezuity o. Tomasza Rostworowskiego.

Szkoła

Zostałem zapisany do Szkoły Powszechnej Nr 22 im. Emilii Plater przy ul. Nawrot 12. Klasa była przepełniona, często w jednej ławce siedzieliśmy w trójkę. W mojej klasie uczyłem się z dwiema siostrami, córkami wspaniałego Adolfa Dymszy, z Wdowiakówną, Michałem Walczakiem, późniejszym dziennikarzem i dyrektorem łódzkiej telewizji, i z niepełnosprawnym fizycznie Jurkiem Grudzińskim. A także z Wieśkiem Gackiem vel Gackowskim, Ptaszkiem i Ogórkowskim, który przypadkiem zastrzelił kolegę. Skąd chłopiec miał pistolet? Tego nie dowiedziałem się nigdy.

Kierowniczką szkoły była wzbudzająca respekt starsza, posiwiała nauczycielka matematyki, a wychowawstwo pełniła pani Mazgajówna. Był kłopot z podręcznikami. Korzystaliśmy z tych przedwojennych, z trudem kupowanych w antykwariatach lub przekazywanych przez starszych kolegów. Och, jakim marzeniem było wtedy wieczne pióro, więc przy okazji mała informacja dla współczesnej młodzieży, jak to drzewiej bywało. W pulpicie szkolnej ławki była dziura, a w niej kałamarz z atramentem. Pióro składało się z obsadki i stalówki. Najlepsze były „krzyżówki". Stalówkę maczało się w atramencie, co pozwalało na napisanie kilku słów...

W szkole z troską dbano o nas. Prowadzano do pracowni fizycznej i chemicznej, organizowano zabawy z nauką tańca, regularnie uczyliśmy się pływać na basenie YMCA przy Moniuszki. Po kąpieli otrzymywaliśmy kubek wspaniałego kakao i świeżą bułkę z masłem.

To dożywianie szczególnie utrwaliło się w mojej pamięci. W tych pierwszych miesiącach głodu nie doświadczaliśmy, ale jedzenie było raczej mało ubogie. Były jakieś przydziały kartkowe, ale co tam na nie dawano, już nie pamiętam. Dlatego urozmaiceniem „diety" i dużą pomocą w wyżywieniu, stanowiły amerykańskie paczki przysłane przez organizację UNRRA. Były różne kategorie przydziałów, w zależności od czegoś. Czego – nie wiem. W każdym razie przydziały nauczycielskie należały do najgorszej kategorii. Mimo wszystko te comiesięczne dostawy ratowały nasze wyżywienie, choć pieprzna „krwawa kabasica" z puszki, czyli wątpliwego smaku kaszanka, nie należała do moich ulubionych rarytasów, ale słodkie, gęste mleko skondensowane smakowało znakomicie.

Matka rozpoczęła pracę jako nauczycielka języka polskiego, w XI Gimnazjum i Liceum. Szkoła w pierwszych tygodniach mieściła się u Bernardynów przy Spornej, a później wśród wypalonego getta przy ulicy Krawieckiej. Nad głównym budynkiem szkoły, przy dzisiejszej ulicy Uniwersyteckiej, powiewał czerwony sztandar. Tam znajdowała się komendantura sowiecka i rezydowało NKWD. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego pod „wodzą" Mieczysława Moczara zasiedlił budynek przy Anstadta, gdzie mieściło się w czasie okupacji niemieckiej Gestapo, budzące taką samą grozę jak potem UB. Jednym z nauczycieli był Tadeusz Chróścielewski, wówczas początkujący poeta, a jego uczennicą Honorata, późniejsza żona pisarza.

Mieszkanie, gdzie znaleźliśmy przystań, należało do mojego wujka Władysława Kuczyńskiego, który do Warszawy nie miał już po co wracać. Jego warszawskie mieszkanie spłonęło w czasie Powstania z całym dobytkiem. Jako inżynier znalazł pracę w jakimś ministerstwie. Mógł korzystać z samochodu, więc zaraz po ucieczce Niemców pojawił się w Łodzi i zaanektował ten lokal. To było piękne mieszkanie, wspaniale umeblowane. Przed wojną mieszkała w nim rodzina żydowska, którą wyrzucono, a w czasie okupacji lokal zagarnął dyrektor Arbaitsamtu. Właścicielem całego domu był przedwojenny rzeźnik Stanisław Kulesza. Takie piękne domy, korzystając z bankowych kredytów, stawiali przed wojną łódzcy zamożni mieszczanie.

Grabież w imieniu władzy

Pamiętam jedno ciepłe popołudnie. Dzwonek! Otwieram i oto czterech żołnierzy z nasadzonymi na karabiny bagnetami wpada do mieszkania, a na ich czele brzuchaty oficer w rogatywce z granatowym otokiem. Przerażenie, ale kto by śmiał sprzeciwić się grabieżcy! Szybko opróżnili mieszkanie z mebli, pozostawiając nam puste ściany. Naładowana konna platforma ruszyła, a ja z dreszczykiem dziecięcej emocji śledziłem ją, aż dojechała pod adres Piotrkowska 203/205. Dalej był już wstęp wzbroniony, posesji strzegł uzbrojony wartownik. W tych eleganckich budynkach należących przed wojną do Sochaczewskich Zakładów Chemicznych mieszkali wtedy jacyś rzezimieszkowie z UB i KBW. Można więc przypuszczać, że kolejne pokolenia mieszkające w tych domach mają korzenie, którymi trudno się pochwalić.

W Łodzi wciąż coś się działo. Kręcąc się po Piotrkowskiej, raz po raz byłem świadkiem jakichś ciekawych wydarzeń. Do miasta przyjechał świeżo mianowany marszałek Michał „Rola" Żymierski. W otoczeniu oficerów i cywilów zainstalował się w budynku przy Piotrkowskiej, blisko ul. Bandurskiego (dzisiaj al. Mickiewicza). Tego dnia miał otrzymać buławę od mieszkańców Łodzi. Czy wszyscy obywatele miasta z entuzjazmem akceptowali tę fanfaronadę z buławą?

Widziałem wiele mówiącą scenkę. Na skrzyżowaniu ulic Piotrkowskiej i Głównej (dzisiaj al. Piłsudskiego) dziewczyna w berlingowskim mundurze z czerwoną chorągiewką w ręku regulowała ruchem. Nadjechała ciężarówka z sowieckimi żołnierzami, którzy nie mieli ochoty podporządkować się dziewczynie. Wtedy ta zdjęła karabin i kilka razy strzeliła ostrzegawczo w bruk. Rosjanie nie protestowali. Odważna żołnierka nie ulękła się rozwydrzonych „zwycięzców".

Inny dzień. Piotrkowska, a co kilka metrów uzbrojony żołnierz. Co się stało? Długo nie oczekiwałem, kiedy pojawił się sznur wojskowych pojazdów amerykańskich, a na nich oficerowie w mundurach łudząco przypominające mundury sowieckie. Potem kilka czarnych limuzyn i znowu jugosłowiańscy oficerowie w różnych „łazikach". Tak przejeżdżał przez Łódź jugosłowiański dyktator, marszałek Josif Broz Tito! Dokąd jechał, nie wiem.

Łódź w 1945 roku niewątpliwie była czerwona, ale nie wszyscy mieszkańcy akceptowali nową władzę. Słyszało się, jak robotnicy niejednej fabryki bronili się przed grabieżą maszyn przez sowieckich umundurowanych rekwizytorów ściągających z majątku łodzian... odszkodowanie wojenne. A na ulicy słyszało się piosenkę:

A gdy przyjdą Andersiaki
I przepiorą Ruskim s...ki
Wtedy górą nasza racja
I prawdziwa demokracja...

Wysadzony pomnik

Władza ludowa nie oglądała się na lud pracujący. W błyskawicznym tempie wybudowano w Parku Poniatowskiego Pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej. Ozdobiono go rosyjskim napisem i czerwoną gwiazdą. W pewien lutowy wieczór 1946 roku, gdzieś około dziesiątej wieczorem, potężna detonacja poderwała mnie z łóżka. Wojna? Na drugi dzień pognałem do parku i zobaczyłem rumowisko w miejscu pomnika.

Nie wykryto sprawców, ale zawstydzona władza szybko odbudowała monument, a park stał się najbezpieczniejszym miejscem w Łodzi. Żaden bandzior, żaden chuligan nie śmiał się tam pokazać, bo w krzakach zawsze siedziała milicja i pilnowała. Dopiero w latach 90. XX wieku poznałem bohatera tamtego wydarzenia,

profesora Władysława Stanilewicza, farmaceutę, chemika, wspaniałego człowieka wielu pasji, wielkiego patriotę.

W roku 1945 i w następnym w Łodzi nie było spokojnie. Raz po raz słyszało się o jakichś aresztowaniach. W nocy czasami huknął strzał. Kto do kogo? W lasach walczyli z komuną partyzanci. Nauka z czasów okupacji przydawała się i w tych latach, a nawet przez dziesiątki następnych. Podstawą jej było trzymanie języka za zębami.

Do cioci Ireny, która mieszkała razem z nami, przyszedł niezwykle przystojny blondyn, a po godzinie czy dwóch wyszedł od niej jeszcze przystojniejszy brunet. Doskonale wiedziałem, że pan Wieńczysław Barsegow-Pławiński działał w konspiracji związanej z Wilnem, ale o tym „pary z gęby" nigdy nie puściłem. Co i gdzie działał, o tym nie miałem wówczas pojęcia. Pojawiał się w Łodzi i znikał, by znowu się zjawić. Wczesną jesienią 1946 roku zatrzymał się u swojej krewnej Ireny Holsztajn, mieszkającej przy Piotrkowskiej 88. Musiał być namierzany, bo zaraz jak znalazł się w tym mieszkaniu, wtargnęli za nim ubecy i pana Wieńczysława zwinęli. Po paru latach okazało się, że został wydany władzom sowieckim, skazany i wywieziony do Workuty. Dopiero w 1956 roku został zwolniony z łagru. Przyjechał do Łodzi i tu parał się grafiką. Był też zdolnym karykaturzystą.

I jeszcze taki „obrazek". Październikowy późny wieczór 1945 roku. Dzwonek do mieszkania przy Kościuszki i głośne: „Urząd Bezpieczeństwa Publicznego!". Dwóch młodych chłopaków wywodzących się z AL „zamieszkało" u nas na prawie tydzień. Urządzili „kocioł" i czekali, aż ktoś wpadnie. Nikt nie wpadł, bo dozorca jako prawdziwy gospodarz domu ostrzegał naszych gości: „Do kogo? Do pana Kuczyńskiego? Nie ma go, wyjechał. Nieprędko wróci". Mama i ciotka robiły zakupy, ale zawsze w towarzystwie ubeka. Trzeba było jakoś przeżyć. Po siedmiu dniach ubecy zabrali wujka Kuczyńskiego. Przeszedł przez piwnice Anstadta i Mokotowa, poznał karcery „królestwa pułkownika Różańskiego". Otrzymał kilkuletni wyrok w tzw. procesie grupy Ostromęckiego. Na szczęście była amnestia i w 1947 roku mógł wrócić do domu i pracy naukowej.

Stabilizacja w biedzie

Dla przyjezdnego z Wilna, gdzie funkcjonowała tylko komunikacja autobusowa, atrakcją były tramwaje. Wsiadało się, jak się mówi w Łodzi, na „krańcówce" i hajda na drugi koniec miasta. W ten sposób poznawałem Łódź. Sztuką był przejazd na gapę. Różnymi sposobami „kiwało" się konduktora, ale czasami wylatywało się na bruk, bo w kieszeni nie zawsze brzęczały niemieckie fenigi. To nimi opłacało się przejazd przez pierwsze parę miesięcy 1945 roku.

Lubiłem kino, choć coraz więcej było na ekranie produkcyjniaków w rodzaju *Ona broni ojczyzny*, ale nie zawsze miałem pieniądze na bilet. Trzeba było jakoś sobie radzić, a najlepiej było z kinem letnim Tatry. Pod dużym czarnym namio-

tem rozbitym przy ulicy Sienkiewicza wyświetlano najwięcej przedwojennych filmów polskich. Wejście bezpłatne odbywało się przez okienko ubikacji publicznej prowadzącej do toalety damskiej kina. Rzut oka, czy tam nie ma jakiejś pani, wślizg do toalety i biegiem, aby zasiąść w bliskich ekranu rzędach. W kinie były trzy miejsca: pierwsze, drugie i trzecie i tylko w tym ostatnim, tuż przy ekranie, nie kontrolowano biletów. W ten sposób obejrzałem sporo ciekawych filmów, które niebawem miały się stać zakazane.

Matka była wielką entuzjastką teatru. Jeszcze w przedwojennym Wilnie nie opuściła żadnej premiery w słynnym Teatrze na Pohulance. Swoją pasję podtrzymała też w Łodzi. Parę razy byliśmy w teatrze, m.in. na *Krakowiakach i Góralach, Panu Jowialskim, Zemście*. W teatrze wydawało się, że wróciło dawne szczęśliwe życie.

Koledzy z klasy namówili mnie kiedyś, bym poszedł na mecz piłkarski ŁKS – Polonia Warszawa. Moja znajomość tej dyscypliny sportu była wtedy więcej niż mierna, ale już po półtorej godzinie mniej więcej wiedziałem, o co chodzi w tej zabawie. Ten mój pierwszy mecz dobrze utrwalił się w mojej pamięci, choć wyniku nie pamiętam. Pamiętam za to ciekawą dramaturgię. Pod bramką Polonii został sfaulowany Baran, ulubieniec łódzkiej publiczności. Decyzja sędziego, który faul zignorował, nie spotkała się z aprobatą publiczności. Tłum wtargnął na boisko i otoczył arbitra. Nastąpiła niesamowita kotłowanina, padły ostrzegawcze strzały z pistoletu. Konna milicja jakoś zaprowadziła porządek, ale na odjeżdżających ciężarówką stołecznych piłkarzy posypały się grudy stwardniałej gliny, kamienie i długi stek wyzwisk. Ten incydent ujawnił animozje między Łodzią a Warszawą, i to nie tylko piłkarskie. Mimo tego incydentu połknąłem bakcyla piłkarskiego i przez dziesiątki lat kibicowałem drużynie ŁKS.

Mijały kolejne miesiące od zakończenia wojny i miasto funkcjonowało w miarę normalnie. Była elektryczność, gaz, jeździły coraz bardziej przepełnione tramwaje. Restauracje, bary, kawiarnie otwierały się jedna po drugiej. Namnożyło się szybko na Piotrkowskiej mnóstwo prywatnych sklepików. Cóż z tego, skoro smakowite specjały w oknach witryn były dla nas niedostępne. Skromna pensja matki sprawiała, że nam musiała wystarczyć „krwawa kabasica", gliniasty chleb pachnący nie wiedzieć czemu naftą i od czasu do czasu paczki UNRRA. Wielu moich rówieśników, bawiąc się w handlowców, sprzedawało camele, pachnące amerykańskie papierosy. Skąd je mieli, nie wiem. Tu i tam jacyś faceci przyciszonym głosem powtarzali: „Twarde, miękkie kupuję, sprzedaję" – handlowali złotem i dolarami, ale proceder ten groził bardzo surowymi karami. Miasto pulsowało, żyło, ludzie próbowali dostosować się do tej nowej szczególnej „wolności". Nawet ogromna katastrofa kolejowa, która wydarzyła się przy dojeździe do Dworca Kaliskiego od strony Lublinka, w której zginęło 120 ludzi, nie zakłóciła rytmu „nowego" życia.

Z pozoru więc miasto funkcjonowało normalnie, ale był to tylko pozór. Pętle nowej okupacji zaciskały się. Pierwsi milicjanci chodzili w cywilnych ubra-

niach lub w jakichś wpół mundurowych okryciach. Wyróżniali się jedynie biało-czerwonymi opaskami z literami MO. Dopiero po kilku miesiącach otrzymali charakterystyczne czapki. Nie oni byli najgroźniejsi, bo narastającym komunistycznym terrorem kierował aparat NKWD, a trochę później ich polscy „uczniowie" z Anstadta. Polityczny przekręt to referendum z czerwca 1946 roku, poprzedzone ogromnymi napisami na murach „3 X TAK". Później zaś sfałszowane przez komunistów w styczniu 1947 roku wybory i przepędzenie Polskiego Stronnictwa Ludowego. Na każdym miejscu wisiały wtedy plakaty z karykaturą „AK zapluty karzeł reakcji" oraz hasłem: „Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera".

Komunistyczny terror rozpoczął się od pierwszego dnia po przegnaniu Niemców i choć miało to być „wyzwolenie", narastał z każdym tygodniem, miesiącem, rokiem. Choć przecież nie wszyscy zdawali sobie sprawę z wielkości represji. Nie wszyscy uświadamiali sobie, ile ofiar przynosił wrzask widywanego stale w Polskiej Kronice Filmowej prokuratora Zarako-Zarakowskiego szafującego karami dla patriotów i „dobroduszny" uśmiech Bieruta. Nie wszyscy współczuli skrzywdzonym rodzinom.

To było dawno, ale los czasami jest zaskakujący. W czasie okupacji matka, omawiając na tajnych kompletach czytankę pt. *Łódź z przedwojennego podręcznika ozdobionego fotografią miasta z lasem kominów fabrycznych* powiedziała: „Po wojnie tylko w Polsce będę chciała mieszkać, obojętnie, w jakim mieście, gdziekolwiek, tylko nie w Łodzi"...

Władysław Trzaska-Korowajczyk
– lekarz medycyny, publicysta, społecznik

Najstarsza uczelnia Łodzi

Seminarium baptystyczne

Rozpowszechnienie baptyzmu na kontynencie europejskim nastąpiło w II poł. XIX wieku[1]. W tym czasie Polska była podzielona między trzy państwa ościenne: Rosję, Prusy (Niemcy) i Austrię. Brak niepodległości sprawiał, że Polacy lgnęli do Kościoła katolickiego, znajdując w nim pociechę w niedoli. Byli natomiast w niewielkim stopniu otwarci na idee ewangeliczne, które przynosił baptyzm. Dlatego dotarły one najpierw do stanowiącej mniejszość narodową ludności protestanckiej narodowości niemieckiej. Pierwszy zbór baptystyczny założyli Niemcy w wiosce Adamów koło Pułtuska, a więc w tej części Polski, która należała wówczas do Rosji.

Gustaw Fryderyk Alf, inicjator baptyzmu na ziemiach polskich, był świadom, że kolejne zbory powstaną wtedy, kiedy zaczną działać misjonarze. Misjonarzy trzeba było jednak najpierw wykształcić. Dlatego już w 1861 roku Alf zorganizował kurs, którego uczestnicy przede wszystkim poznawali dogłębnie Pismo Święte. Takie kursy były organizowane także w następnych latach. Ich program z czasem znacznie się rozszerzył; oprócz studium biblijnego obejmował także homiletykę, śpiew, a nawet przedmioty, które uzupełniały skromne zazwyczaj wykształcenie podstawowe uczestników: matematyka, język niemiecki, język polski. Kursy te trwały miesiąc i odbywały się w Adamowie, a później także w Kicinie koło Ciechanowa. Wszelkie koszty pokrywały zbory organizujące te spotkania, ewentualnie także inne. Od 1880 roku wyróżniających się absolwentów wysyłano celem dalszego kształcenia za granicę, na ogół do Hamburga, będącego wiodącym ośrodkiem baptyzmu w Europie kontynentalnej. Z tej możliwości mogło skorzystać niewielu, głównie z braku pieniędzy bądź zgody władz na wyjazd.

Alf, który w 1859 roku kształcił się w Hamburgu, marzył o założeniu odpowiedniej uczelni teologicznej na terytorium, na którym działał. Jednakże za jego życia tego marzenia nie udało się niestety ziścić. Na początku XX wieku rozważano pomysł utworzenia w seminarium w Hamburgu specjalnej klasy dla studentów z Cesarstwa Rosyjskiego, lecz ostatecznie klasa taka nie powstała. Zastanawiano się więc nad możliwością utworzenia własnej uczelni.

Własną uczelnię można było utworzyć po Ukazie Tolerancyjnym ogłoszonym w 1905 roku, który gwarantował wolność religijną wszystkim konfesjom

dotąd jej pozbawionym, w tym coraz liczniejszym w samej Rosji baptystom i ewangelicznym chrześcijanom[2]. Na ziemiach polskich pod panowaniem rosyjskim baptyści założyli seminarium teologiczne w 1907 roku w Łodzi. Łódź była miastem powstałym zaledwie kilkadziesiąt lat wcześniej i bujnie się rozrastającym jako wielki ośrodek przemysłu tekstylnego. Zamieszkiwali ją Niemcy, Polacy, Rosjanie i Żydzi, z reguły przybyli do niej z innych miejsc. Stosunkowo wielu z nich w nowych warunkach przejawiało zainteresowanie tym, co głosili baptystyczni misjonarze. Łódź szybko stała się najważniejszym ośrodkiem baptyzmu w tej części państwa rosyjskiego. Nic więc dziwnego, że tutaj właśnie otwarto seminarium baptystyczne.

Uczelnia ta zaczęła działać 14 października 1907 roku. Jej siedzibą była początkowo dysponująca obszernym zapleczem kaplica przy ulicy Nawrot 14. Chętnych do nauki było dość wielu, kilkunastoosobową grupę musiano po kilku miesiącach jeszcze uzupełnić, ostatecznie przyjęto 24 osoby, lecz po pierwszym roku nauki pozostało tylko 16[3]. Studenci rekrutowali się z różnych narodowości, ale przeważali Niemcy i Rosjanie. Wykłady prowadzili najczęściej Eugen Mohr i Martin Schmidt. Nauka trwała trzy lata, podczas których wykładano Stary i Nowy Testament, homiletykę, dogmatykę, etykę, duszpasterstwo, historię Kościoła, historię misji wśród pogan, naukę o Ziemi Świętej, pracę wśród młodzieży i śpiew[4]. A zatem program studiów był bardzo bogaty. Jednakże rozwijający się baptyzm wymagał dobrze przygotowanych pracowników.

Mimo zagwarantowanej przez prawo tolerancji religijnej baptyści nie mogli cieszyć się pełną swobodą religijną. Krytykowani wciąż przez duchowieństwo katolickie, a nierzadko też księży z Kościołów mniejszościowych: ewangelickiego i prawosławnego, poddawani byli rozmaitym ograniczeniom. Krytykowano też nieustannie ich seminarium w Łodzi, lecz niedogodności z tego powodu udawało się przezwyciężyć. W 1911 roku oponenci zdołali jednak przekonać władze o szkodliwości tej uczelni, w rezultacie została ona zamknięta. Baptyści próbowali zmienić tę decyzję, ale ich wysiłki okazały się daremne. Władze twierdziły, że seminarium pozostanie zamknięte tylko na pewien czas, ale już nigdy nie zezwoliły na jego otwarcie.

Seminarium w Łodzi działało niespełna cztery lata, pomimo to udało się w nim wykształcić cały szereg wybitnych działaczy baptystycznych. Dla przykładu można by wymienić chociażby Romana Chomiaka, zasłużonego dla zboru w Białymstoku, czy Bolesława Goetzego, znanego działacza ewangelicznego okresu międzywojennego. Posiadając własną szkołę, choć przez tak krótki czas, baptyści udowodnili, że chcą tworzyć trwałe struktury kościelne. Jak jest to ważne, okazało się w dwudziestoleciu międzywojennym.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości po pierwszej wojnie światowej na jej terytorium znajdowało się wiele zborów baptystycznych z kilkudziesięcioma tysiącami członków. Szczególnie liczne były one na wschodnich obszarach państwa, gdzie zakładali je przed wojną na ogół misjonarze przybywający z Rosji. Oprócz

Polaków należeli do nich przedstawiciele licznych tam mniejszości narodowych: Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Czesi, a nawet Żydzi. Utworzono wtedy dwie denominacje: Związek Zborów Słowiańskich Baptystów w Polsce oraz Unię Zborów Baptystów Języka Niemieckiego. Prócz tego istniały też inne ugrupowania o podobnym charakterze, z których tylko ewangeliczni chrześcijanie posiadali pełną legalizację.

Od początku okresu międzywojennego baptyści w Polsce odczuwali potrzebę zorganizowania odpowiedniej instytucji kształcącej pracowników kościelnych. Najpierw jednak zdołano zorganizować bodaj tylko miesięczne kursy biblijne. W 1922 roku odbyły się takie kursy w Warszawie i Równem na Wołyniu. W roku następnym zaś powstała Szkoła Biblijna w Radości koło Warszawy, jej uroczyste otwarcie nastąpiło 11 listopada 1923 roku. Była to uczelnia międzywyznaniowa, ale szczególnie związana z ewangelicznymi chrześcijanami, a zwłaszcza z nawróconymi na chrześcijaństwo Żydami[5]. Zakończyła swoją działalność na początku lat 30.

Głównym miejscem kształcenia baptystów w Polsce była w okresie międzywojennym Łódź, gdzie działało już przecież w czasach panowania rosyjskiego seminarium teologiczne. Podjęto zatem wysiłki celem reaktywowania tej uczelni. Od 12 czerwca do 27 września 1923 roku przeprowadzono kurs przygotowawczy dla kandydatów do seminarium. Natomiast od 12 stycznia roku następnego rozpoczęły się regularne zajęcia w Szkole Biblijnej dla 12 studentów: sześciu Niemców i sześciu przedstawicieli narodowości słowiańskich[6]. Przyjęto baptystów, którzy nie ukończyli 30 roku życia i odbyli już bądź zostali zwolnieni ze służby wojskowej. Nauka miała trwać trzy lata. Wykłady, tak jak przed wojną, odbywały się w budynku kaplicy przy ulicy Nawrot 27. Za naukę musiał płacić sam student lub też zbór, do którego należał. Dla studentów z narodowości słowiańskich, z reguły biedniejszych, był to często przeogromny wysiłek. Wielu gorliwych i mogących być w przyszłości dobrymi pracownikami Kościoła nie było stać na naukę[7].

Dyrektorem uczelni był Fryderyk Brauer, poza nim wykładali w niej dr A. Speidel, dr E. Kupsch, A. Knopf, B. Spałek, L. Miksa i inni. Program szkoły był bardzo szeroki, obejmował przedmioty ogólnokształcące oraz teologiczne: język polski (gramatyka, stylistyka, literatura), język angielski, niemiecki i rosyjski (konwersacja, gramatyka, literatura), historia powszechna, historia Polski, Polska współczesna, historia Kościoła, dzieje wyznania baptystów, historia filozofii i logika, psychologia i pedagogika religijna, homiletyka, studia egzegetyczne Starego i Nowego Testamentu, teologia pasterska, fizyka, botanika, zoologia, anatomia i fizjologia, geologia, geografia, matematyka, muzyka[8]. Prawdopodobnie włączenie do programu tak wielu przedmiotów ogólnokształcących wynikało z faktu braku średniego wykształcenia u znacznej części studentów. Należy też się domyślać, że czas poświęcony na te przedmioty był jednak krótszy niż na przedmioty teologiczne.

W czasie trwania nauki rozpoczętej ze studentami z pierwszego naboru baptyści niemieccy przeprowadzili nabór wyłącznie wśród swoich rodaków,

których zaczęto kształcić od 19 sierpnia 1925 roku, ale już według programu rozłożonego na cztery lata.

W 1926 roku rozważano zorganizowanie nauki osobno dla młodzieży słowiańskiej, ale do tego nie doszło. Jedną z przyczyn był brak wystarczającej kadry nauczycielskiej. Nowy nabór do Szkoły Biblijnej w Łodzi – jak się ona oficjalnie nazywała – nastąpił w roku następnym. Ale przyjęto wtedy tylko siedmiu studentów z powodu braku środków materialnych. Wtedy też wyraźnie zaznaczono, że w szkole są dwie grupy narodowościowe: niemiecka i słowiańska (Białorusini, Polacy, Rosjanie, Ukraińcy), gdyż powołano Michała Stanisława Lesika do kierowania grupą studentów słowiańskich, niemieckimi zaś miał się zajmować Fryderyk Brauer[9].

Dotychczas Szkoła Biblijna mieściła się w obszernym budynku kaplicy przy ulicy Nawrot 27, jednakże z czasem te pomieszczenia przestały wystarczać. W 1928 roku baptyści niemieccy zakupili w Łodzi przy ulicy Lipowej 93 budynek wraz z placem. 1 kwietnia tego roku przeniesiono do niego Szkołę Biblijną. Świadczy to po raz kolejny o tym, iż niemieccy baptyści ponosili znacznie większe koszty związane z kształceniem duchownych i działaczy baptystycznych w Polsce. Wynikało to niewątpliwie z faktu, iż niemieccy baptyści mieszkający głównie w zamożniejszej środkowej i zachodniej części kraju byli bogatsi niż ich współwyznawcy ze znacznie uboższych wschodnich obszarów Polski.

Być może z tego właśnie powodu, albo także innych, stosunki między studentami narodowości niemieckiej i narodowości słowiańskich nie były takie, jakie powinny cechować chrześcijan. Doszło więc do podziału uczelni. Słuchacze z grupy słowiańskiej przenieśli się do polskiego zboru przy ulicy Abramowskiego 25, Niemcy zaś pozostali w dotychczasowej swej siedzibie[10].

Dnia 11 września 1929 roku studenci niemieccy z trzeciego naboru rozpoczęli naukę mającą trwać cztery lata. Słowianie zaczęli zaś naukę znacznie później, bo 21 grudnia 1930 roku. Powodem opóźnienia był brak środków finansowych, a także pomieszczeń. Chętnych do podjęcia studiów było 50 młodych baptystów, lecz przyjąć można było jedynie 10. Zaczynał się wtedy w Polsce, i zresztą na całym świecie, dotkliwy kryzys ekonomiczny. Dlatego w latach 1933-1935 słowiańscy baptyści musieli zamknąć swoją Szkołę Biblijną. Odbywały się wtedy tylko kursy.

23 września 1935 roku Szkoła Biblijna wznowiła działalność pod kierunkiem Hugo Luecka. Czwarty nabór objął młodzież baptystyczną niemiecką i słowiańską – tym razem nie było już żadnych niesnasek pomiędzy obydwiema grupami. Najpierw przyjmowano na trwający miesiąc okres próbny, a ci, którzy go przeszli pomyślnie, rozpoczynali regularne trzyletnie studia[11]. Ukończyło je w 1939 roku 14 studentów, po siedmiu z każdej grupy narodowościowej.

Rychły wybuch drugiej wojny światowej uniemożliwił dalsze funkcjonowanie uczelni baptystycznej w Łodzi. Jej absolwenci w czasie wojny, a zwłaszcza po jej zakończeniu rozproszyli się po całym świecie. Niemcy wyjechali do Niemiec,

Polacy pozostali w swoim kraju, przedstawiciele narodowości słowiańskich znaleźli się w Związku Radzieckim, o ile ich losy nie ułożyły się jeszcze inaczej. Większość ofiarnie pracowała w Winnicy Pańskiej.

Grzegorz Pełczyński
Antropolog kultury, teolog,
Prof. dr hab. Uniwersytetu Szczecińskiego

Przypisy:

1. M. Karetnikowa, *400 let baptizma. Istorija w kartinach*, Sankt Peterburg 2010, s. 67-71.
2. S. Sawinski, *Istorija evengel'skich christian-baptistov Ukrainy, Rossii, Belorussi (1867-1917)*, Sankt Peterburg 1999, s. 247-248; G. Pełczyński, *Ewangelikalizm w Rosji (XIX-XX wiek)*, Poznań 2013, s. 122-131.
3. K. Wiazowski, *Kształcenie teologiczne w Kościele Chrześcijan Baptystów w Polsce*, Warszawa 2000, s. 6
4. H. R. Tomaszewski, *Baptyści w Polsce w latach 1858-1918*, Warszawa 1993, s. 92.
5. K. Bednarczyk, *Historia zborów baptystów w Polsce do 1939 roku*, Warszawa 1997, s. 198-200.
6. K. Wiazowski, *Kształcenie teologiczne...*, s. 8.
7. K. Wiazowski, *ibidem*, s. 10-12.
8. H. R. Tomaszewski, *Wspólnoty chrześcijańskie typu ewangeliczno-baptystycznego na terenie Polski w latach 1858-1939*, Warszawa 2006, s. 58.
9. H. R. Tomaszewski, *ibidem*, s. 59
10. *Ibidem*, s. 60.
11. K. Wiazowski, *Kształcenie teologiczne...*, s. 9-10.

czarne dziury, białe plamy

Kim była Róża Deweltow
Tajemnica dziwnego nagrobka
Aleksander Pytke
Janusz Urbański
Wojciech Źródlak
str. 113

Aleksander Pytke, Janusz Urbański, Wojciech Źródlak

Kim była Róża Deweltow

Tajemnica dziwnego nagrobka

Jest w Łodzi, na cmentarzu żydowskim przy ulicy Brackiej, niewielka mogiła ze skromnym nagrobkiem, która zawsze wzbudza duże zainteresowanie odwiedzających tę nekropolię. Zwłaszcza że nietrudno do niej trafić, ponieważ znajduje się na poboczu głównej alei, nieopodal mauzoleum Izraela Poznańskiego.

Oprowadzając wycieczki, zawsze zwracają na nią uwagę łódzcy przewodnicy, tym bardziej, że inskrypcja na betonowym pomniczku informuje, iż jest tu pochowana Róża Deweltow, Bohater Związku Radzieckiego, urodzona w Wilnie 1 lipca 1919 roku, lekarka, która zginęła na polu walki 24 lipca 1944 roku, czyli wkrótce po ukończeniu 25 roku życia.

Przez wiele dziesiątków lat były to jedyne informacje o poległej, ponieważ w dokumentacji cmentarnej nie ma żadnej wzmianki o czasie i okolicznościach tego pochówku.

Wiele wysiłku i lat w ustalenie bliższych szczegółów o życiu i śmierci Róży Deweltow włożył nieżyjący już łódzki przewodnik, Aleksander Pytke. Swoje ustalenia i zapytania opublikował dwukrotnie w łódzkiej prasie: w dzienniku „Głos Robotniczy" (styczeń 1987)[1] oraz w tygodniku społeczno-kulturalnym „Odgłosy" (luty 1988)[2].

Ostatnio, podczas zbiorowej wizyty grupy bydgoszczan na cmentarzu, sprawą ponownie zainteresował się jej uczestnik, Janusz Urbański. W efekcie wspólnej pracy, kwerend internetowych i konsultacji z Markiem Szukalakiem z Fundacji Monumentum Iudaicum Lodzense, Hubertem Rogozińskim, znawcą żydowskiej Łodzi, oraz dwoma regionalistami z Podlasia, Janem Łobuzińskim[3] i Jerzym Jakimiukiem[4], wydaje się, że sprawa tej tajemniczej mogiły w znacznej mierze wyjaśniła się, poza kilkoma dość istotnymi szczegółami.

Kluczowymi okazały się dokumenty i zdjęcia ze zbiorów Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie, z uwzględnieniem wkładu, „pro memomoriam", zebranego przez wspomnianego wyżej Aleksandra Pytke.

Wilnianka

Według tych dokumentów Róża Deweltow urodziła się w Wilnie 1 lipca 1919 roku w rodzinie żydowskiej. Jak ustalił A. Pytke, jej ojciec Ruwen vel Rubin obumarł ją w wieku dziecięcym. Szkołę podstawową ukończyła w Wilnie, maturę zdała w 1937 roku w Kownie, a studia medyczne ukończyła (rzekomo) na Uniwersytecie w Riazaniu[5]. Miała brata Chaima (ur. 1915), który z zawodu był farmaceutą[6]. W Wilnie rodzina Deweltow mieszkała przy ul. Kwaszelnej (ob. Raugyklos gatve) 21.

W tymże Riazaniu – według Aleksandra Pytke – w dniu 7 października 1942 roku ochotniczo wstąpiła do Armii Czerwonej i została skierowana do szkoły oficerskiej dla dowódców kompanii. Zapewne do Riazańskiej Szkoły Piechoty. Miała wówwczas 23 lata. Jeśli to prawda, to dotąd nie wiadomo, kiedy i gdzie zdążyła ukończyć studia medyczne i kiedy je rozpoczęła.

Nie znamy też szczegółowo jej szlaku bojowego, ale na obszarze Polski znalazła się i zginęła jako dowódca oddziału sanitarnego w 102 oddziale wojenno-budowlanym 53 Zarządu Wojenno-Polowego Budownictwa. Nie udało się ustalić, w składzie jakiej większej jednostki wojskowej służyła (pułku, armii), ale na pewno był to I Front Białoruski. Radzieckie dokumenty wymieniają ją jako lekarza wojskowego III rangi[7]. W tym czasie dowódcą tegoż Frontu był marszałek Konstanty Rokossowski, a w składzie tego Frontu walczyła też 1 Armia Wojska Polskiego i nieliczne pododdziały 2 Armii.

Trumna ze zwłokami Róży Deweltow w domu przedpogrzebowym cmentarza przy ul. Brackiej, kwiecień 1950, zbiory Yad Vashem

Order, ale nie taki

Róża Deweltow zginęła 24 lipca 1944 roku, „niosąc pomoc rannym żołnierzom". Aleksander Pytke dotarł do meldunku ponoć[8] szefa służby medycznej I Frontu Białoruskiego, gen. Siergieja Barabanowa, w którym ten zapisał bliższe szczegóły jej śmierci:

> Długotrwałe walki o zdobycie przyczółka na zachodnim brzegu Narwi pochłonęły wiele ofiar po obu walczących stronach. Nieprzyjaciel bronił się zaciekle i kontratakował, pragnąc za wszelka cenę zepchnąć nasze wojska do rzeki. Wielu naszych żołnierzy poległo, wielu było rannych, którym należało udzielić pomocy i wynieść z pola walki. Podczas kolejnego dnia walki, w czasie nieprzyjacielskiego ataku artyleryjskiego, dowódca kompanii sanitarnej, kpt. Róża Deweltow, nie zważając na grożące jej niebezpieczeństwo, na własnych plecach wynosiła z pola walki rannych żołnierzy, udzielała im pierwszej pomocy, dając tym godny przykład żołnierzom dowodzonej przez siebie kompanii. Jeden z wrogich pocisków ranił ją śmiertelnie. Za ten bohaterski czyn pośmiertnie została odznaczona złotą Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego.

Na tym fakcie kończą się ustalenia Aleksandra Pytkego. Teraz na podstawie wspomnianych już dokumentów z Yad Vashem oraz w rosyjskich bazach danych, odnalezionych przez Elenę Martyriewą z Odessy[9], udało się ustalić kolejne fakty.

Elena Martyriewa przeszukała przede wszystkim bazę z nazwiskami Bohaterów Związku Radzieckiego[10] i tu okazało się, że nie ma w niej nazwiska Róży Deweltow, bo i nie mogło być. Jak wynika z dokumentu przechowywanego w Yad

str. 3 Kondukt pogrzebowy Róży Deweltow na Cm. Żydowskim przy ul. Brackiej, kwiecień 1950; zbiory Yad Vashem

Vashem, w rzeczywistości została ona odznaczona „tylko" Orderem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej I klasy, najwyższym ówczesnym radzieckim odznaczeniem bojowym. Rozkaz nadania orderu podpisał marszałek Rokossowski 30 września 1944 roku. Przytoczona w relacji Barabanowa „złota Gwiazda Bohatera Związku Radzieckiego" to jedno i to samo odznaczenie, chociaż tytuł się już nie zgadza; faktem jest, że ordery tej klasy były wykonywane z czystego złota!

Należy zwrócić tu uwagę, iż zasady przyznawania tego orderu I lub II klasy, były bardzo szczegółowo określone i nie ma w nich punktu o poświęceniu życia przy ratowaniu rannych na polu walki, tak jak to opisał w swoim meldunku gen. Barabanow. Dlaczego więc przyznano tej młodej kobiecie tak wysokie odznaczenie? Tego sie juz raczej nie dojdziemy... W ogóle sprawa okoliczności śmierci Deweltow nie wydaje się jednoznaczna w świetle informacji mieszkańca Klejnik, którą zamieszczamy na końcu artykułu.

Jak wysokie było to odznaczenie, niechaj świadczy fakt, że w okresie drugiej wojny światowej otrzymało je 323 tysięcy żołnierzy ogromnej, bo liczącej około 20 mln osób Armii Czerwonej. Trzymając się więc faktów, należałoby stwierdzić,

Nagrobek Róży Deweltow na Cmentarzu Żydowskim – widok współczesny, fot. Wojciech Źródlak

że na cmentarzu przy ul. Brackiej jest pochowana nie tytularna „Bohater Związku Radzieckiego", a „tylko" bohaterska dziewczyna-żołnierz Związku Radzieckiego.

Z rosyjskojęzycznej bazy Memoriał[11] dowiadujemy się, że w tamtym czasie – w lipcu 1944 roku – Róża Deweltow została pochowana w miejscowości Klejniki, w obecnej gminie Czyże, pow. Hajnówka na Podlasiu. W dokumentacji strat osobowych Armii Czerwonej zapisano: *„dierewnia Kleniki, bielskogo rajona, bielostockogo wojewodstwa, na okrainie sela (siewiernaja czast', w bratskoj mogilie)".*

Dlaczego w Łodzi?

W jakich okolicznościach jej matka, Sara Deweltow (c. Racheli, ur. w 1889 w Mariampolu na Litwie), znalazła się w Łodzi?

Aleksander Pytke podawał w swoich publikacjach – mijając się całkowicie z prawdą – że po wkroczeniu Niemców do Wilna Sara Deweltow została wywieziona wraz z synem do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkanau i tu dotrwała do wyzwolenia obozu.

W rzeczywistości, według jej osobistego świadectwa dla Yad Vashem, przeszła wraz synem Chaimem najpierw przez obóz koncentracyjny w Rydze-Kaiserwald[12]. W październiku 1944 roku podczas likwidacji tego obozu zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego Stutthof. Stąd w kwietniu 1945 roku pognano ich wraz z innymi więźniami „marszem śmierci" w kierunku zachodnim. Syn zginął w Lęborku lub jego okolicy, ona natomiast została wyzwolona w maju 1945 roku w obecnym Wejherowie.

W Łodzi przypuszczalnie pojawiła się miesiąc lub dwa później. Na pewno dlatego, że Łódź w tamtym czasie była centrum żydowskiej diaspory w Polsce ocalałej z Holokaustu. Funkcjonował tu Centralny Komitet Żydów Polskich, który organizował nowe życie ocalonym[13].

Z czasem matka Róży uzyskała informację o miejscu pochówku córki i zapewne był to dla niej spory problem, bo Klejniki to wówczas miejsce „gdzieś na krańcu świata". Ale chyba też dręczyła ją jako Żydówkę świadomość, że córka nie spoczywa w „poświęconej ziemi". W tej sytuacji rozpoczęła starania o ekshumację[14].

W religii judaistycznej ekshumacja jest możliwa tylko w trzech przypadkach: przeniesienia szczątków z cmentarza nieżydowskiego na żydowski, dla przeniesienia szczątków na „ziemię Izraela" oraz gdy zagrożony jest byt konkretnego cmentarza żydowskiego.

Jak wynika z podpisów pod zdjęciami z łódzkiego pochówku oraz wspomnień mieszkańca Klejnik Bazyla Stachwiejuka (ur. w 1930 r.), ekshumację przeprowadzono w kwietniu 1950 roku.

Wykopywanie zwłok Róży odbyło się wiosną 1950 roku, było bardzo dużo wody. Wraz z matką Róży przyjechało do Klejnik 4-5 Żydów. Jeden z nich robił zdjęcia.

Ja wraz z innymi mieszkańcami przyglądałem się tym czynnościom. W pobliżu kapliczki znajdowało się kilka grobów żołnierzy radzieckich, a dwa na podwórku Sadowskiego. Od wschodu kapliczki były dwa ogrodzone groby: w jednym był pochowany oficer o nazwisku Zajcew, w drugim doktor Róża oraz sanitariuszka o imieniu Wiera. Grób rozkopywało dwóch mieszkańców Klejnik – Bazyl Polikatus i Piotr Grygoruk (zmarł w 2013 r.). Matka poznała Różę po kolorze włosów – ciemny kasztan.

Po przywiezieniu ciała Róży Deweltow do Łodzi złożono je w domu przedpogrzebowym cmentarza przy ul. Brackiej, skąd odbyła się eksportacja na miejsce wiecznego spoczynku. Dlaczego pochowano Różę w takim miejscu, bezpośrednio w ciągu alei głównej? Wytłumaczył to znawca dziejów tego cmentarza – Marek Szukalak. Otóż, odwołując się do zasad pochówków Żydów, jego wykonanie winno nastąpić w miejscu, co do którego jest pewność, że poniżej nie ma innego ciała. Niedopuszczalne są pochówki wielokrotne w jednym miejscu. Cmentarz przy Brackiej był w tym czasie już praktycznie całkowicie wypełniony, stąd pewnym i najłatwiej dostępnym miejscem było pobocze alei głównej.

Pomnik na grobie Róży Dewletow w stanie pierwotnym, prawdopodobnie tuż po odsłonięciu, okres 1951 1954; zbiory Yad Vashem

W pogrzebie uczestniczyło kilkadziesiąt osób, co widać na jedynym zdjęciu konduktu pogrzebowego. Po ceremonii pogrzebowej matka ucałowała ziemię, w której spoczęła córka. Zapewne pomimo bólu odczuła ulgę, że wreszcie zakończyła godnie tę tragiczną sprawę…

Najprawdopodobniej sama organizowała ustawienie pomnika z napisami, które wprowadziły nieco zamieszania informacyjnego.

Nie był możliwy, jeżeli już wykonano ekshumację, pochówek Róży na cmentarzu żołnierzy radzieckich w parku im. J. Poniatowskiego, czemu dziwił się Aleksander Pytke – „dlaczego ta skromna mogiła, nieuwidoczniona w spisach pochowanych żołnierzy na ziemi łódzkiej, nie znalazła się razem na wojennym cmentarzu w parku Poniatowskiego" – i który w dobrej wierze czynił starania w tym kierunku. Gdyby to mu się udało, wyświadczyłby prochom Róży i jej matce przysłowiową „niedźwiedzią przysługę".

Nie wiemy, gdzie w Łodzi mieszkała i kiedy opuściła Polskę Sara Deweltow (nie zachowały się dokumenty)[15], ale najprawdopodobniej miało to miejsce w okresie 1950-1954, ponieważ w dniu 26 czerwca 1955 roku złożyła w Instytucie Yad Vashem oświadczenie o śmierci swojej córki. Co dalej się z nią stało, gdzie mieszkała, gdzie zmarła, tego nie wiemy (autorzy podjęli poszukiwania jej rodziny w Izraelu). W zbiorach Instytutu znajduje się tylko jedna jej fotografia z 1960 roku.

Związek Radziecki odmawia

Z zachowanego dokumentu wiemy, że w 1956 roku wystąpiła do ambasady ZSRR w Izraelu o rentę po córce oraz o przysłanie przyznanego córce Orderu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W obu przypadkach otrzymała odpowiedź odmowną. W pierwszej sprawie, ponieważ rosyjskie ustawodawstwo nie przewidywało wypłaty renty na rzecz osób zamieszkałych poza obszarem ZSRR. W drugim przypadku uzasadnienie jest nieco dziwne: „jeżeli chodzi o Waszą prośbę dotyczącą otrzymania Orderu, to jest to niemożliwym, ponieważ w jego Statucie nie została przewidziana możliwość jego sprzedaży (!?) poza granice Związku Radzieckiego". „Oszczędzono" więc nawet matce ostatniej satysfakcji z przyznanego poległej córce orderu.

Postanowiliśmy na koniec poszukać śladów tej sprawy w miejscu, gdzie Róża Deweltow poległa i skąd zostało ekshumowane jej ciało. Dzięki zainteresowaniu i działaniu Jerzego Jakimiuka, dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury w Czyżach, oraz Jana Łobuzińskiego, emerytowanego dyrektora Szkoły Podstawowej w Klejnikach, uzyskaliśmy niespodziewane informacje. Okazało się, że sprawa ta jest tam dobrze pamiętana. Relację z ekshumacji już przytoczyliśmy. Natomiast o okolicznościach śmierci opowiedział Włodzimierz Komarow (ur. 1930 r.):

> W drugiej połowie lipca 1944 roku, po wycofaniu się Niemców, na naszym podwórku oraz u sąsiadów – Łobuzińskich znajdowali się żołnierze radzieccy.

Czuli się swobodnie, wypoczywali; na naszym podwórku znajdowało się również kilkanaście koni. Doktor, która nazywała się Róża Deweltow, wraz z innymi była w chacie Łobuzińskich; grał tam patefon. Niemcy musieli ich zauważyć i rozpoczęli ostrzał [artyleryjski]. Po pierwszym wybuchu Róża wybiegła z chaty Łobuzińskich, za nią pielęgniarka. Róża zginęła na miejscu od wybuchu kolejnego pocisku.

W wyniku niemieckiego ostrzału zginęło jeszcze 8-9 żołnierzy i kilka koni. Później Róża i pozostali polegli zostali pochowani w kilku mogiłach koło kapliczki i na leżącym przy drodze podwórku Sadowskiego. W roku 1950, kiedy matka Róży Deweltow przyjechała po zwłoki, była u nas i u sąsiadów, wypytywała o okoliczności śmierci córki.

Nietrudno zauważyć dość poważną różnicę w relacji na temat okoliczności śmierci Róży Deweltow, ale czy to już dziś ma tak duże znaczenie?

I to już chyba wszystko, co można było ustalić w sprawie „tajemniczej mogiły" na cmentarzu żydowskim przy ul. Brackiej w Łodzi. Pozostały nieliczne dokumenty i fotografie oraz nasza pamięć o bardzo młodej lekarce – żołnierzu, która przez zbieg wojennych okoliczności znalazła się akurat w Armii Czerwonej. Historii nikt nie zmieni, choć w 2004 roku ktoś oderwał z pomnika na jej mogile czerwoną gwiazdę.

Aleksander Pytke
Janusz Urbański
Wojciech Źródlak

osiedla, domy, ulice...

Wigury i Żwirki
Ulice fabrykantów
Dariusz Kędzierski
str. 123

Wigury i Żwirki

Ulice fabrykantów

Ulice, o których będzie dzisiaj mowa, za patronów mają słynnych polskich lotników – kpt. pil. Franciszka Żwirkę i inż. Stanisława Wigurę. Obaj wsławili się tym, że 28 sierpnia 1932 roku, lecąc samolotem polskiej konstrukcji, RWD-6, odnieśli spektakularne zwycięstwo na odbywających się w Berlinie Międzynarodowych Zawodach Samolotów Turystycznych, pokonując ponad 40 załóg. Stanisław Wigura był współkonstruktorem samolotu. Niestety, krótko dane im było cieszyć się sukcesem, 11 września, gdy lecieli do Pragi, około szóstej rano, koło czeskiego Cierlicka załoga napotkała gwałtowną burzę. Próbowali zawrócić, ale konstrukcja okazała się za słaba. W samolocie urwało się skrzydło i maszyna runęła na zalesione wzgórze, obaj piloci zginęli. 15 września 1932 roku zostali pochowani na warszawskich Powązkach. W Łodzi uhonorowano ich pamięć nazwami ulic. Kapitan Żwirko stał się patronem dotychczasowej ulicy Karola, a inż. Wigura ulicy Pustej.

Obie ulice przebiegają na osi wschód – zachód przez centrum miasta, od Kilińskiego aż do Żeromskiego.

Ślad Silbersteina

Wyruszamy od Kilińskiego, zostawiając za sobą ceglany budynek prokuratury przy Kilińskiego 152, w którym kiedyś mieściły się koszary ZOMO i Komenda Wojewódzka milicji.

Wigury 30/32 – tu, za blokami, do stycznia 2009 roku stała zabytkowa willa z ogrodem. Teren należał do rodziny Silbersteinów. W 1914 roku odkupili go Bartold Blum i Kazimierz Monitz. Po śmierci Bluma w 1920 roku Monitz został jego samodzielnym właścicielem. W latach 1919-1920 stanął tu parterowy dom z użytkowym poddaszem, potem w latach 1928-1934 został rozbudowany według projektu Adolfa Goldberga. Willa była unikalnym w centrum Łodzi przykładem ogrodowej zabudowy jednorodzinnej. Tymczasem ostatni właściciel nieruchomości zburzył budynek znienacka, tłumacząc to jego złym stanem technicznym. To stwierdzenie wzbudza wątpliwości, gdyż wyburzenia dokonano w ciągu kilku godzin, po zmroku, tuż przed wpisaniem budynku do rejestru zabytków.

Po przeciwnej stronie Wigury, pod numerem 21, nietrudno dostrzec okazały budynek pofabryczny, kiedyś należący do Silbersteinów. Żydowska rodzina Silbersteinów należała do grona kilkunastu najbogatszych rodów fabrykanckich Łodzi. Większość jej członków całkowicie się zasymilowała, przyjmując polski język i polskie zwyczaje. Założyciel fabrykanckiego rodu Markus Silberstein urodził się w Lubochni koło Tomaszowa. W 1860 roku rozpoczął działalność handlową, w tym też czasie ożenił się z córką bogatego warszawskiego kupca Hudesą Cohn, która później zmieniła imię na Teresa. Dzięki posagowi panny młodej w 1866 roku Silberstein otworzył własny dom handlowy przy ulicy Nowomiejskiej, a w latach 70. XIX wieku dużą tkalnię mechaniczną przy Piotrkowskiej 242. Zakład nastawił się na produkcję tkanin wełnianych i półwełnianych. Dzięki atrakcyjnemu wzornictwu, dobrej jakości i niskim cenom firmie od razu udało się wejść na rynek rosyjski. W końcu XIX wieku nastała duża koniunktura w branży bawełnianej, Silberstein postanowił to wykorzystać i zakupił teren przy ulicy Pustej, na którym w 1887 roku wzniósł przędzalnię bawełny. Fabryka została zbudowana według projektu Hilarego Majewskiego. Masywna wieża dzieli budynek na dwie nierówne części. Nieotynkowana, ceglana fasada z czerwonej cegły ozdobiona została gzymsami. Za budynkiem głównym wzniesiono pomieszczenia dla maszyny parowej.

Markus Silberstein był filantropem i aktywnie wspierał organizacje żydowskie. Był członkiem założycielem Żydowskiego Towarzystwa Dobroczynności, wspierał też finansowo gimnazjum męskie. Wspólnie z żoną przy ulicy Zakątnej powołał do życia dom dla sierot wyznania mojżeszowego, a także towarzystwo

Fragmenty pofabrycznego budynku oraz siedziby banku przy ul. Wigury 21 | **str. 2**

organizacji kolonii dla dzieci żydowskich. Fabrykant zmarł w Nicei w 1899 roku, w wieku 61 lat, miał sześcioro dzieci. Jego córka Sara wyszła za mąż za Maurycego Poznańskiego, który niebawem stał się najważniejszą postacią w zakładach Silbersteina.

W czasie strajków w 1907 roku zastrzelony został jeden z synów Silbersteina, Mieczysław. Wykazywał on nieprzejednaną postawę podczas pertraktacji ze strajkującymi robotnikami. Jeden z nich pod wpływem emocji znienacka wyjął broń i strzelił do fabrykanta. W odwecie zostało rozstrzelanych kilku robotników. Po tragicznej śmierci syna wdowa po Markusie Silbersteinie, Teresa, wycofała się z życia publicznego. Wyjechała z Łodzi i zamieszkała w majątku w Lasowicach, nieopodal Brzezin.

Po śmierci Mieczysława we władzach przedsiębiorstwa zasiadł jedyny żyjący syn Markusa – Stanisław. Jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej wspólnie z Maurycym Poznańskim doprowadzili do powstania koncernu włókienniczego, w skład którego wchodziły trzy fabryki: Towarzystwo Akcyjne Markusa Silbersteina, Towarzystwo Akcyjne „Dąbrówka" oraz Manufaktura w Piotrkowie Trybunalskim. W 1937 roku koncern z kapitałem 8,6 mln zł zatrudniał sześć tysięcy robotników. Dysponował 41300 wrzecionami cienkoprzędnymi i 875 krosnami, a wartość rocznej produkcji osiągała 8,5 mln zł.

Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej łódzkie fabryki przeżywały trudne czasy, wiele z nich zbankrutowało, inne, zadłużone w bankach, traciły swoją niezależność – tak było m.in. z zakładami Poznańskiego i Scheiblera.

Fabryki Silbersteina przetrwały do samej okupacji, ale potem jako majątek osób pochodzenia żydowskiego zostały w pierwszej kolejności przejęte przez Niemców i skonfiskowane. W halach fabrycznych swoją produkcję uruchomiła firma Siemens.

Po wojnie tkalnię przy Piotrkowskiej przejęły Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego Olimpia. W zakładach Silbersteina przy Pustej (Wigury) w czasie wojny produkowane były tachografy. Po wojnie znacjonalizowane zakłady stały się Łódzką Fabryką Zegarów znaną od lat 70. XX wieku jako Mera Poltik.

Ślad Eitingona

Adresy Wigury 12 i 12a łączą się ściśle z osobą Nauma Eitingona. Eitingon w 1919 roku przyjechał z Rosji, w której to w czasie trwania rewolucji stracił majątek, gdyż aby ratować głowę, musiał zostawić potężne składy z towarami w rękach bolszewików, ale też przy tej okazji majątek zyskał. Przemieszczał się wraz z białogwardzistami i na terenach przez nich zajętych skupował za grosze skóry bobrów, łasic i soboli, płacąc za nie chlebem i mąką. Skóry natychmiast ekspediował do Lipska, a stamtąd były wysyłane dalej, do Nowego Jorku. W Lipsku Naum miał brata Maxa, właściciela ogromnych składów futer, a w Nowym Jorku jego drugi brat Matheus stał na czele spółki akcyjnej Eitingon and Shield Co.

W Łodzi Naum Eitingon zaczął od rudery przy ulicy Pustej 12, którą kupił na potrzeby produkcyjne, zamieszkał natomiast obok, w pałacyku, który był wybudowany dla Wilhelma Teschemachera. To zgrabny budynek w stylu neorenesansowym, na parterze którego znajdowały się pomieszczenia reprezentacyjne wraz z oranżerią, piętro stanowiła zaś część mieszkalna. Już po niedługim czasie Eitingonowie stali się właścicielami tego budynku. Obecnie w willi ma siedzibę Łódzki Oddział PTTK oraz Centrum Fotografii Krajoznawczej.

Eitingon był człowiekiem pomysłowym i rzutkim. Uchodził za producenta chust wełnianych, tymczasem on sam niczego nie produkował. Chusty sprowadzał już gotowe, składał je i rozsyłał do hurtowni. Chusty były ostemplowane znakiem firmowym Eitingona, na którym widniał globus z zaznaczonymi na nim najważniejszymi stolicami Europy. Niewtajemniczeni mogli sądzić, że mają do czynienia z firmą o rozległych kontaktach handlowych.

Następnym posunięciem Eitingona był zakup fabryki przy Sienkiewicza 82/84, to była dla niego udana transakcja. Będąca właścicielem fabryki spółka Winkler, Gaertner, Borman ogłosiła upadłość i nadarzyła się okazja jej zakupu na bardzo korzystnych warunkach. W późniejszym okresie wymieniono tam cały park maszynowy, wstawiając nowoczesne i wydajne maszyny do produkcji pończoch. Naum Eitingon nie obnosił się z tym, ale wtajemniczeni wiedzieli, że Bank Depozytowy, który zajmował piętro przy Piotrkowskiej 5, należał właśnie do niego. Zgromadzone tam pieniądze nie raz posłużyły jego właścicielowi do pozbywania się konkurencji. Tak było z fabryką Wachsa przy ulicy Dowborczyków. Wytwarzane przez Wachsa na przestarzałych maszynach trykotaże były drogie i brzydkie, nic więc dziwnego, że Wachs popadł w finansowe tarapaty. Z „pomocą" przyszedł Eitingon, który udzielił mu kilku poży-

Barak na tyłach posesji przy ul. Wigury 12a | **str. 4**

czek. Gdy kwota długu była już odpowiednio wysoka, tak że Wachs nie był w stanie jej spłacić, do akcji wkroczył Eitingon. Położył „areszt" na zalegające w magazynach trykotaże, pod zastaw których udzielał pożyczek, a za chwilę za pół darmo kupił upadającą fabrykę wystawioną na licytację. Podobną metodę zastosował w stosunku do innego znanego przemysłowca, Rychtera, dzięki czemu przejął zlokalizowaną przy Gdańskiej jego dużą tkalnię, którą następnie przerobił na najnowocześniejszą w mieście wykończalnię.

Jeszcze inaczej „rozprawił" się z Kastenbergiem. Jego fabryka przy Szterlinga produkowała na rzecz Eitingona. Eitingon najpierw stopniowo uzależnił Kastenberga od swoich zamówień, później systematycznie zaczął zaniżać ceny, raptownie zmniejszał zamówienia lub je nieoczekiwanie zmieniał. W efekcie i ta fabryka poszła pod młotek i stała się kolejnym łupem Eitingona. Takich przejęć Eitingon miał na swoim koncie wiele. Wydaje się, że Eitingon wykorzystywał sytuację tych fabrykantów, którzy sobie nie radzili, niejako przyspieszał ich nieuchronny upadek. Przejęte fabryki modernizował i wyposażał w nowoczesne i wydajne urządzenia, dlatego w jego fabrykach produkcja szła pełną parą. Również wybuch drugiej wojny światowej, której się spodziewał, nie zaskoczył Eitingona. Już wcześniej część majątku spieniężył, a resztę przekazał na rzecz spółki swojego brata w Nowym Jorku. Było to mądre posunięcie,

str. 5 | Fragment elewacji budynku banku, ul. Wigury 21

gdyż Niemcy po zajęciu Łodzi własność żydowską rekwirowali, natomiast nie czynili tego w stosunku do własności obywateli Stanów Zjednoczonych. Sam Eitingon uniknął Holokaustu i również wyjechał do USA. Zmarł tam tragicznie, stając się ofiarą wypadku samochodowego. Miało to miejsce w 1959 roku, miał wtedy 82 lata.

Naprzeciwko domu Eitingona, na rogu Sienkiewicza i Wigury, przez wiele lat mieścił się szpital nazwany imieniem Ludwika Pasteura. Szpital powstał w latach dwudziestych ubiegłego wieku na terenach należących do rodziny Hoffrichterów, jego założycielkami były francuskie zakonnice z Bordeaux. Leczono tam przede wszystkim ludzi niezamożnych. W czasie drugiej wojny światowej w szpitalu leczono głównie żołnierzy niemieckich. W 2001 roku szpital zwrócono zakonnicom, które przywróciły mu pierwotną nazwę – Szpital Świętej Rodziny. W 2005 roku budynek został przez zakonnice sprzedany prywatnemu inwestorowi.

Tuż za szpitalem stanął budynek, który jest przykładem ciekawej, nowoczesnej architektury wplatającej się w istniejącą śródmiejską zabudowę – jest to dom pod numerem 15a. Uwagę przyciągają różowe mury i efektowne wykusze. Na parterze zlokalizowano lokale usługowe, na górze mieszkania. Na elewacji można dostrzec róże wyrzeźbione w piaskowcu, stąd nazwa budynku – Dom pod Różami.

Nieco dalej trudno nie dostrzec wyłaniających się potężnych ścian budynków łódzkiego Manhattanu. W 1966 roku założono, że na południe od ulicy Głównej (Piłsudskiego) powstanie Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa i że składać się ona będzie z najwyższych budynków w Łodzi – i tak się stało. W latach 70. XX wieku powstało osiedle składające się z najwyższych budynków mieszkalnych miasta i jednych z najwyższych w Polsce, tzw. mega szaf, wykonanych w konstrukcji szkieletowej. Konstrukcje budynków są proste, elewacje niczym nieurozmaicone. Na terenie osiedla znajdują się dwa najwyższe budynki mieszkalne w Łodzi, każdy ma po 78 metrów wysokości.

Ślad Rossalskiego

Po przeciwnej stronie ulicy, przy Wigury 4/6, stoi efektownie odrestaurowana willa. Budynek powstał w 1925 roku na zlecenie Ignacego Rossalskiego, który miał fabrykę sznurków, lin i powrozów przy obecnej ulicy Przybyszewskiego. Willa zaprojektowana została przez Leona Lubotynowicza.

To dwukondygnacyjny budynek na planie zbliżonym do kwadratu, z mansardowym dachem i dwoma ryzalitami. Po wojnie willa zmieniała użytkowników,

str. 7 Detal modernistycznej kamienicy u zbiegu ulic Piotrkowskiej i Wigury (Piotrkowska 196)

swoją siedzibę miała tu Polska Partia Socjalistyczna, prokuratura, a także przedszkole. W 1992 roku budynek stał się własnością spadkobierców, którzy przeprowadzili gruntowny remont. Obecnie mieści się tu pensjonat i restauracja Revelo. Wnętrza utrzymane są w klimacie lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Obiekt został wyróżniony tytułem Najlepszego Wnętrza Roku 2007 w konkursie Fundacji Ulicy Piotrkowskiej.

Przed nami skrzyżowanie z ulicą Piotrkowską. W połowie XIX wieku w narożnych posesjach na skrzyżowaniu Piotrkowskiej z Pustą znajdowały się warsztaty, sklepy oraz szynki. Piotrkowska była głównie ulicą tkaczy i sukienników bawełnolnianych. Domy tkaczy były też wytwórniami wyrobów włókienniczych. Z czasem obok izby warsztatowej zaczęły również powstawać urządzenia umożliwiające wykończanie surowych tkanin: bielniki, farbiarnie, drukarnie. Warsztaty takie znajdowały się na Piotrkowskiej przy Pustej pod numerami 193, 197 oraz 198.

Z kolei pod numerem 196 działał szynk. Przed powstaniem Łodzi przemysłowej wyrobem i sprzedażą trunków w rolniczym miasteczku zajmowali się mieszczanie, dwory szlacheckie, rząd i Żydzi. W latach 30. XIX wieku były na Piotrkowskiej 22 szynki, a w latach 40. było ich już 30, między innymi ten na rogu Piotrkowskiej i Pustej, pod numerem 196.

W tamtym czasie po nieparzystej zachodniej stronie ulicy było dziewięć sklepów, a po parzystej aż piętnaście. Wynika z tego, że handlowcy upodobali sobie raczej wschodnią stronę Piotrkowskiej. Wśród sklepów przeważały te z artykułami korzennymi, z rybami – głównie ze śledziami – sprzedawano również mydło, świece, a także materiały barwiarskie, przędzę bawełnianą oraz wyroby włókiennicze. Jeden z takich sklepów mieścił się na narożniku Pustej i Piotrkowskiej, pod numerem193.

Tablica pamiątkowa o treści: „W tym domu w latach 1945-1961 mieszkał i tworzył Jan Sztaudynger 1904-1970. Poeta i fraszkopis. Uczył piękna i radości życia". Ul. Żwirki 1c

Ślad Sztaudyngera

Po drugiej stronie skrzyżowania, na kamienicy przy Żwirki 1C, znajduje się tablica informująca, że w tym domu w latach 1945-1961 mieszkał Jan Sztaudynger.

Jan Sztaudynger urodził się w 1904 roku w Krakowie, przed wojną był nauczycielem i wykładowcą – uzyskał tytuł doktora filozofii. Był poetą, satyrykiem, teoretykiem lalkarstwa, tłumaczem. Najbardziej znane są jego fraszki, zwane przez niego „piórkami", cięte i frywolne. Sztaudyngera uznano za odnowiciela tego gatunku, w sumie napisał ich ponad pięć tysięcy. Po wojnie pisarz zamieszkał w Łodzi. Potem jeszcze kilkakrotnie zmieniał miejsce zamieszkania. Pod koniec życia zmagał się z ciężką chorobą. Zmarł w Krakowie w 1970 roku.

Na początku lat 60. ubiegłego wieku rozpoczęto wielką przebudowę Śródmieścia. Wyburzonych zostało wiele kamienic, głównie w rejonie Sienkiewicza i Narutowicza, pod planowany kompleks administracyjno-usługowy, a także w okolicach ulicy Piotrkowskiej, na odcinku od Głównej do Żwirki, gdzie planowano realizację niewielkiego wzorcowego osiedla. W sumie zlikwidowano około 2500 mieszkań. Jednocześnie w czasie obrad komitetu łódzkiego PZPR dyskutowana była zasadność wprowadzenia do Śródmieścia zabudowy wysokiej. Podkreślano wady takiej zabudowy – kosztowność, skomplikowaną realizację i eksploatację. Jako zaletę wskazywano większą gęstość zaludnienia. Ostatecznie uznano, że wieżowce urozmaicą monotonną niską zabudowę i wpłyną dodatnio na wizerunek, dodając miastu „nowoczesności". W kwartale ulic: Piotrkowska, Główna, Kościuszki, Żwirki zaprojektowano sześć jedenastokondygnacyjnych domów, w tym dwa z podziemnymi parkingami, z których windy prowadziły bezpośrednio na wyższe kondygnacje.

U zbiegu ulic Żwirki i Wólczańskiej, w nietypowym budynku o surowej bryle i niejasnym przeznaczeniu, swoją siedzibę ma Archiwum Państwowe. Budynek powstał w 1895 roku, a jego właścicielem był Emil Karol Haebler, który zajmował się produkcją wyrobów z bawełny. Pomiędzy pierwszą a drugą wojną światową w budynku znajdowała się tkalnia wyrobów wełnianych „Purlana", a także zmechanizowana fabryka pończoch. Budynek jako zakład produkcyjny wykorzystywany był do 1978 roku.

Ślad Eiserta

Przy ulicy Żwirki 19 mamy obecnie pusty plac, aż trudno uwierzyć, że w tym miejscu znajdowała się duża fabryka należąca kiedyś do Karola Eiserta. Karol Eisert nie zbudował swojej fabryki od podstaw. Wcześniej w tym miejscu znajdowała się fabryka Judela Bary. Ponieważ jednak została postawiona w stan upadłości, wystawiono ją na sprzedaż. Eisert kupił ją w 1903 roku za 371 tysięcy rubli. Za uzyskaną z Towarzystwa Kredytowego pożyczkę rozbudował i zmodernizował zakład. Wybudował okazałą przędzalnię, nadbudował farbiarnię, kupił również od innego przemysłowca, Prussaka, sąsiadującą działkę. W zakładzie produkowano głównie materiały ubra-

niowe. Realizowano również zamówienia wojskowe. W czasie drugiej wojny światowej normalnie odbywała się tu produkcja. W 1946 roku fabryka została upaństwowiona, a w 1950 roku nadano jej nazwę Norbelana, a jej patronem został Norbert Barlicki. W 1998 roku została ogłoszona upadłość zakładu, a w 2001 roku nieruchomość sprzedano.

Karol Eisert był również ziemianinem, nabywał majątki ziemskie często po to, aby je potem odsprzedać osiągając duże zyski. Udzielał się jako społecznik i filantrop. Przyczynił się między innymi do powstania szpitala dla nerwowo chorych w Kochanówce i Domu Miłosierdzia „Diakonis", opłacał również naukę siedemdziesięciu łódzkich uczniów. Dał się też poznać jako miłośnik sztuki. Szczególnie duże środki przeznaczał na zakup dzieł malarstwa. Często zwracano się do niego przy okazji organizowania różnego rodzaju wystaw z prośbą o wypożyczenie prac znajdujących się w jego kolekcji. Przed śmiercią Eisert przekazał w testamencie wszystkie swoje zbiory powstałemu w Łodzi Muzeum Sztuki. Zmarł w 1938 roku.

Na skrzyżowaniu Żwirki z Gdańską zaczyna się kompleks budynków Politechniki Łódzkiej. Początki starań o to, aby w naszym mieście powstała wyższa uczelnia politechniczna, sięgają jeszcze połowy XIX wieku. W 1864 roku podjęta została decyzja o powołaniu Instytutu Politechnicznego, miał on mieścić się w części obecnego parku im. H. Sienkiewicza. Prace nad tworzeniem placówki były daleko zaawansowane, niestety w ostatnim momencie władze carskie wycofały się z projektu i nie wydały zgody na powstanie Instytutu. Później już nie było takiej okazji, na przeszkodzie zawsze stawał brak odpowiednich środków. Dopiero po zakończeniu drugiej wojny światowej powołano do życia zarówno Uniwersytet Łódzki, jak i Politechnikę Łódzką. Początkowo miała to być filia Politechniki Warszawskiej, ostatecznie zdecydowano się na powołanie samodzielnej uczelni. Pierwszym rektorem został prof. Bohdan

Stefanowski. W sumie, na uczelnię przyjęto wtedy ponad 1000 studentów, z tego na pierwszy rok 525 z 700, którzy się zgłosili. Rekrutacja, a także inauguracja roku akademickiego miała miejsce w szkole przy Żeromskiego 115. Widać ówczesnym władzom bardzo zależało na szybkim uruchomieniu uczelni, gdyż jeszcze w styczniu Łódź znajdowała się pod niemiecką okupacją, a już w maju ukazał się dekret powołujący łódzkie uczelnie. Jeszcze przed ukazaniem się dekretu, w kwietniu, przydzielono Politechnice tereny na jej przyszłe potrzeby. Była to siedmiohektarowa działka pomiędzy ulicami Żwirki, Gdańską, Radwańską i Żeromskiego. Na terenie tym znajdowały się zabudowania fabryki Szai Rosenblatta. Po zakończeniu działań wojennych wojska radzieckie miały tam swoje magazyny. We wrześniu uzgodniono, że teren zostanie przez żołnierzy opuszczony i przekazany uczelni. Rektor Stefanowski niezwłocznie powołał komitet przebudowy, który miał ocenić przydatność poszczególnych budynków fabrycznych dla Politechniki i zainicjować prace adaptacyjne. Pod koniec roku, w grudniu, rozpoczęła się przebudowa. Prace rozpoczęto od gmachu głównego. W tamtym okresie studenci mieli zajęcia w ogromnych pofabrycznych halach, które dopiero były adaptowane na sale wykładowe.

Ślad Rosenblatta

Szaja Rosenblatt swoją pierwszą przędzalnię uruchomił przy Piotrkowskiej 65. Rozbudowywał ją w kierunku Promenady (obecnie al. Kościuszki). Gęstniejąca śródmiejska zabudowa uniemożliwiała mu dalsze powiększanie zakładów, z tego powodu postanowił przenieść produkcję na ulicę Karola (obecnie Żwirki). W 1873 roku wybudował pierwsze obiekty, następnie rozbudowywał fabrykę w kierunku Radwańskiej. Powstała tkalnia, przędzalnia, bielnik, farbiarnia. Przejął również przędzalnię Trillinga i Izydora Datinerów. O tym, w jak bezwzględny sposób Rosenblatt zdobywał swój majątek, świadczą raporty inspektora fabrycznego Iwana Masłowa, w których stwierdził on rażące naruszenie praw w fabryce Rosenblatta. Głównie chodziło o zatrudnianie dzieci poniżej 10 roku życia. Mało tego, musiały one pracować nawet po 14 godzin na dobę. Doszło do rozprawy sądowej, na której przeciwko Masłowowi wystąpili solidarnie nie tylko inni fabrykanci, ale również przedstawiciele administracji carskiej. Sprawa zakończyła się tragicznie, atakowany i zastraszany inspektor Masłow popełnił bowiem samobójstwo. Bezwzględność Rosenbatta nie przeszkadzała mu we wspieraniu akcji filantropijnych i organizacji społecznych, szczególnie Łódzkiego Żydowskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Pierwsza wojna światowa spowodowała duże zniszczenia w firmie. Jednak wkrótce fabryka zdołała się podnieść i ruszyć z produkcją. W czasie drugiej wojny zakłady produkowały głównie na potrzeby hitlerowców. Niemcy urządzili tu również obóz jeniecki. Rosenblatt, pomimo że zatrudnienie w jego fabryce było jednym z największych w Łodzi, nie poszedł śladem Scheiblera, Poznańskiego czy Heinzla i nie wybudował dla swoich robotników nawet jednego mieszkania. W czerpaniu maksy-

malnych zysków z fabryki posunął się także do fałszowania jakości towarów, co znalazło swoje odbicie w określeniu „siajowe" – tak od imienia Szai Rosenblatta określano towar podłej jakości. Szaja Rosenblatt zmarł w 1921 roku. Od tego czasu zaczął się powolny upadek jego fabryki, aż do ogłoszenia oficjalnej upadłości, co nastąpiło tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Dariusz Kędzierski
– publicysta, filmowiec

Bibliografia:

1. Bonisławski R., Podolska J., *Spacerownik łódzki*, Biblioteka Gazety Wyborczej, Łódź 2008.
2. Gryglewski P., Wróbel R., Ucińska A., *Łódzkie Budynki 1945-70*, Dom Wydawniczy Księży Młyn, Łódź 2009.
3. Kowalski W., *Leksykon łódzkich fabryk*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 1999.
4. „Kronika Miasta Łodzi", nr 3/2008 i nr 3/2010.
5. Rynkowska A., *Ulica Piotrkowska*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970.
6. Skrzydło L., *Rody fabrykanckie*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1999.
7. http://porady.domiporta.pl/poradnik/1,127301,6157937,Barbarzynstwo_na_zabytku.html
8. http://www.polskaniezwykla.pl/web/place/35803,lodz-budynek-dawnej-przedzalni-bawelny-emila-haeblera.html

Fot. Barbara Gortat

Ulice kapitana pilota Franciszka Żwirki i pilota Stanisława Wigury

ul. Wigury 21

Siedziba banku, ul. Wigury 21

Siedziba Prokuratury Okręgowej przy ul. Kilińskiego w Łodzi, zamykająca ul. Wigury

Szpital św. Rodziny, ul. Wigury 19

Siedziba Archiwum Państwowego
w Łodzi, widok z ul. Wólczańskiej

ul. Wigury 16

ul. Żwirki 3, skrzyżowanie z al. Kościuszki

ul. Wigury 14

Siedziba PTTK, ul. Wigury 12a

Kamienica u zbiegu ulic Piotrkowskiej i Wigury (Piotrkowska 193)

Modernistyczna kamienica u zbiegu ulic Piotrkowskiej i Wigury (Piotrkowska 196)

Restauracja Revelo, ul. Wigury 4/6

Kampus Politechniki Łódzkiej, ul. Żwirki 36

ul. Wigury 26

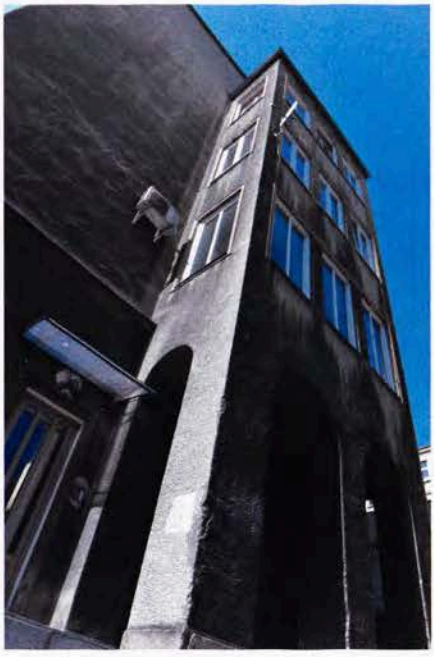

ul. Piotrkowska 196

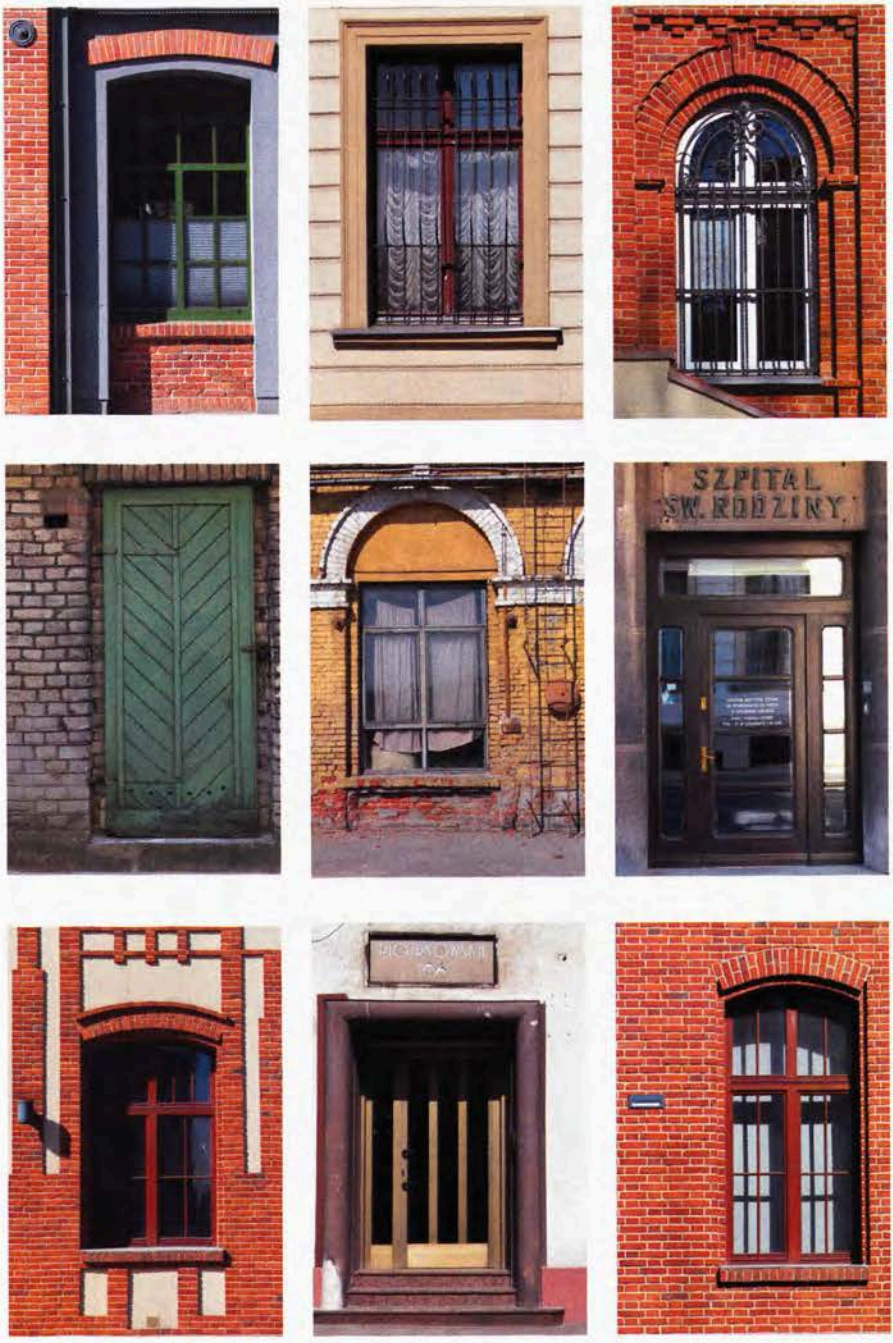

Detale architektoniczne ul. Wigury

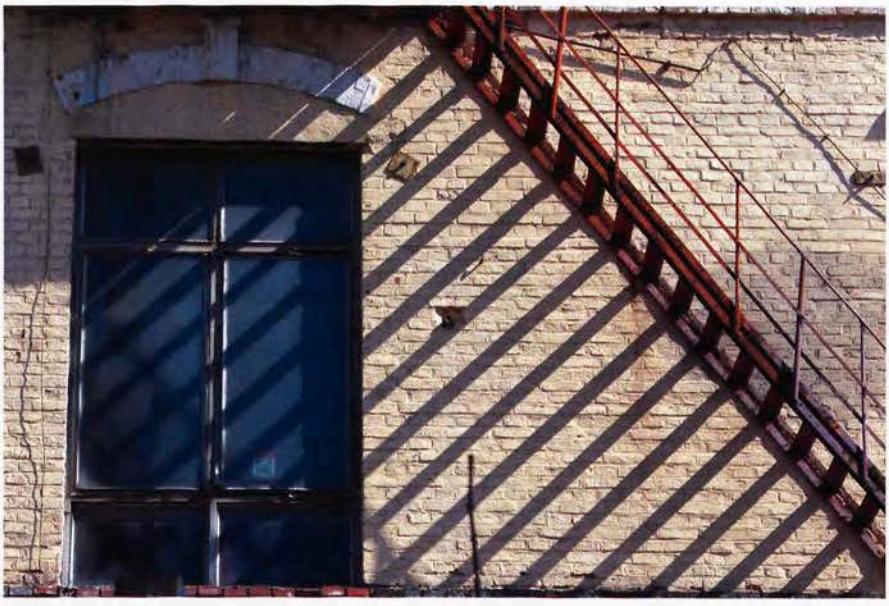

ul. Wigury 21

ul. Żwirki 1d

fot. Barbara Gortat

łodzianie

Jerzy Szczęsny (1945-2014)
Ostatni z Marca '68
Józef Śreniowski
str. 137

Eugeniusz Hanemann (1917-2014)
Klasyk prawdziwej fotografii
Barbara Gortat
str. 140

Jerzy Szczęsny (1945-2014)

Ostatni z Marca '68

Rankiem 19 marca odszedł z naszego grona Jerzy Szczęsny. Równo 45 lat po swoim przemówieniu na wiecu 19 marca 1968 roku przed Biblioteką Uniwersytecką w Łodzi. Za ten Marzec i swoją przywódczą rolę płacił całym życiem, ale tamtego czasu nigdy nie żałował. Powiadał nieraz, że to była klarownie czysta sytuacja, bez polityki i kompromisów między dobrem a złem. Poznaliśmy się trochę wcześniej, bo Jurka pełno było w Łodzi nie tylko na prawie, które studiował u prof. Jerzego Wróblewskiego, ale także w dyskusjach w rozproszonym gronie Ruchu Młodych Demokratów Karola Głogowskiego, w Stowarzyszeniu Przyjaciół ONZ, na seminariach prof. Iji Lazari-Pawłowskiej czy doc. Stefana Amsterdamskiego i w wielu innych gremiach (np. w Polskim Towarzystwie Cybernetycznym). Szczęsny kończył prawo, zaczął też studia filozoficzne, a nam na socjologii towarzyszył od kilku lat w roli wolnego słuchacza. Na prawie w UŁ wybrał dwóch różnych mistrzów, wspomnianego prof. Jerzego Wróblewskiego (teoria państwa i prawa) oraz prof. Zygmunta Izdebskiego (prawo państwowe – prawo konstytucyjne).

Wspominając dziś Jerzego Szczęsnego, powinniśmy mówić trochę inaczej, niż gdy się ma na myśli pojedynczą osobę czy pojedynczego bohatera. Bo tę postać określił Marzec '68. Łódzki Marzec. Zupełnie inny niż „komandoski świat przedstawiony" warszawskiego marca pamiętnego 1968 roku. Tamten, paradoksalnie wykreowany na łamach „Trybuny Ludu", organu KC rządzącej niepodzielnie partii, został przez naszych kolegów podchwycony i przejęty. Ich kreował na sprawców i przywódców studenckiego sprzeciwu. A nasz łódzki – ale także wrocławski, gdański czy krakowski – był zupełnie inny i nie przewodzili nam żadni lokalni „komandosi", niemający tu odpowiednika.

Bo ani Jerzy Szczęsny, Brunon Kapala, Andrzej Makatrewicz, Tadeusz Walendowski, ani liderzy poszczególnych wydziałów czy uczelni, starsi koledzy czy profesorowie, którzy sympatyzowali czy poparli sprzeciw młodzieży, nie mieli nic wspól-

Jerzy Szczęsny (1945-2014)
fot. z achiwum Józefa Śreniowskiego

nego z formacją „komandosów". Studencki sprzeciw w pozawarszawskich ośrodkach był raczej moralnym sprzeciwem natury przedpolitycznej. Jerzy Szczęsny rósł w tych krótkich dniach polskiego przedwiośnia na lidera, który podjął się artykulacji tego protestu, stawiając pierwsze polityczne postulaty. Narzucił nam sformułowania, przyjęte na wiecach, że możemy akceptować taki socjalizm (zwrot wówczas powtarzany jak mantra), w którym żadna siła nie ma monopolu na prawdę. I postulat studenckiej niezależnej od partii organizacji z własną reprezentacją środowisk młodzieży akademickiej w Sejmie PRL. Były to oryginalne i pionierskie postulaty poza oczywistymi racjami solidarności z pobitymi w ramach dialogu władzy z młodzieżą kolegami z dziedzińca UW albo równie oczywistymi niepokojami w związku z usunięciem dramatu Mickiewicza ze sceny Teatru Narodowego. Mówiliśmy również – ale to nie tylko my w Łodzi – o naszym sprzeciwie wobec zasady odpowiedzialności zbiorowej, tłumienia demokratycznych swobód czy wznawiania optyki walki klas tym razem zmieszanej w partyjnej nagonce z wariantem walki ras. Deklarowaliśmy obywatelską odmowę udziału w takich praktykach. Upominaliśmy się o poszanowanie zasady autonomii uczelni wyższych, czyniąc to tak, jakbyśmy żyli w demokracji z epoki przedleninowskiej. Do wybicia na pierwszy plan takich aspiracji w naszych wiecowych rezolucjach największy wkład wnieśli w nocnych naradach, na których stanowisko swe dyskutowaliśmy, przede wszystkim Jerzy Szczęsny, Tadeusz Walendowski i Andrzej Makatrewicz (dwaj prawnicy i jeden socjolog).

Po latach wspólnie z Jerzym gotowi byliśmy wieść boje o interpretację najnowszej historii, odrzucając komandoski paradygmat zawłaszczenia Marca '68 przez Warszawę i pojedyncze, rozpolitykowane wcześnie środowisko. Tu warto wskazać na słabość łódzkiego ośrodka historycznego sprawiającą, że ani badania, ani żadna praca na temat tych wydarzeń w Łodzi nie powstała, w odróżnieniu od książek Włodzimierza Sulei (Marzec wrocławski) czy Marka Andrzejewskiego (Marzec trójmiejski). A hagiografowie polegają na opisie opublikowanym wkrótce po wydarzeniach przez zmuszoną do emigracji dziennikarkę Alinę Grabowską, obserwującą zjawiska z redakcji „Głosu Robotniczego", organu KŁ i KW PZPR i niebiorącą w nich udziału. Co najwyżej widzącą z okien redakcji tłum studencki 19 marca w przemarszu spod Politechniki Łódzkiej pod Bibliotekę Uniwersytecką, palący egzemplarze tegoż „Głosu Robotniczego" przed gmachem łódzkiej prasy i skandujący: „Prasa kłamie!".

Wspominając Jerzego Szczęsnego, trzeba przyznać rację jego intuicji, kiedy powtarzał, że te różne Marce w Polsce B lepiej oddają nastroje kraju z końcem panowania ekipy Władysława Gomułki niż utarta opinia, że Marzec działo się tylko w Warszawie, a małych ośrodków w Polsce oraz młodzieży robotniczej nie objął.

W wir zdarzeń weszliśmy na Uniwersytecie Łódzkim w poniedziałek 11 marca 1968 roku i na tym pierwszym, kameralnym wiecu wybraliśmy Jerzego Szczęsnego, Andrzeja Makatrewicza (obaj prawnicy) i Brunona Kapalę (matematyk) jako naszych głównych delegatów. Wśród nich stale obecny był też Tadeusz Walendowski, wówczas stażysta w PAN. Po strajku w łódzkich uczelniach 20-22 marca Jerzy

Szczęsny został karnie powołany na obóz wojskowy w Żaganiu, aby stamtąd trafić wprost do aresztu SB przy Sienkiewicza w Łodzi i na salę sądową. Dostał półtora roku więzienia za przywództwo studenckiego buntu. Z prokuratorem Czesławem Zalewskim, który go oskarżał latem 1968 roku, doszło na sali rozpraw Sądu Wojewódzkiego w Łodzi do znamiennego dialogu. Prokurator: „Oskarżony Szczęsny stawia sprawę tak, jakby prokuratura objęta była aktem oskarżenia [za wydarzenia marcowe]". Jerzy Szczęsny: „To prawdziwy zaszczyt móc się wyjątkowo zgadzać ze zdaniem pana prokuratura, kto tu jest winien [władza], a kto doświadcza krzywdy".

Inni relegowani z uczelni studenci znaleźli się w sytuacji relatywnie lepszej od niego, bo Jerzy miał już absolutorium i po powrocie na wolność w wyniku amnestii z 1969 roku nie mógł w żadnej uczelni przedstawić pracy magisterskiej. UŁ traktował zaś jego sprawę jako definitywnie zamkniętą, skoro student ukończył studia jeszcze przed marcem1968 roku. Po wielu bezowocnych próbach podejmowanych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i na kilku innych uczelniach wreszcie Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej zgodził się na zrobienie przez Szczęsnego magisterium na tamtejszym wydziale prawa. O pracy akademickiej nie mogło być mowy nawet w dobie „gierkowskiej odwilży" i Jurek wziął się za publicystykę w wydawnictwach PAX, później spędził szereg lat w „Ładzie", a na koniec w „Tygodniku Solidarność", „Rzeczpospolitej" oraz „Arcanach". Był członkiem „Solidarności", a w stanie wojennym wspierał czynem i piórem szereg pism niezależnych, jak „Słowo Podziemne", PWA i inne tytuły. Bibliografia Biblioteki Narodowej mylnie podaje, że wchodził w skład redakcji wydawanego przez Biuro Studiów MSW pisma „Bez dekretu", udającego druk podziemny w wolnym obiegu. W latach 80. znalazł się też przez pewien czas w RFN, gdzie z Maciejem Rybińskim współtworzył pismo satyryczne.

Trzeba widzieć w Jurku prawnika, publicystę prawnego, dziennikarza i sportowca. W ostatnim dziesięcioleciu coraz więcej oddawał się sportom konnym. Jeszcze minionej jesieni, w 2013 roku, wybrał się konno do Tokaju na Węgrzech, a wszyscy pamiętamy pożegnanie Brunona Kapali w Łodzi, gdzie Jerzy dotarł w ostatniej chwili na cmentarz w bryczesach i butach do konnej jazdy, nie zdążywszy się przebrać z długiej podróży. Ale przyjaciela zdołał w tym malowniczym stroju pożegnać. Zachowałem nagranie przemówienia Jerzego nad otwartym grobem przyjaciela.

Ostatnie lata pracował w Trybunale Konstytucyjnym, ale – jak świadczyły teksty w „Rzeczpospolitej" oraz ostatnio w „Arcanach" – znalazł tam dobre obserwatorium życia publicznego w naszym regionie Europy i o tym właśnie głośno i odważnie się wypowiadał. O tranzycji i ułudzie ładu prawnego, który po totalitaryzmie niełatwo wstaje z ruin. Jak powiadał na koniec Jerzy: „poznaliśmy dwa faszyzmy – brunatny i czerwony. Może takie same albo całkiem podobne wzajem. Tylko że ten pierwszy nie kazał (nam) się kochać". Lubił takie paradoksy w spostrzeżeniach.

Z grupy przywódczej łódzkiego Marca – po śmierci Makatrewicza, Walendowskiego i Kapali – Jurek odszedł jako ostatni.

Józef Śreniowski

Eugeniusz Haneman (1917-2014)

Klasyk prawdziwej fotografii

Pierwszą jego miłością było lotnictwo. Ostatnim łódzkim adresem Retkinia. Pod sufitem starannie sklejone i własnoręcznie malowane dziesiątki modeli samolotów. Wiele tych, które brały udział w bitwach powietrznych drugiej wojny światowej. Przepastna biblioteka. Niezliczona ilość negatywów, przezroczy, sprzętów fotograficznych, zdjęć. Kawalerskie królestwo. Nad łóżkiem portret matki. Nadmorska bryza rozwiewa ukryte pod chustką włosy kobiety. I pejzaż.

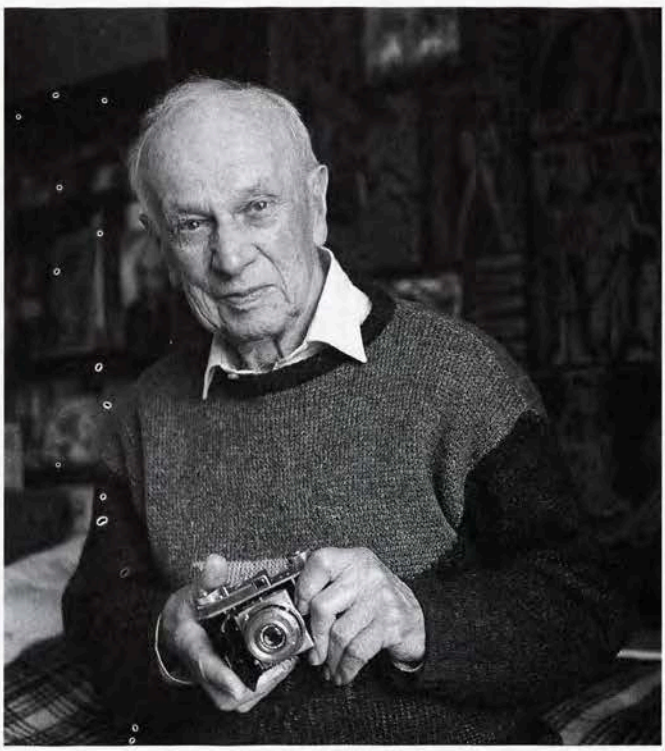

Urodził się 14 kwietnia 1917 roku w Warszawie. Jedynak, wychowywany przez matkę nauczycielkę. Ojciec, naukowiec z Uniwersytetu Warszawskiego, był obecny w domu tylko w pierwszych latach życia Eugeniusza. Stałe materialne wsparcie ze strony ojca i dobra posada matki pozwoliły na edukowanie syna w stołecznym prywatnym gimnazjum im. Mikołaja Reja. Potem była nauka w Szkole Poligraficzno-Fotograficznej. Wtedy też rozpoczęły się krajoznawcze rowerowe eskapady, próby uchwycenia fotoaparatem bezkresu morskiego horyzontu, podhalańskich grani, zaolziańskich plenerów.

Po raz pierwszy ze sprzętem fotograficznym Haneman miał okazję zetknąć się w domu rodzinnym w wieku pięciu lat. Własny aparat fotograficzny, niemiecki automat na 12 klisz szklanych, otrzymał jeszcze w szkole powszechnej. W wieku 17 lat posiadał już aparat zwojowy 6 x 9 Zeissa. Z tego okresu pochodzi także najstarsze zachowane zdjęcie Hanemana – *Łodzie rybackie*. Dwa lata później otrzymał od ojca małoobrazkowy 3 x 4 Rhaco.

Inspiracje

Po pierwszych, amatorskich doświadczeniami w fotografowaniu Haneman profesjonalnych szlifów nabierał w szkole fotograficznej pod okiem takich sław jak inż. Marian Dederko, współzałożyciel Polskiego Związku Artystów Fotografików (legitymacja nr 3), czy Jan Alojzy Neuman, specjalista w zakresie fotomontażu. Nauczycieli pozostających pod silnym wpływem Jana Bułhaka (kilka jego fotogramów można oglądać w łódzkim Muzeum Sztuki ms2 na wystawie *Atlas nowoczesności*). Mimo pozostawania w przesyconej piktorializmem atmosferze fascynacja Hanemana fotografią Bułhaka dotyczyła głównie prezentowanej przez niego percepcji pejzażu. Haneman mocnej in-

gerencji w obrazy dokonywał czysto warsztatowo, w ramach poznawania kolejnych technik fotograficznych. Do uzyskiwania malarskich, pełnych nastroju obrazów służyły mu przede wszystkim specjalnie dobierane miękko rysujące obiektywy i nasadkowe soczewki zmiękczające. Jako uczeń liceum z pasją fotografował pejzaże, które w dalszej drodze artystycznej pozostały głównym punktem zainteresowań twórcy. Początkowo przeważały przestrzenie nadmorskie i górskie. Z biegiem lat coraz częściej utrwalał pejzaże miast. Jako uczeń liceum z pasją fotografował pejzaże, które w dalszej drodze artystycznej pozostały głównym punktem zainteresowań twórcy.Początkowo przeważały przestrzenie nadmorskie i górskie. Z biegiem lat coraz częściej utrwalał pejzaże miast.

Kronikarz Powstania

Pierwszą pracę, już jako profesjonalista, podjął w zakładzie fotograficznym Portret przy kawie przy ul. Foksal w Warszawie. Portretowało tam dwóch artystów: Haneman uwieczniał twarze na kliszach fotograficznych, artysta malarz tworzył portrety olejne. Potem jego pracownią stało się ekskluzywne atelier Van Dyck, ulokowane u zbiegu alei Jerozolimskich i ulicy Brackiej, w którym powstały malownicze portrety ówczesnych gwiazd czy eleganckich dam Warszawy. Portrety utrzymane w stylistyce lat 30. – miękko malowane światłem, pełne poetyki, wspierane często akcesoriami teatralnymi dostępnymi w atelier. W przygotowaniu do zdjęcia wspierał fotografa aktor komediowy Henryk Małkowski, którego zadaniem było m.in. wykonywanie makijażu. W zakładzie Van Dyck Haneman pracował podczas okupacji aż do 1944 roku, kiedy zaskoczyło go Powstanie Warszawskie i stracił cały sprzęt. Wspominał:

> Pierwsze kilka dni Powstania były dla mnie przygnębiające, gdyż byłem odcięty od wszelkich informacji i ludzi, mogących pokierować moimi dalszymi krokami. [...] udało mi się wkrótce skontaktować z ludźmi, którzy mogli mnie dalej skierować do komórki Delegatury Rządu na kraj, a ta skontaktowała mnie ze znanym kupcem fotograficznym – Kazimierzem Gregerem i reporterem, znanym fotografem – Sylwestrem Braunem.

Tą drogą Haneman i Braun zostali fotoreporterami Delegatury Rządu oraz Biura Informacji i Propagandy AK. Pracował pożyczonym aparatem i na materiałach uzyskiwanych od Kazimierza Gregera, właściciela składu z aparatami i materiałami fotograficznymi. Jego zadaniem było przygotowanie co kilka dni serwisu ilustrującego przebieg walk powstańczych.

> Trzeba bowiem wiedzieć – wspominał – że ludność Warszawy prawie w całości siedziała w piwnicach i schronach pod swoimi domami [...] wielokrotnie żyjąca nieprawdziwymi wiadomościami, potęgowanymi grozą nieustannych wybuchów [...] pocisków i bomb. Nie tylko prasa codzienna, która dochodziła do wszystkich piwnic, podnosić miała na duchu i informować o sukcesach, trzeba było te wiadomości uzupełniać także zdjęciami, co było nawet środkiem celniejszym od barwnych nieraz opisów, a często przesadzonych. W tym konkretnym wypadku – zdjęcie nie kłamało... Sam fakt, że byli ludzie, którzy nie wal-

czyli z bronią w ręku, ale narażając własne życie, poruszali się po ogromnym obszarze walczącego miasta, aby pokazać innym, że to miasto żyje, i aby przekazać, może potomnym, co przeżywało, już wpłynął uspokajająco na tych wątpiących, modlących i płaczących w piwnicach.

Ocalało około 170 zdjęć z pierwszego okresu Powstania. Mimo ukrycia dużej liczby negatywów z września'44, dotychczas ich nie odnaleziono. Wykonana przez Hanemana fotografia powstańca w ruinach kościoła św. Krzyża przeszła już do historii fotografii. Stała się symbolem walki powstańczej, a niemal każde wydanie poświęcone temu wydarzeniu zawiera jej reprodukcję. Mimo że w całej jego twórczości fotograficznej reportaże z walk podziemia stanowiły zaledwie epizod, twórca jest często określany mianem „fotografa powstania warszawskiego". Sam Haneman podkreślał – jak wspomina Sławomir Grzanek – że nie był samozwańczym, typowym fotoreporterem powstania: „Miał narzucony temat, sposób fotografowania, z którego się wywiązywał. Wielu zdjęć nie wykonał, uznając, że pewnych motywów nie wypada utrwalać". Dramat człowieka, brutalne sceny walki pozostawały poza zainteresowaniem fotografa. Jego zdjęcia służyć miały niesieniu nadziei, „pokrzepieniu serc" głównie ludności cywilnej. I takie w charakterze pozostały.

Po Powstaniu Haneman dostał się do obozu w Pruszkowie, ale w styczniu 1945 roku był już w stolicy. Z tego okresu pochodzi także szereg zdjęć doku-

mentujących widok zburzonej Warszawy. Za namową filmowca Antoniego Bohdziewicza podjął współpracę z łódzką Wytwórnią Filmową Wojska Polskiego. Pierwszym jego dziełem jako operatora, przy którym pracował jako asystent Stanisława Rodowicza, był obraz traktujący o powojennych sierotach i półsierotach *Gdzie jest nasz dom?* Cenzura nie zezwoliła jednak na jego upowszechnienie. Potem trafił do Polskiej Kroniki Filmowej. Jednocześnie prowadził zajęcia z fotografii w krakowskim Warsztacie Filmowym Młodych. Jego studentami i absolwentami pierwszego rocznego Kursu Przysposobienia Filmowego były takie postaci jak Jerzy Kawalerowicz, Wojciech Jerzy Has, Mieczysław Jahoda czy Tadeusz Makarczyński. W tym okresie realizował też zdjęcia do filmu *Wieliczka* Jarosława Brzozowskiego – pierwszego polskiego filmu nagrodzonego w Cannes.

Powrót do Łodzi

Jesienią 1946 roku wrócił do Łodzi i do pracy operatora w tej samej wojskowej wytwórni przy filmach dokumentalnych i oświatowych. Z końcem 1947 roku podjął wartościową współpracę z pionierem polskiego filmu kukiełkowego Zenonem Wasilewskim. W ramach tej współpracy Haneman zajmował się także montażem i udźwiękowianiem filmów. W tym samym roku został przyjęty w poczet członków Związku Polskich Artystów Fotografików – z legitymacją nr 25. Pięć lat później stał się jednym ze współzałożycieli łódzkiej Delegatury Okręgowej ZPAF, obok m.in. Ireny Strzemiecznej, Ignacego Płażewskiego i Aleksandra Zakrzewskiego.

W latach 1949-1953 związał się z łódzką Wytwórnią Filmów Oświatowych, pracując głównie przy realizacjach przyrodniczych i instruktażowych. Epizodycznie także realizował zdjęcia dla łódzkiej telewizji, obrazując codzienne życie miasta.

Szkoła Filmowa

Wrzesień 1953 roku otwiera nowy rozdział w pedagogicznej karierze Hanemana. Podejmuje się kształcenia studentów w ówczesnej Państwowej Wyższej Szkole Filmowej. Wykłada przedmiot FOTOGRAFIA Z ELEMENTAMI ĆWICZEŃ na wydziale reżyserii oraz produkcji filmowej. W 1980 roku tak opisywał swoją pracę:

> Studentów wydziałów reżyserii i kierowania produkcją uczę fotografii, kładąc szczególny nacisk na opanowanie warsztatu. Przecież głównym zadaniem reżysera jest wypowiadanie się za pomocą obrazu. Musi więc rzetelnie poznać tajniki fotograficznego przekazu. Staram się więc, by przede wszystkim wykazali się umiejętnościami podstawowymi: komponowaniem, utrwalaniem i wywoływaniem kadru. Na sztukę przyjdzie czas i już sami będą szukać swoich w niej dróg. Szkoda tylko, że tak niewiele czasu uczelnia pozostawia na uczenie umiejętności fotografowania. Są to zajęcia wyłącznie na pierwszym roku. A przecież myślenie obrazami to sprawa dla twórców filmowych pierwszej wagi.

Studenci widzieli w nim prawdziwego pedagoga. Reżyser Henryk Kluba, uczestnik wykładów Hanemana, tak opisywał metodykę profesora:

> Jego stosunek do studenta był trochę kpiarski, trochę niejednoznaczny, ale zawsze sympatyczny. Forma rozmowy, jaką z nami prowadził, była pełna zaplanowanych niedomówień, zaciemnień, które pobudzały naszą twórczą wyobraźnię [...] jego olbrzymią wiedzą i fachowością. Jednak wiedzą tą nie przytłaczał studentów, nie wpędzał ich w kompleksy, była to wiedza przekazywana dyskretnie, ale celnie, zwięźle, na zasadzie sygnałów, impulsów.

Zajęcia w Szkole Filmowej Haneman prowadził aż do 2005 roku. Wykształcił kilka pokoleń polskich filmowców.

Łódzkie środowisko fotograficzne

W okresie, w którym Haneman rozpoczął łódzki etap życia, lokalne środowisko fotograficzne było już zjednoczone wokół ówczesnego Polskiego Towarzystwa Fotograficznego. Dziś to Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne. Sam artysta oficjalnie dołączył do niego w 1951 roku, a więc na krótko przed powołaniem łódzkiego oddziału ZPAF. Nie był jedynym fotografikiem, który wspierał struktury obu tych organizacji, ale jego zaangażowanie było mocnym łącznikiem pomiędzy tymi środowiskami. Dodatkowo praca w Szkole Filmowej czyniła go wszechobecnym w fotograficznych środowiskach Łodzi.

Portret wykonany w pracowni van Dyck, 1944 r. | **str. 7**

Działalność Eugeniusza Hanemana w Łódzkim Towarzystwie Fotograficznym opisywał obecny prezes Sławomir Grzanek:

> Od kiedy pamiętam, zasiadał z ówczesnym prezesem Zbyszko Rzeźniackim w komisji artystycznej, której decyzją przyjmowano nowych członków Towarzystwa. Oceniał też prace w ramach konkursu miesiąca – pierwotnie skierowanego wyłącznie do członków organizacji. Oceniał prace rzeczowo, konstruktywnie, argumentując słowo krytyczne. Nasz nestor, jak jest określany w ŁTF-ie, uczestniczył więc w życiu ośrodka przez ponad pół wieku.

Z biegiem lat, a i za sprawą postępującej degradacji wzroku, ustępował pola innym.

Wzór skromności

Jeszcze w 2013 roku, przygotowując swoją wiosenną wystawę w ŁTF-ie, pieczołowicie dobierał fotogramy. Mimo niekwestionowanych dokonań i artystycznej pasji był wzorem skromności. Sławomir Grzanek wspomina jego bezpośrednie zaangażowanie w każdą z wystaw, podkreślając przymioty człowieka, który oparł się jakimkolwiek artystowskim manierom. W opinii Zofii Dwornik Haneman jeszcze w okresie krakowskim „był człowiekiem niezwykle spokojnym, cichym i zapracowanym [...] nieszukającym rozgłosu i sławy; taki «niefilmowy» człowiek". Edward Zajićek widział w postawie fotografa „szlachetność, dobroć i absolutną skromność". Prof. Janusz Hereźniak jako źródło niezłomności zasad Hanemana wskazywał na jego przynależność do Kościoła ewangelicko-augsburskiego, którego naukom Haneman był wierny. „Zastanawialiśmy się, czym jeszcze można zaakcentować jego wkład w działalność ŁTF – wspominają Sławomir Grzanek i Piotr Kuczyński – gdy pojawiła się idea nadania galerii ŁTF jego imienia. – Nie było to *fair play* w stosunku do zasad, ale w stosunku do człowieka można to rozgrzeszyć. Haneman, zawsze pomocny, zawsze obecny, reprezentował fotografię klasyczną w najlepszym tego słowa znaczeniu" – uważa prof. Janusz Hereźniak, wieloletni członek ZPAF.

Idea została urzeczywistniona. Dwa dni przed 95 urodzinami sędziwego artysty, 12 kwietnia 2012 roku, miała miejsce uroczystość nadania imienia Eugeniusza Hanemana Galerii Fotografii ŁTF. Uczestniczyło w niej wielu przyjaciół, kolegów, współpracowników fotografa, który wydawał się wielce wzruszony nobilitacją.

Łódzka rodzina

Haneman jeszcze do 2013 roku mieszkał samodzielnie w Łodzi. Mimo pogarszającego się stanu zdrowia i postępujących problemów ze wzrokiem. Dopiero ograniczona możliwość samodzielnego poruszania się sprawiła, że przeniósł się do rodziny pod Warszawą. Jeszcze w Łodzi wspierali jego codzienność przyjaciele. Marek Kordziński wraz z żoną, mimo różnicy pokoleniowej, która ich dzieliła, przejęli tą przyjaźń z Hanema-

nem po rodzicach artystach – malarce i fotografie. Odbyli wspólnie wiele podróży po Polsce i Europie, przemierzając świat w poszukiwaniu twórczych inspiracji.

W latach 1958-1990 lubił spędzać wolny czas w bibliotece Filmówki, gdzie za sprawą Marii Kossakowskiej-Galewicz, bibliotekarki o szerokich zainteresowaniach artystycznych, zawiązał się przyjacielsko-dyskusyjny krąg, który wspierała też nieodżałowana prof. Maria Kornatowska. Obecny kierownik biblioteki Jarosław Czembrowski z sentymentem wspomina, że mimo przepastnej różnicy wieku w znajomości z Hanemanem nie było miejsca na dystans. Biblioteka, obok siedziby ŁTF-u przy Piotrkowskiej 102, była dla niego stałym przystankiem w codziennych łódzkich wędrówkach.

* * *

Uczestnik licznych fotograficznych plenerów, kilkuset wystaw zbiorowych, laureat licznych nagród, medali i wyróżnień, a nade wszystko autor zdjęć, które stały się symbolami, zmarł 15 stycznia 2014 roku. Obrazy fotograficzne, które utrwalił swoim talentem i pracowitością, dały mu legitymację nieśmiertelności.

Barbara Gortat

Za podzielenie się wspomnieniami dziękuję państwu Zofii i Markowi Korczakom-Idzińskim, pani Agacie Chróścickiej, prof. Januszowi Hereźniakowi oraz panom Sławomirowi Grzankowi, Piotrowi Kuczyńskiemu i Jarosławowi Czembrowskiemu.

Powstaniec w ruinach Kościoła św. Krzyża, 1944 r. | **str. 9**

recenzje

Człowiek z epoki więzień
Rżewski jako fascynacja
Gustaw Romanowski
str. 151

Łódź śladami ludzi i zdarzeń
Reportaże z lat 1960-2010
Marcin Kieruzel
str. 155

Architektura okupowanej Łodzi
Krzysztof Stefański
str. 160

Najdłuższe pół wieku – 1939-1989
„Ale to już było..."
Zdzisław Szczepaniak
str. 166

Nowa książka łódzkiej radnej
Kobiety w życiu publicznym
Anna Kuźmicka
str. 170

Warszyc – wyklęty bohater
Ginąc dla idei
Gustaw Romanowski
str. 173

Człowiek z epoki więzień

Rżewski jako fascynacja

Spośród postaci, które dla budowy Łodzi obywatelskiej, Łodzi otwartej na potrzeby jej mieszkańców, Łodzi – miasta chronicznie niedocenianego, a przecież wartego wydobycia z biedy, zaniedbania i wyzysku zrobiły wiele, Alojzy Rżewski zajmuje miejsce szczególne. Ten socjalista, działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, bojowiec, uczestnik Rewolucji 1905 roku, wielokrotnie aresztowany i więziony, zsyłany na Syberię i zmuszony do ucieczek, jest przykładem hartu i wytrwałości w osiąganiu celów społecznych, dalekich od jakiegokolwiek interesu własnego. I przykładem niezaślepionego nacjonalizmem patrioty umiejącego walczyć o interes narodowy tak, aby mógł się on stawać dobrem wszystkich mieszkańców, bez względu na ich etniczne pochodzenie. To dzięki Rżewskiemu Łódź w 1919 roku jako pierwsza w Polsce wprowadziła powszechny obowiązek nauczania na poziomie szkoły podstawowej. A była to decyzja pierwszego prezydenta wolnej Łodzi wybranego demokratycznie w 1919 roku.

Postacią Rżewskiego zafascynował się Zdzisław Szczepaniak, pisarz, publicysta, wieloletni dziennikarz łódzkiej prasy. Napisał książkę, czyniąc jej głównym narratorem tego nadal niezbyt spopularyzowanego bohatera łódzkiej sagi historycznej. Oddając głos samemu Rżewskiemu, autor *Człowieka z epoki więzień* uczynił ze swego bohatera najbardziej wiarygodnego przewodnika po meandrach skomplikowanego i pełnego dramatyzmów losu. Czytając kolejne rozdziały, na które składają się improwizowane na pozór opowieści narratora, czytelnik uzyskuje poczucie bliskości z człowiekiem, przeżywającym, ale i tworzącym przecież aktywnie kolejne znaki nadziei, którym towarzyszyć też muszą porażki i rozczarowania. Szczepaniak odtwarza w ten sposób psychologiczny portret swojego bohatera, wychodząc ku czytelnikowi niejako od środka pamięci Rżewskiego. To ciekawy zabieg stylistyczny, bo znosi on poniekąd przestrzeń czasową miedzy wypadkami, które wspomina narrator, a współczesnością sięgającego do tej książki czytelnika.

Tak np. snuje się „opowieść" Rżewskiego o jego najgorszych przeżyciach podczas wydarzeń 1905 roku, które następnie przekształciły się w bratobójcze walki pomiędzy socjalistami a narodowcami: „Kiedy podczas bratobójczych walk zabici zostali robotnicy Fronczak i Jóźwiak, wziąłem udział w pogrzebie. [...] Nagle u zbiegu Zarzewskiej i Kruczej zastąpiło mi drogę czterech uzbrojonych ludzi, którzy z okrzykiem «Ręce do góry» oddali do mnie kilka strzałów. Pociemniało mi w oczach. W

nogach, w boku i w ręce szarpnęło mnie coś raptownie i runąłem na ziemię. Uczułem, że kilku ludzi mnie rewiduje, szukając broni. Jeden z nich krzyknął: «Jeszcze żyje«», po czym rozległo się kilka strzałów i wpakowano mi na pożegnanie pod lewą pachę trzy kule [...] Obudził mnie silny ból w nogach. Leżałem na łóżku w jakimś schludnym robotniczym mieszkaniu. Kto mnie tam zaniósł i kiedy, nie miałem pojęcia. Lekarz opatrywał mi nogi. Wokół łóżka zgromadziło się kilka osób, poznawałem niektóre twarze, jedni wyrażali współczucie, a inni dodawali do tego obietnicę odwetu... Nie ucieszyłem się z tego, bo wiedziałem, że znów się zacznie toczyć koło «kainowych zbrodni»".

Rżewski „dzielący się wspomnieniami" w książce Szczepaniaka zwraca się do czytelnika tak jak monologujący rozmówca. Lubi więc mówić do swego trzymającego w ręku książkę interlokutora, np. „Wdzięczny ci jestem przyjacielu..." albo: „Znasz pewnie dobrze bracie...". Nie są to już pewnie chwyty stylistyczne stosowane we współczesnej literaturze, ale dzięki nim postać Rżewskiego wtapia się w codzienność czytelnika, staje się mu zapewne bliższa.

Odtworzona jakby przez autora książki powieściowa gawęda jej głównego bohatera znajduje uzupełnienie w towarzyszącym każdemu rozdziałowi komentarzowi historycznemu. Szczepaniak sumiennie przedstawia w tych komentarzach ustaloną źródłowo faktografię zbeletryzowanych wcześniej wydarzeń, dając tym sa-

mym czytelnikowi możliwość porównania obu strumieni narracyjnych. To rozwiązanie, które ktoś mógłby uznać za przejaw stylistyki postmodernistycznej, znakomicie pozwala zrozumieć drogę Rżewskiego, polskiego patrioty, bardzo wcześnie dojrzałego do czynów społecznika, gotowego do największych poświęceń, mądrego człowieka i wrażliwego na potrzeby innych.

Cytuje więc np. Szczepaniak autentyczne wspomnienie Adama Malinowskiego, świadka zebrania konspiracyjnego, podczas którego kilkunastoletni Rżewski znalazł się w grupie bojowej PPS: „Drugim mówcą był młodziutki, bo zaledwie 19 lat liczący Aleksy Rżewski. Mówił płomiennie o krzywdach i cierpieniach, jakie naród polski znosić musiał w okresie niewoli, kończąc zdaniem, które wryło mi się w pamięć: «Upaść może tylko naród wielki, zmarnieć może tylko nikczemny«". Zwróćmy uwagę: to mówi dziewiętnastoletni chłopiec, który nie ma za wielu możliwości, aby się kształcić w szkole jak jego rówieśnicy. Ale Rżewski się uczy przez całe swoje życie, aż do końca, aż do swojej śmierci w 1939 roku. Uczy się w więzieniach rosyjskich i niemieckich, uczy się w przerwach między akcjami konspiracyjnymi, uczy się po godzinach ciężkiej fizycznej pracy. Jest heroicznym samoukiem, ale gdy już nastaje pokój, po pierwszej wojnie studiuje eksternistycznie prawo. I kiedy skończy swoją służbę dla Łodzi jako jej pierwszy prezydent, a potem starosta, zostaje notariuszem, bo nie traktuje swojej pracy publicznej dla miasta jako legitymacji uprawniającej do walki politycznej o władzę. Jest rozumnym obywatelem normalniejącego państwa, które sam współtworzył.

Książka Szczepaniaka rozbudowuje mądrze mit Rżewskiego jako wzoru osobowego, wartego naśladowania w każdych warunkach, jakie niesie nam życie. Mit bardzo potrzebny współczesnej Łodzi, bo wspomagający umacnianie satysfakcji z miasta przez lata lekceważonego i skazywanego na kompleks niższości i powielanie stereotypowych sądów o „kosmopolitycznej nijakości", „szarzyźnie krajobrazu", „prowincjonalnej beznadziei". Opowieść Rżewskiego w interpretacji literackiej Zdzisława Szczepaniaka podnosi jego krajanów z kolan, ukazuje moralne drogi wyjścia z każdej, nawet najbardziej beznadziejnej sytuacji. I buduje, zwłaszcza dla młodego pokolenia, pozytywną wizję pracy dla miasta, które może chwalić się tradycją najwyższej próby, czerpiąc ze swojej własnej przestrzeni dziejowej.

Rżewski, ideowy bojowiec i rewolucjonista, jako prezydent zrobił dla Łodzi dużo. To z naszego miasta poszedł w 1919 roku na cała Polskę przykład obowiązku powszechnego nauczania. To Rżewskiemu Łódź zawdzięcza miejskie inwestycje w kanalizacje i wodociągi. To Rżewski stworzył model efektywnego, taniego magistratu, niestety zapomniany po jego odejściu z funkcji.

W posłowiu do książki Jacek Grudzień zauważa, że życiorys Rżewskiego mógłby być kanwą wielu filmów. Mogłoby wielokrotnie skorzystać z historii tego bohatera kino akcji, a może także kino moralnego niepokoju, odwołując się do dramatu tego wybitnego człowieka, najpierw skazanego przez Niemców na śmierć, a

potem przez lata „władzy ludowej" na wyparcie z kart historii i zapomnienie. Tak dalece, że do dziś mającego jedynie symboliczny tylko grób.

Zdzisław Szczepaniak skonstruował swoją książkę tak, że bez szczególnego poświęcenia czytać ją może bardzo młody człowiek przywiązany na co dzień do komputera. Podział na rozdziały i hasłowe wątki pozwala na lekturę dłuższą albo przerywaną po każdym rozdziale. Ten zabieg ułatwia kontakt z książką młodzieży, niechętnie sięgającej do tradycyjnych form czytelniczych.

Człowiek epoki więzień, pokaźny tom bogato ilustrowany archiwalnymi zdjęciami Łodzi, mógłby stać się lekturą obowiązkową w łódzkich gimnazjach i liceach jako dobre uzupełnienie wychowania obywatelskiego. Szkoda więc, że książka ukazała się w nakładzie tak małym, prawie bibliofilskim i jest już niedostępna w księgarniach.

Gustaw Romanowski

Zdzisław Szczepaniak, *Człowiek z epoki więzień*, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2013.

Łódź – śladami ludzi i zdarzeń

Reportaże z lat 1960-2010

Wydawać by się mogło, że reportaż prasowy nie ma dziś szans w starciu z powszechnym zalewem multimediów. Dzięki telewizji, internetowi, dzięki telefonom komórkowym i smartfonom wyposażonym w aparaty fotograficzne i kamery każdy z nas może obecnie niemal w czasie rzeczywistym „znaleźć się" w dowolnym miejscu na ziemi – a przynajmniej w każdym takim miejscu, w którym dzieje się akurat coś ciekawego. Wystarczy usiąść przed ekranem telewizora lub komputera, żeby niemal minuta po minucie móc śledzić wydarzenia mające miejsce nawet w najbardziej odległych zakątkach globu (czego ostatnie dramatyczne wydarzenia na Ukrainie były ewidentnym przykładem). Czym więc w takiej sytuacji wytłumaczyć niegasnącą popularność reportażu? A że o takim zjawisku możemy mówić, świadczą nie tylko liczne nagrody dla autorów tego gatunku, ale przede wszystkim znaczące nakłady książek i magazynów reporterskich…

Być może tym czymś jest osoba i podejście samego reportażysty. Czasem dopiero zdolność do selekcji i interpretacji faktów czyni je ciekawymi i zrozumiałymi. Wbrew naszym własnym często pochopnym przekonaniom nie pragniemy oglądać tylko „nagich faktów". Świat chcemy zobaczyć z ludzkiej, humanistycznej perspektywy, chcemy zobaczyć w nim sens, sprawiedliwość i piękno… A nawet jeśli jest to niemożliwe, to przynajmniej o bezsensie, niesprawiedliwości i brzydocie pragniemy mówić głośno, w nadziei na to, że uda się je w jakiś sposób, choćby tylko symbolicznie przezwyciężyć.

Sięgając po zbiór *Łódź – śladami ludzi i zdarzeń* warto więc sobie uzmysłowić, że to nie tylko przegląd co ciekawszych reportaży przedstawiających pięćdziesięcioletni wycinek historii miasta. Zbiór ten łączą przede wszystkim podobne podejście i podobne biografie autorów. Znaleźli się wśród nich Małgorzata Golicka-Jabłońska, Jacek Indelak, Paweł Patora, Gustaw Romanowski i Zdzisław Szczepaniak, pomysłodawca i redaktor zbioru. Wszyscy reprezentują jedno pokolenie. Urodzili się w czasie drugiej wojny światowej albo krótko po jej zakończeniu, wchodzili w dorosłość około roku 1968, stanowiącego cezurę rozpoczynającą okres gwałtownych przemian obyczajowych i politycznych w Europie i na świecie. I wreszcie wszyscy dali się zauro-

czyć solidarnościowym karnawałem wolności, płacąc za to później cenę długiej, bo trwającej blisko dekadę zawodowej banicji po pozbawieniu ich prawa wykonywania dziennikarskiej profesji wraz z ogłoszeniem stanu wojennego. Dla większości z nich powrót był możliwy dopiero po 1989 roku.

Książka podzielona jest na trzy części. Pierwsza, relacjonująca okres do wybuchu solidarnościowych protestów, to zaledwie kilka reportaży pokazujących próby przedarcia się z krytycznymi obserwacjami przez sita cenzury. Czasem to się udawało. Choć polityka i obyczaje władz nie mogły być kwestionowane *in generis*, to w pomniejszych, pozornie mało znaczących wypadkach absurdy PRL można było wypunktować. Bezduszność i zaniechania urzędników, marnotrawstwo, absurdalne administracyjne przeszkody, a przede wszystkim dramatyczna dysproporcja pomiędzy propagandową „racją" władzy a „racją" zwykłego człowieka – to tematy, które pojawiają się w zebranych tutaj reportażach o bulwersujących, ale z politycznego punktu widzenia pobocznych sprawach. Raz idzie o bezprawne pozbawienie wbrew testamentowi ojca własności rolniczki spod Łowicza (*Testament Józefa Kosiorka*, Jacek Inde-

lak), innym razem o wyrodnego syna, który swoje mieszkanie w świetle prawa sprzedał razem z „żywym „inwentarzem" w postaci matki" (*Na równi pochyłej*, Gustaw Romanowski). Najciekawszy w tej części tekst pt. *Reportaż z pewnego zebrania* Gustawa Romanowskiego to jakby PRL w soczewce. Podczas zebrania samorządu w pewnym łódzkim domu rencisty zamieszkanym przez zasłużonych przodowników pracy odbywają się wybory… a raczej ponury i fasadowy rytuał, bo kandydaci są z góry desygnowani przez dyrekcję, dyskusja moderowana tak, by nie poruszać istotnych tematów, a prawdziwe opinie i potrzeby mieszkańców – demokratyczny *vox populi* – ogranicza się do kuluarowego: „szu, szu, szu". Reportaż został opublikowany w 1979 roku.

Rok później zaczął się solidarnościowy przełom, a jednocześnie wielka próba dla środowiska dziennikarskiego. To, co mnie osobiście uderza w reportażach zamieszczonych w drugiej części książki, to ich autentycznie zaangażowany ton, czasem nawet mogący z dzisiejszej perspektywy uchodzić za nieco naiwny. W świetnym literacko tekście *Łódź – Sierpień 1980* Jacek Indelak barwnie relacjonuje atmosferę w mieście podczas strajku łódzkiego MPK. Napięcie, wyczekiwanie, zmęczenie, ale i porządek. Miasto pulsujące regularnym tłumem rowerzystów i pieszych. I refleksja, która musiała szczególnie kłóć w oczy partyjniaków: „Władze miasta nie za bardzo chcą nas [dziennikarzy – M.K.] wtajemniczać w szczegóły sprawy [rozmów z protestującymi – M.K.]. A przecież motywem naszego zainteresowania nie jest niezdrowa ciekawość, lecz troska o los miasta, o los kraju. **Cóż, może to ciągle nie nasza sprawa?"** – pytał ironicznie Indelak. Kilka lat później Paweł Patora w tekście *Mamy swoją godność* zauważał z kolei: „[…] Założenie z góry, że większość narodu to ludzie niewarci zaufania, należy do głównych, dotkliwie i powszechnie odczuwanych przejawów deptania ludzkiej godności". Między innymi takie opinie były symptomami faktu, że władza komunistyczna traciła zupełnie społeczną legitymizację, a jej upadek – w sprzyjającym układzie geopolitycznym – był tylko kwestią czasu.

Zwycięstwo Solidarności nie przyniosło jednak rozwiązania wszystkich problemów. Trzecia, najobszerniejsza część zbioru pt. *Rachunki krzywd i nadziei* to więc nie tylko reminiscencje dawnych dziennikarskich spraw, o których nie można było bądź nie pozwolono pisać wcześniej. Jacek Indelak wraca tutaj do bulwersujących tematów z przeszłości, m.in. dotkliwego pobicia Władysława Pietrzaka, kierownika restauracji w Bielawach, przez pijanych funkcjonariuszy milicji i naczelnika gminy oraz jego ciągnącej się przez dekadę walki o sprawiedliwość (*Strach w kolorze blue*), donkiszoterskich dociekaniach radnego Tadeusza Kantyki tropiącego nieuczciwe praktyki lokalnych oficjeli, którzy za publiczne pieniądze budowali i wyposażali swoje podłódzkie dacze (*Memento radnego Kantyki*). Transformacja ustrojowa generowała też swoiste patologie i dramaty, które zauważali reportażyści. W latach 90. pojawiła się mało znana wcześniej funkcja „syndyka masy upadłościowej" – symbol upadku łódzkiej monokultury włókienniczej, a jednocześnie nie zawsze uczciwych prywatyzacji. Powstawały niejasne powiązania między polityką i biznesem, czego przykładem do dziś nie-

wyjaśniona sprawa zabójstwa łódzkiego posła Unii Demokratycznej i przedsiębiorcy Henryka Michalaka (*Banalna sprawa*, Gustaw Romanowski).

Wśród tych rozlicznych bied i dramatów, które z dużym talentem i wrażliwością opisują reportażyści, początkowo trudno byłoby się jednak domyśleć, jakie to miasto rzeczywiście było przez wspomniane półwiecze pomiędzy rokiem 1960 a 2010. I trudno się też szczególnie dziwić – Łódź po 1945 roku była bowiem miastem bez przeszłości. Druga wojna światowa w dramatyczny sposób zerwała ciągłość demograficzną, a jednocześnie ciągłość pamięci i tożsamości. Dość powiedzieć, że w tym mieście, które jeszcze przed wojną charakteryzował ogromny poziom migracji, w 1970 roku – jak podaje *Monografia miasta Łodzi* – 52 proc. ludności stanowiła ludność napływowa, głównie ze wsi. W miarę jak Łódź powoli zaczęła wychodzić z dramatycznej sytuacji gospodarczej, problem deficytu tożsamości zdawał się coraz bardziej dotkliwy. Musiała się znaleźć idea, która masom łodzian dałaby jakąś pozytywną rację bycia razem. Zaczęto powoli odkrywać historię Łodzi, również tę historię związaną z najbardziej dramatycznymi jej epizodami związanymi z eksterminacją społeczności żydowskiej (*„Echa z popiołów i krwi…, Zabijali ją dwa razy…*, Zdzisław Szczepaniak). Ale i z wyjątkową intensywnością zaczęły się odradzać mity. Być może właśnie one są trochę desperackimi próbami stworzenia syntezy, jakiejś spójnej całości z pokawałkowanej i niespójnej historii miasta. W tekście *Miasto czterech kultur* i inne łódzkie mity Jacek Indelak pisze: „Łódź zawsze chorowała na kompleks niższości i gorszości. Do dziś nie potrafi się z niego wyleczyć, szuka więc coraz to nowych jego kompensacji. W Łodzi o Łodzi mało kto potrafi mówić bez emocji, mało kto potrafi spojrzeć na nią z dystansu, dostrzec w niej normalne miasto, a nie – szczególnie dobre lub wyjątkowo złe. Toteż nie ma racji ten, kto powiada za Tuwimem, że Łódź to miasto bez mitu. Łódź bowiem od dawna obrasta wręcz mitami". Tekst Indelaka rzeczowo odnosi się do tych najbardziej obiegowych: „ziemia obiecana", „złe miasto", „czerwona Łódź", „miasto czterech kultur". Dziś pewnie moglibyśmy dodać jeszcze kilka: „miasto kultury", „miasto awangardy", „miasto przemysłów kreatywnych". Niewiele zmieniło się też od 1997 roku, kiedy tekst się ukazał (zresztą tylko po niemiecku w berlińskim miesięczniku „Bauwelt"). Łódź wciąż wzbudza skrajne emocje. Czy dotyczy to inwestycji, bezpieczeństwa, edukacji, gospodarki, mało kto jest w stanie mówić o niej spokojnie. Porażki zaś automatycznie rekompensują nam nowe, często jeszcze bardziej abstrakcyjne pomysły i projekty. Trochę więc desperacko próbujemy zrobić milowy krok, który jeśli nie pozwoli nam prześcignąć innych miast o podobnym jak nasz potencjale demograficznym, to przynajmniej spróbuje im dorównać. Tylko że, jak pokazują szpalty archiwalnych gazet, to już było…

Szkoda, że wspomniany tekst Jacka Indelaka, choć doskonały, to jednak jest w tym zbiorze odosobnioną próbą przeprowadzenia syntezy pewnej rzeczywistości miasta w tytułowej pięćdziesięciolatce. Nie jest to jednak gwoli sprawiedliwości rola reportażu… Całość wypada jednak nadzwyczaj dobrze. Dużo tutaj tekstów

ciekawych, inteligentnych i dobrze napisanych. Z pewnością książka jest gratką dla wszystkich wielbicieli gatunku, a także dla tych, którzy chcieliby przypomnieć sobie kilka ciekawych, a bywa, że zupełnie zapomnianych epizodów z historii miasta. Miałem tylko wrażenie, że zbiór ten zbyt szybko się kończy – szkoda też, że reportaże Gustawa Romanowskiego i Małgorzaty Golickiej-Jabłońskiej są w tym wyborze rzadziej reprezentowane. Więcej tekstów, nawet mniej doniosłych, pozwoliłoby załatać wiele dziur w obrazie historii miasta. Przydałby się też rys pokazujący historię środowiska dziennikarskiego w Łodzi. Mógłby on lepiej niż krótkie biogramy na końcu książki wyjaśnić milczenie autorów w latach 1982-1989.

Marcin Kieruzel

Łódź – śladami ludzi i zdarzeń. Reportaże z lat 1960-2010, pod redakcją Zdzisława Szczepaniaka, Wydawnictwo Literatura, Łódź 2013.
Autorzy reportaży: Małgorzata Golicka-Jabłońska, Jacek Indelak, Paweł Patora, Gustaw Romanowski i Zdzisław Szczepaniak.

Architektura okupowanej Łodzi

Ukazała się książka Tomasza Bolanowskiego, pracownika Instytutu Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej, pt. *Architektura okupowanej Łodzi. Niemieckie plany przebudowy miasta*. Jest to pozycja wyjątkowa, omawiająca tematykę, która do tej pory była „białą plamą" w badaniach nad architekturą i urbanistyką Łodzi XX wieku.

Okres drugiej wojny światowej i niemieckiej okupacji przedstawiany jest z reguły w kontekście eksterminacji Żydów, prześladowań i wysiedleń Polaków, pasma licznych zbrodni – taka jest historyczna prawda. Książka Bolanowskiego przypomina jednak, że Łódź należy – obok Krakowa czy Poznania – do tych polskich miast, w których druga wojna światowa przyniosła oprócz stosunkowo niewielkich zniszczeń szereg działań podjętych przez niemieckich okupantów, mających na celu przestrzenne i architektoniczne ich uporządkowanie. Autor książki jako pierwszy na gruncie polskim w obszerny sposób zaprezentował niemieckie plany urbanistycznych przekształceń i sanacji zabudowy oraz konkretne realizacje na terenie Łodzi z lat 1939-1945. (Dodać należy, że krótko problemy te sygnalizowali w swoich publikacjach: T. Bojanowski, *Łódź pod okupacją niemiecką w latach II wojny światowej 1939-1945*, Łódź 1991 oraz J. Strzałkowski, *Architekci budowniczowie w Łodzi do 1944 roku*, Łódź 1997). A wiązało się to ze swojego rodzaju ryzykiem, jak słusznie bowiem zauważył recenzent książki, profesor Janusz Dobesz z Politechniki Wrocławskiej, autor książki o architekturze Wrocławia okresu III Rzeszy: „Podjęcie [tematu] wymagało bardzo głębokich, prawie w całości pionierskich studiów i nie lada odwagi, gdyż tematyka związana z III Rzeszą wciąż należy do zagadnień niepopularnych, objętych rodzajem naukowego ostracyzmu, ponieważ nadal żyje pokolenie osobiście dotknięte zbrodnią tamtego systemu".

Tomasz Bolanowski podjął to zagadnienie jako pierwszy na gruncie polskim – przypomnieć jednak należy, że już kilkanaście lat temu, w 2001 roku, ukazała się książka niemieckiego autora, Nielsa Gutschowa pt. *Ordnungswahn. Architekten Planen im „eingedeutschen Osten" 1939-1945* (Gütersloh-Boston-Basel-Berlin), gdzie przedstawiono niemieckie plany przebudowy polskich miast: Warszawy, Krakowa, Poznania i Oświęcimia. Książka Bolanowskiego omawia tematykę Łodzi w nieporównywalnie szerszy sposób. Autor wykorzystał przy tym bogate materiały archi-

walne, przede wszystkim dokumenty znajdujące się w Łódzkim Archiwum Państwowym, w dużej mierze do tej pory niewykorzystywane lub całkowicie nieznane, ale także materiały znajdujące się w rękach prywatnych. Jak pisze autor: „Wiele cennych materiałów pozostało między innymi w rękach byłych pracowników okupacyjnego Wydziału Planowania Miasta". Szkoda, że o źródłach pisze on jedynie w sposób ogólnikowy – to jeden z nielicznych jej mankamentów.

Efekt żmudnej pracy Bolanowskiego jest imponujący. Książka prezentuje olbrzymią liczbę informacji dotyczących działań okupacyjnych władz niemieckich w mieście, które zostało włączone w granice Rzeszy jako część Kraju Warty, a jego nazwę przekształcono na Litzmannstadt. Według hitlerowskich ideologów miało stać się miastem „czysto niemieckim", na co z pewnością miało wpływ silne niemieckie osadnictwo tak w samej Łodzi, jak i w jego okolicach od początku XIX wieku. Niemiecki charakter miasta miała zapewnić przede wszystkim zbrodnicza polityka okupantów – eksterminacja Żydów skupionych w getcie, mordy dokonywane na Polakach i ich wysiedlenia. Do miasta napływać zaczęli na to miejsce Niemcy – nielicz-

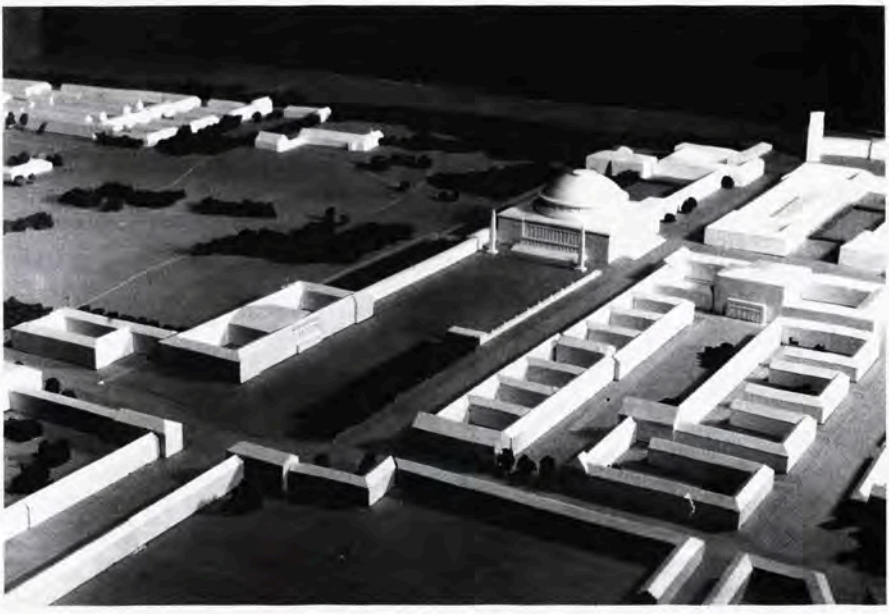

ni z terenu Niemiec, większość z krajów nadbałtyckich czy też Besarabii. Zmieniło to znacznie strukturę demograficzną – zniknęli Żydzi, a liczba ludności niemieckiej wzrosła z 10 do 30 proc.

Ale tworzenie „niemieckiego Litzmannstadt" to także pomyślane z wielkim rozmachem urbanistyczno-architektoniczne plany przekształcenia miasta. A trzeba przyznać, że Niemcy mieli podstawy do takich działań. Łódź pod względem struktury przestrzennej i zabudowy była bowiem miastem strasznie zaniedbanym, co było dziedzictwem rosyjskiego panowania przed 1914 rokiem. Wysiłki polskich władz z lat międzywojennych – o których autor pisze we wstępnym rozdziale książki – przyniosły jedynie ograniczone rezultaty, a pomyślane z rozmachem plany pozostały w większości na papierze. Autor podkreśla jednak, że w pełni wykorzystane zostały one przez niemieckich okupantów – nie zaczynali od „zera", ale kontynuowali wiele polskich pomysłów, gdy idzie o rozwiązania przestrzenne.

Działania niemieckie miały wymiar wieloaspektowy, co autor przedstawił w sposób logiczny i konsekwentny. Rozpoczynając od znacznego powiększenia powierzchni miasta (co po wojnie zostało usankcjonowane przez władze polskie), poprzez uporządkowanie sieci urbanistycznej, zrealizowane jedynie w niewielkiej części, do działań architektonicznych. Tutaj możemy wyróżnić kilka różnych rodzajów działań. Najbardziej spektakularne związane były z planami stworzenia nowego wielkiego centrum administracyjnego miasta, wzorowanymi na podobnych planach z okresu hitlerowskiego, dotyczących wielu innych dużych miast niemieckich. Efektownie prezentują się makiety wielkiego placu na skraju Parku im. J. Poniatowskiego, w sąsiedztwie

przebudowanego Dworca Kaliskiego, z olbrzymią Halą Ludową na 150 tys. osób (sic!) jako dominantą – „tu miały się zbierać tłumy wiwatujące na cześć III Rzeszy". Założenie tyleż imponujące rozmachem, co przerażające skalą i wymową ideową. Uzupełnić to miały inne wielkie założenia: Plac Ratuszowy na skrzyżowaniu ul. Piotrkowskiej (Adolf Hitler Strasse) i Głównej, Nordring (Rynek Bałucki), Südring (pl. Niepodległości). Stworzenie tych zespołów miało być połączone z wielkimi wyburzeniami starej zabudowy centrum miasta i wprowadzenie w jej miejsce wyrównanych gmachów administracyjnych i mieszkalnych, Szczęśliwie pomysły te – znamienne dla opętańczych ideologii totalitarnych i w pełni zasługujących na miano barbarzyńskich – pozostały na papierze czy też w postaci makiet.

Inny barbarzyński pomysł niemiecki to sanacja *(Sanierung)* centrum miasta, związana z przekształceniem zabudowy ul. Piotrkowskiej. To plany szczególnie szokujące, polegające na wyrównaniu zabudowy głównej arterii miasta i jej elewacji, czyli skuciu wszelkiego detalu. W ten sposób Piotrkowska pozbawiona zostałaby tego, co najcenniejsze – architektonicznej barwności i różnorodności. Bardziej racjonalne i uzasadnione były z pewnością plany uzdrowienia zabudowy centrum poprzez rozrzedzenie zabudowy podwórzy, wyburzenie części oficyn, stworzenie większych wewnętrznych przestrzeni i wprowadzenie zieleni, co miało na celu polepszenie warunków zdrowotnych i sanitarnych. Wyraźne efekty tych działań dostrzegamy do dnia dzisiejszego w „eksperymentalnym" kwartale ulic: Piotrkowska-Traugutta-Sienkiewicza-Narutowicza. Autor dosadnie stwierdza, że jego wnętrze: „nadal wygląda jak nieuporządkowany plac budowy. Co gorsza nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie stan ten miał ulec zmianie".

Działalność niemiecka obejmowała także realizacje, które należy ocenić pozytywnie. To przede wszystkim osiedla mieszkaniowe na obrzeżach miasta o kameralnym charakterze: Stoki i Julianów (zespół przy ul. Kalinowej, zwany współcześnie „Berlinkiem"), zespół przy ul. Dyspozytorskiej, rozbudowa stacji Łódź-Olechów, których urbanistykę i architekturę autor szczegółowo analizuje. Ślady działalności budowlanej hitlerowskich okupantów znajdujemy niespodziewanie choćby w takich miejscach jak łódzkie ZOO, które Niemcy znacznie rozbudowali. Ogrom nieznanych wcześniej szerzej informacji, które odnajdujemy w książce Bolanowskiego, jest rzeczywiście zaskakujący. Autor porusza choćby kwestię informacji, które można zaliczyć do łódzkich „miejskich legend", jakoby niemieckie osiedla z czasów okupacji miały być zakładane na planie swastyki czy też znaku SS, pisząc: „Nie pomagają wyjaśnienia i tłumaczenia, że jest to wyssane z palca, że wystarczy popatrzeć na mapę, z której nie odczytamy nawet fragmentów faszystowskich symboli". No cóż, legendy żyją własnym życiem.

Pracę zamyka zamyka rozdział o powojennych losach niemieckich projektów i realizacji. Autor zwraca uwagę, że część okupacyjnych planów doczekała się kontynuacji w nowych realiach, już po wojnie. Dotyczy to zwłaszcza terenów daw-

nego getta – obszaru Starego Miasta i wschodniej części Bałut – które według planów niemieckich po wyburzeniu dawnej zabudowy miały stać się wzorcową nazistowską dzielnicą. W planach z epoki realizmu socjalistycznego z kolei ta część miasta miała się stać wizytówką socjalistycznej Łodzi. Te kontynuacje autor tłumaczy zarówno pokrewieństwem ideologicznym obydwu systemów – nazistowskiego i komunistycznego – jak i faktem, że po wojnie w łódzkim biurze projektowym pracowali architekci zatrudnieni wcześniej przez niemieckich okupantów. Analiza skupia się na osiedlach na Stokach i Julianowie, które zasadniczo zachowały swój pierwotny kształt. Osiedle na Stokach uzupełnione zostało gmachem szkoły, którego forma paradoksalnie znakomicie wpisuje się w klimat architektury nazistowskiej. Inne uzupełnienia, jak choćby bloki mieszkalne na Stokach, to „kolejny przykład lekceważenia otoczenia podczas projektowania nowej zabudowy". Niepokojące jest zwłaszcza zjawisko adaptacji poddaszy na mieszkania, niszczące pierwotną sylwetkę wysokich dachów na obydwu osiedlach, niepokój autora budzi też pogarszający się stan zachowania osiedli. Nierzadko widać spękane mury, zniszczoną i nieuzupełnianą dachówkę, destrukcję małej architektury, przewracające się mury oporowe. Ewenementem jest osiedle przy ul. Ziołowej na Radogoszczu. Parterowe, nadzwyczaj proste domy wybudowane zostały jako tymczasowe schronienie dla uciekinierów z bombardowanych niemieckich miast na zachodzie – minęło siedemdziesiąt lat, a one nadal służą lokatorom, którzy bynajmniej nie są niemieckimi uciekinierami. Podobnie jest z barakami dla robotników na Przylesiu, w sąsiedztwie rozbudowywanej w okresie okupacji stacji Łódź-Olechów. Autor zwraca uwagę również na takie niepozorne i umykające naszej uwadze elementy będące pozostałością czasu okupacji jak schrony przeciwlotnicze – na murach zachowały się w wielu miejsca ich oznaczenie, udokumentowane fotografiami.

Temat podjęty przez Tomasza Bolanowskiego z pewnością był trudny. Pamiętać bowiem trzeba, że wszystkie opisywane w książce plany i realizacje służy-

Projekt przekształcenia ul. Piotrkowskiej między obecnymi ulicami G. Narutowicza i R. Traugutta (il. ze s. 86)

ły budowaniu niemieckiego Litzmannstadt – miasta, w którym Polacy mieli swoje miejsce, ale jako „podludzie" służący swoim „niemieckim panom". Autor zachował w tej sytuacji godny pochwały dystans, unikając zbyt łatwych i emocjonalnych ocen, analizując problem chłodnym okiem badacza; jak pisze, musimy przyjąć po prostu do wiadomości, że „poniemieckie budynki z lat okupacji istnieją wtopione w rzeczywistość Łodzi".

Omawiana publikacja należy do najważniejszych pozycji dotyczących architektury i urbanistyki Łodzi XX wieku, ukazując pomijany do tej pory okres – krótki, ale pod wieloma względami szczególny – i wypełniając istniejącą w badaniach lukę. Po książkach Joanny Olenderek dotyczących łódzkiej architektury lat międzywojennych, pracy Aleksandry Sumorok omawiającej łódzki socrealizm i książce *Łódzkie budynki 1945-1970* pozwala to na stworzenie w miarę pełnego obrazu urbanistyki i architektury miasta w minionym stuleciu, do początku epoki gierkowskiej. Książka autorstwa Tomasza Bolanowskiego, o starannej szacie edytorskiej, z dużą ilością ilustracji, wśród których znajduje sie wiele unikatowych planów i zdjęć archiwalnych, stanie się z pewnością niezwykle ważną pozycją na łódzkim rynku księgarskim.

Krzysztof Stefański
– prof. dr hab.
kierownik Katedry Historii Sztuki UŁ

Tomasz Bolanowski, *Architektura okupowanej Łodzi. Niemieckie plany przebudowy miasta, Księży Młyn* Dom Wydawniczy – Michał Koliński, Łódź 2013

Najdłuższe pół wieku – 1939-1989

„Ale to już było…

i nie wróci więcej…". Przynajmniej warto mieć nadzieję, że tak się stanie, ponieważ nie każda młodość warta jest powtórnej euforii, a przede wszystkim dlatego, że wydarzenia, do których nawiązuję, dotyczą głównie takich czasów i takich przeżyć mieszkańców Łodzi, jakie wielu z nich (szczególnie tych urodzonych przed rokiem 1939) uznaje za najsmutniejszy okres swego życia.

W pierwszym rzędzie gorycz ta dotyczy oczywiście okresu okupacji niemieckiej, ale potem także lat stalinizmu, „wyzwolenia", które tak często przyjmowało oblicze gwałtów i prześladowań nie tylko „żołnierzy wyklętych", wywózek do dalekich syberyjskich łagrów, udręczania całych rodzin za „winy" ojców, matek, czy braci – rzeczywistych lub tylko domniemanych przeciwników komunistycznej władzy.

To z pokoleniowych doświadczeń, rodzinnych i osobistych, z wiedzy o czasie objętym klamrą lat 1939-1989 rodzi się moje przeświadczenie, że niemało pokoleń łodzian mogłoby się podpisać pod takim oto okupacyjnym wyznaniem Krzysztofa Kamila Baczyńskiego:

> Lata, o moje straszne lata, nauczyłyście wy nas wierzyć
> i to był kostur nasz na drogę, i z nim się resztę burz przemierzy.

A przecież mimo powyższej refleksji otworzyłem ten tekst pogodną, nieco nostalgiczną frazą piosenki Agnieszki Osieckiej (śpiewanej przez Marylę Rodowicz), bo przecież w ciągu tego „najdłuższego pół wieku" nie tylko walczyliśmy, ginęliśmy, ale także cieszyliśmy się życiem, kochaliśmy, budowaliśmy – lepiej lub gorzej – przyszłość swoją, swojego miasta i kraju, gromadziliśmy małe i większe radości, próbowaliśmy spełniać swoje nadzieje i marzenia. W tym także to największe: na powrót wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej.

Najdłuższe pół wieku – bardzo trafny tytuł nadali opracowanemu przez siebie *Kalendarium Łodzi 1939-1989* jego autorzy: Krzysztof G. Latocha, Artur Ossowski, Paweł Spodenkiewicz, Magdalena Zapolska-Downar – pracownicy łódzkiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, wydawcy tej ważnej i wartej rekomendacji

publikacji. Swoje autorskie i edytorskie zamierzenia przedstawili w obszernym wstępie, pisząc między innymi:

> Dzieje miast mogą mieć przebieg równie dramatyczny jak życie człowieka i z tego powodu często mówimy o narodzinach, starzeniu się i umieraniu organizmów miejskich. Zakres tej metafory ogranicza fakt, że miasta, inaczej niż ludzie, podlegają swoistej wędrówce dusz i mogą rodzić się i umierać po wielekroć.
> Mówimy na przykład o powtórnych narodzinach Łodzi jako miasta przemysłowego w początkach XIX w., albo jej zamordowaniu w okresie okupacji hitlerowskiej i odradzaniu się po wojnie. Przyglądając się tym dramatycznym, niekiedy tragicznym wydarzeniom, dostrzegamy, że były one za każdym razem związane z oddziaływaniem pewnych szeroko zakrojonych koncepcji zmian.

W latach okupacji niemieckiej owe „szeroko zakrojone koncepcje" nabierają szczególnie zbrodniczego i katastrofalnego charakteru dla narodu polskiego. Wystarczy wspomnieć cytowane w *Kalendarium* słowa jednego z niemieckich prominentnych mieszkańców Łodzi, który w przemówieniu wygłoszonym w listopadzie 1939 roku do miejscowych „nadludzi" powiedział, określając cele okupantów i wyznaczając Polakom ich miejsce w ramach niemieckiej „koncepcji zmian":

> Polak jest tylko parobkiem i ma za zadanie tylko służyć. Z Żydem także sobie poradzimy, gdyż radziliśmy sobie już z gorszymi problemami. Konieczne jest byśmy byli przy tym ślepo posłuszni i bezwzględnie wykonywali wszystkie konieczne polecenia. Żadnych sentymentów czy względów dla jakiś bliskich nam Polaków.

Ściśle faktograficzna relacja, którą jest Kalendarium – opowieść „o zagładzie miasta wielu kultur i życiu pod ciśnieniem dwóch totalitarnych utopii" – podzielona została na kilka odrębnych okresów. Warto je wymienić, jako że ich tytuły wskazują na najważniejsze etapy, którymi w dziejach naszego miasta były: *Okupacja niemiecka, Stalinizm, Odwilż, Mała stabilizacja, Epoka Gierka, Karnawał „Solidarności", Czas generała.*

Lata 1939-89 stały się dla Łodzi półwieczem, w którym mieszkańcy doświadczyli specjalnej uwagi – a może raczej bezwzględności – ze strony losu i historii. Złożyło się na to „wkroczenie Wehrmachtu i niemiecka okupacja; nadzieje „wyzwolenia" i stalinizm, zgrzebne rozkosze „małej stabilizacji" i bunt studencki; inwestycje dekady Gierka i powstanie «Solidarności»". Był to – jak podkreślają w okładkowej nocie autorzy *Kalendarium* – „Kalejdoskop wydarzeń, które na przestrzeni pięćdziesięciu lat składały się na historię Łodzi i wpływały na biografie kilku pokoleń jej mieszkańców".

Zawartość tekstowa tego albumu (uzupełniona kilkoma setkami zdjęć), z datowanymi dokładnie zapisami najistotniejszych w danym roku wydarzeń,

pozwoli z pewnością czytelnikom na odbycie szczególnej podróży w czasie. Na odnalezienie miejsc i zdarzeń, których byli uczestnikami lub tylko obserwatorami, odtworzenie w pamięci dawnych opinii, przekonań czy przeczuć. Na dotarcie do źródeł tego, co w najgorszych i najciemniejszych latach pochłonęło ich marzenia, co kierowało ich nadziejami, buntem wobec dalekiej od ideałów i oczekiwań rzeczywistości…

Uznanie dla autorów tej publikacji nie oznacza oczywiście rezygnacji z recenzenckiego prawa do uwag i pytań. Jedno z nich dotyczy dołączonego zestawu zdjęć. Generalnie rzecz ujmując, projekt graficzny i skład (Urszula Sroczyńska) zasługuje na uznanie, ale z uwag, które zebrałem na ten temat wynika, że zdjęć (tak ważnych w odczuciu podróżującego przez półwiecze czytelnika) mogłoby być więcej. Uniemożliwiło to zbyt rozrzutne gospodarowanie niektórymi tzw. rozkładówkami, na których czasem (*vide* str. 30, 31, 60, 61, 70, 71, 202, 203) niewielkie zdjęcia (które z powodzeniem zmieściłyby się na jednej stronie, uwalniając drugą dla kolejnych fotografii) prezentuje się z ogromnymi pustymi marginesami, przełamane pośrodku i przez to mniej czytelne i gorsze w odbiorze. Być może takie rozwiązania narzuciły wymogi składu, tym niemniej budzą wątpliwości w oczach niektórych czytelników.

Z kolei krótka lista autorów wykorzystanych fotografii zdaje się sugerować brak możliwości edytora w dotarciu do archiwów fotograficznych łódzkich

redakcji prasowych. Czyżby archiwa te zostały zlikwidowane, zniszczone lub zaginęły? Jeśli tak, byłaby to niepowetowana strata. Pamiętam np. zamieszczane na łamach „Dziennika Łódzkiego" doskonałe zdjęcia Leona Olejniczaka czy Andrzeja Wacha, które z pewnością wniosłyby wiele do strony ilustracyjnej kalendarium.

Inną uwagą – również podbudowaną zebranymi przeze mnie w tej kwestii opiniami czytelników – jest przechodząca w nagminną przywarę (głównie w mediach) skłonność do nazbyt częstego stosowania lansowanej od wielu lat przez Niemcy (ich elity, media i rządy) terminologii dotyczącej odpowiedzialności Niemiec za to, co w latach 1935-45 spotkało tak liczne narody Europy. Zgodnie z tą coraz powszechniej używaną „narracją" sprawcami wszelkiego czynionego przez hitlerowskie Niemcy zła są (na ogół lub wyłącznie) wąskie grupy ideologicznie zatwardziałych „nazistów", słowem zbrodniarzy wywodzących się (ale tylko w domyśle) z pewnego uparcie broniącego się przed nazizmem narodu.

Zapewne właśnie aktualnej „poprawności politycznej" zawdzięczać należy tak częstą obecność wspomnianych „nazistów" w rozmaitych zawartych w *Kalendarium* omówieniach i uwagach dotyczących „nazistowskich projektów", „nazistowskich przekształceń". Ba, nawet kiedy mowa jest o wzniesionej w 1923 roku w parku na Zdrowiu Kolumnie Rewolucji (upamiętniającej miejsca stracenia i pochówku łódzkich uczestników Rewolucji 1905 roku) to okazuje się, że w 1939 roku została ona – zdaniem autorów *Kalendarium* – zburzona przez… nazistów! Choć głowę dam, że rozkazodawcy, wykonawcy i zwolennicy tego przedsięwzięcia czuli się przede wszystkim Niemcami, a legitymacje NSDAP posiadali wśród nich tylko nieliczni.

Nowe, czyli stosowne do czasów określenie zyskał również film propagandowy z 1942 roku pt. *Aus Lodz wird Litzmannstadt*, dotyczący niemieckich planów przebudowy Łodzi. Ale tak napisano by pewnie jeszcze kilka lat temu. Obecnie informacja na temat tego filmu wyjaśnia, że były to plany… nazistowskie.

Kto wie, być może w kolejnych edycjach, na które *Najdłuższe pół wieku* z pewnością zasługuje, uda się usunąć (na pohybel „nazistom"!) te drobne niedomagania. Już teraz jednakże wydanie dzieła opracowanego z wielkim staraniem i przy żmudnej kwerendzie w dziesiątkach źródeł należy uznać za sukces zarówno autorów, jak i patronującego ich wysiłkom wydawcy.

Zdzisław Szczepaniak
– publicysta, pisarz, dziennikarz

Krzysztof G. Latocha, Artur Ossowski, Paweł Spodenkiewicz, Magdalena Zapolska-Downar, *Najdłuższe pół wieku. Kalendarium Łodzi 1939-1989*, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi, Łódź 2013.

Nowa książka łódzkiej radnej

Kobiety w życiu publicznym

Małgorzata Niewiadomska-Cudak problematyką samorządową zajmuje się nie tylko praktycznie, będąc od 12 lat radną łódzkiej Rady Miejskiej. Problematykę tę z powodzeniem zgłębia także jako naukowiec, doktor nauk humanistycznych. Jest autorką dwóch książek poświęconych najnowszej historii i rozwojowi samorządności lokalnej w Łodzi. To *20 lat łódzkiego samorządu. Pięć elekcji – pięć kadencji 1990-2010* (Łódź 2010) oraz *Wybory samorządowe w Łodzi w latach 1990-2006* (Toruń 2011). Teraz opublikowała kolejną, której tematyka wykracza już znacznie poza łódzką lokalną perspektywę. *Kobiety w polskich organach kolegialnych w latach 1919-2011* to ważna praca ukazująca progresywny proces aktywności kobiet w życiu publicznym Polski na przestrzeni blisko stu lat.

Niewątpliwie obecność w życiu publicznym Łodzi autorki i jej aktywność społeczna były pomocne w analitycznym, pogłębionym spojrzeniu naukowca na obecność kobiet w polskich organach kolegialnych z perspektywy zmieniających się ustrojów politycznych, obyczajowości oraz teorii i praktyki sprawowania władzy i urzędu.

Autorka rozpoczyna swoje obserwacje, pokazując kobiety w 1919 roku, kiedy to odbyły się pierwsze po odzyskaniu niepodległości przez Polskę wybory do Sejmu. To ważny moment, bo polskie kobiety zyskały bierne i czynne prawo wyborcze już w 1918 roku, nawiasem mówiąc, wcześniej niż w wielu innych europejskich krajach. M. Niewiadomska-Cudak tę, zdawałoby się, trudną statystyczno-analityczną opowieść ubarwia przypomnieniem wypowiedzi znaczących polityków na ten temat. Jak choćby Marszałka Piłsudskiego, który choć nie był przeciwnikiem praw kobiet, to powątpiewał, czy potrafią z nich rozsądnie korzystać, bo – jak przytacza autorka – uważał, że „mentalność kobiet jest z natury konserwatywna i łatwo na nie wpłynąć".

Warto pamiętać, że kobiety na świecie pełnię praw wyborczych otrzymały później niż Polki, np. w USA w 1920 roku, we Francji w 1944 roku, a w Szwajcarii i w Lichtensteinie stało się to dopiero w 1984 roku. Ostatnim krajem, gdzie prawa wyborcze dla kobiet przyszły wraz niepodległością, jest Namibia – w 1989 roku. Ale jeszcze w Europie w jednym z najbardziej konserwatywnych kantonów szwajcarskich pełnię praw obywatelskich kobietom przyznano dopiero w 1990 roku.

Publikacja M. Niewiadomskiej-Cudak jest ciekawym spojrzeniem na politykę i ewolucję myślenia o obecności kobiety w życiu publicznym. Bo mało kto wie, że w tym pierwszym polskim Sejmie było tylko osiem parlamentarzystek! Jedno-

cześnie autorka podkreśla, jak bardzo kobiety pełniące funkcje publiczne wówczas się jednoczyły, łamiąc nawet dyscyplinę klubową. I czyniły to świadomie, ponieważ w dwudziestoleciu międzywojennym te aktywne Polki były osobami bardzo dobrze wykształconymi. To one tworzyły ustawy o macierzyństwie, o szkolnictwie czy ustawę rolną. Trzeba też podkreślić, że w pierwszym etapie wprowadzonego prawa wyborczego dla kobiet kampanie wyborcze były tak prowadzone, by kobiet w wybranych organach było jak najwięcej.

Autorka przypomina fakt, że to Łódź była miastem, które jako pierwsze w Polsce wprowadziło powszechny obowiązek nauczania dla dzieci w wieku od 7 do 14 lat.

Ale ta książka to także rzetelna publikacja historyczna, przybliżająca funkcjonowanie władzy w różnych latach w Polsce. Czujemy nastroje polityczne, wpływy określonych partii, czytelnik ma wręcz możliwość dotykania codzienności w budowaniu struktur władzy kolegialnej.

Erudycja autorki łączy się także z jej szczególnym wykształceniem związanym z filmem (studiowała w PWSFTviT w Łodzi). Pozwoliło to choćby na zobrazowanie wpływu przemian ustrojowych na postrzeganie kobiety w społeczeństwie. Tak więc np. film *Irena do domu* Jana Fethkego posłużył autorce jako przykład ukazujący

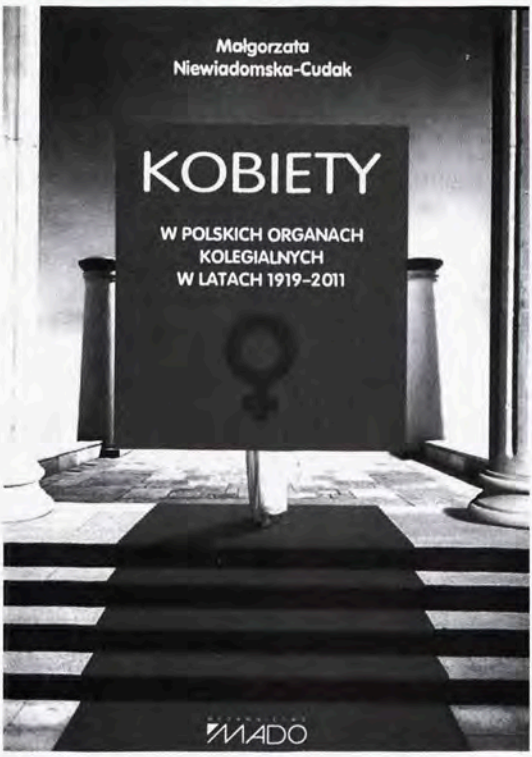

przełom w myśleniu i polityczną odwilż po okresie stalinizmu, kiedy kobietę traktorzystkę zastępuje Matka Polka.

Przy lekturze tej książki mamy okazję obserwować – także za sprawą życia publicznego w Łodzi – jak rola kobiety w PRL była stopniowo pomniejszana aż do roku 1980, żeby następnie w okresie do 1985 roku można było niespodziewanie odnotować najwyższy wskaźnik obecności kobiet w Sejmie.

Znajdziemy w tej książce również ciekawy opis aktywności kobiet, które stały niejako po dwóch stronach – były obecne i w Radzie Narodowej, kontrolowanej przez władzę „nomenklaturową", i w opozycyjnej wobec tej władzy Solidarności.

Wnikliwa lektura pozwala na dotarcie do zaskakującej informacji, że w Łodzi pierwsza kobieta w tzw. prezydium Rady Miejskiej pojawiła się dopiero w XXI wieku!

Czytając ostatnią książkę Małgorzaty Niewiadomskiej-Cudak, mamy pewność, że podkreślając znaczenie kobiety w kierowaniu strukturami państwa, miasta i gminy, autorka uświadamia czytelnikowi, że dochodzenie do tak, zdawałoby się, oczywistej obecności kobiety w polskich organach kolegialnych było procesem długim i mozolnym. Przemyślenia autorki, składające się na publicystyczną wymowę jej publikacji, są też dowodem wprost na równoprawną obecność kobiety w życiu publicznym.

Ciekawe analityczne spojrzenie na ten bez mała wiek dziejów Polski przez pryzmat obecności w nich aktywnej kobiety doprowadza nas do 2011 roku. A dostrzeżenie – co przytacza autorka za dziewiętnastowiecznym myślicielem Henrym Tomasem Buckle'em – „dobroczynnego wpływu kobiety na społeczeństwo" mówi dobitnie, że nikt dziś nie odważyłby się poddać w wątpliwość roli kobiet w kształtowaniu prawdziwej demokracji.

Anna Kuźmicka
– rzecznik prasowy Rady Miejskiej w Łodzi

Małgorzata Niewiadomska-Cudak, *Kobiety w polskich organach kolegialnych w latach 1919-2011*, Wydawnictwo MADO, Toruń 2013.

Warszyc – wyklęty bohater

Ginąc dla idei

Do postaci Stanisława Sojczyńskiego, twórcy i dowódcy Konspiracyjnego Wojska Polskiego, wracało już wielu historyków i publicystów. Sylwetka tego wiejskiego nauczyciela, który od wybuchu wojny w 1939 roku całe swoje życie podporządkował bez reszty walce o niepodległość Polski, jest od kilkunastu lat coraz lepiej poznawana. Od sądowego mordu dokonanego na nim w 1947 roku w Łodzi pamięć o „Warszycu" – nazwanym przez PRL-owską propagandę „reakcyjnym bandytą" – podczas trwającej kilka dziesięcioleci zakłamanej oficjalnej historii broniła śladu tego człowieka tworzoną o nim legendą. Legendą powielaną w różnych wersjach i z upływem lat coraz bardziej daleką od prawdy o tym inteligentnym i zdolnym „żołnierzu wyklętym", który w 1945 roku czynnie zakwestionował porządek po jałtański, zdając chyba sobie sprawę z tragizmu takiej decyzji.

Dr Tomasz Toborek, historyk z łódzkiego Oddziału IPN, dziejami Konspiracyjnego Wojska Polskiego i postacią Sojczyńskiego zajmuje się od ponad dziesięciu lat. Pisał już o nim sporo, a teraz – znajdując wiele nowych materiałów – opublikował bogatą w fakty i nowe analizy biografię tej niezwykłej postaci.

Historia Stanisława Sojczyńskiego to jeszcze jeden przykład syna polskiej wsi, którego wymarzony awans do statusu inteligenta – okupiony wysiłkiem niezamożnej chłopskiej rodziny – zbiegł się z koniecznością trudnych wyborów narzuconych przez wojnę i jej głęboko niesprawiedliwe dla Polski zakończenie.

Plany stabilizacji życiowej załamują się, kiedy młody wiejski nauczyciel nie może cieszyć się życiem rodzinnym z żoną i trojgiem dzieci, ale musi iść na wojnę. W 1939 roku Sojczyński ma 29 lat i po ukończeniu podchorążówki jest podporucznikiem rezerwy. Po przegranej kampanii wrześniowej już jesienią zostaje w swoim rodzinnym powiecie radomszczańskim zaprzysiężony w Służbie Zwycięstwu Polski, poprzedniczce Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Toborek zwraca uwagę, jak ten niewyróżniający się w podchorążówce oficer – w opinii z wojska przełożony dostrzegł w nim jedynie „indywidualność przeciętną" – szybko zdobywa uznanie w strukturach konspiracyjnych. Już jesienią 1942 roku Sojczyński zostaje zastępcą komendanta Obwodu Radomsko AK i szefem Kedywu. W 1943 roku organizuje likwidację szefa gestapo w Radomsku i jego zastępcy w odwecie za zamordowanie we wsi Dmenin 10 przypadkowo zatrzymanych Polaków, w tym 12-letniego chłopca. Po tej

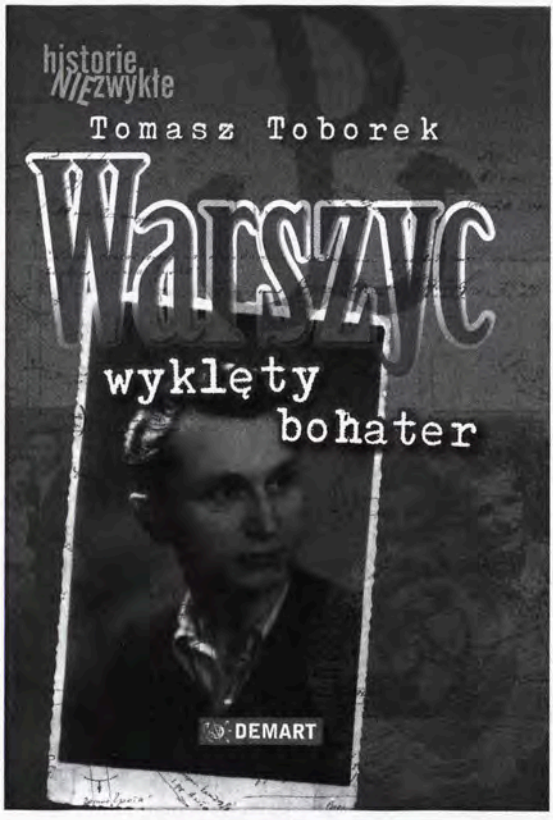

spektakularnej akcji polskiego podziemia Niemcy nie podejmują od razu represyjnych działań odwetowych. Sojczyński wysyła im ostrzegawcze listy, że na terror odpowie nową akcją. W sierpniu 1943 roku „Warszyc" przeprowadza udaną akcję na areszt w Radomsku, uwalniając bez strat własnych 50 więźniów, w tym torturowanych przez gestapo członków AK z Rzejowic, rodzinnej wsi Sojczyńskiego.

Toborek wnikliwie analizuje różne przyczyny pozostania w konspiracji Sojczyńskiego i jemu podobnych po wkroczeniu Armii Czerwonej. Oprócz przyczyn politycznych, skłaniających do najdalej idącej nieufności wobec tego „wyzwoliciela", żołnierze AK obawiali się rozbrojenia, a jednocześnie byli rozczarowani postawą dowództwa i zarządzoną jesienią 1944 roku demobilizacją.

Historyk zwraca w tym miejscu uwagę na działanie zdemoralizowanych małych grup partyzanckich związanych z komunistyczną Armią Ludową, dokonujących pospolitych rabunków we wsiach radomszczańskiego. Toborek cytuje autentyczny list Juliana Burskiego, sekretarza PPR w Częstochowie, do Bronisława Krogulca „Jastrzębia", oficera III Brygady AL, w którym działacz komunistyczny bez ogródek pisze: „Nasza taktyka musi być taka: ustalić endeckich i NSZ działaczy z nazwisk i

tych najczarniejszych po cichu wykańczać, a tłuściejszych brać na zakładników. W ten sposób będziemy ich zapędy hamować i nawet przyśpieszac ich usunięcie z tych terenów. Stasiek ma już kilka takich ptaszków i trzyma ich za zakładników". Według historyków „Stasiek" to Stanisław Hanyż, którego żołnierze uprowadzili i zamordowali dwóch AK-owców.

Decyzja Sojczyńskiego o pozostaniu w konspiracji i stawieniu zorganizowanego oporu nowej władzy osadzonej w Polsce z woli obcego państwa wynikała – jak wnioskuje Toborek – ze swego rodzaju odrazy, którą poczuł on wobec dowódców AK i ich lekceważącego stosunku do „dołów", czyli żołnierzy w terenie, zdanych na siebie, źle poinformowanych. Autor biografii cytuje fragment jego listu z 1945 roku. Sojczyński pisał: „Faktycznie doznaliśmy nowych rozczarowań tak strasznych, że osiwieć można ze zmartwień. Ale widocznie droga do prawdziwej wolności i szczęścia musi być aż tak ciężka. Im więcej najokropniejszych tragedii przeżyjemy [...] tym prawdopodobnie mniej przykrych niespodzianek doznamy w Niepodległej Polsce".

Cytując liczne dokumenty, Toborek ukazuje Sojczyńskiego jako człowieka głęboko ideowego, o dużym poczuciu sprawiedliwości i honoru. Widać, że radykalizacja jego poglądów nastąpiła po ogłoszonej w sierpniu 1945 roku przez nowe władze amnestii i „deklaracji o wyjściu z podziemia" złożonej przez płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława", którą Sojczyński uznał za zdradę ideałów AK. Czytając te listy po ponad półwieczu, możemy dostrzec przepaść pomiędzy stworzonym przez PRL-owską propagandę obrazem Sojczyńskiego jako pospolitego watażki – który nie podporządkował się demobilizacji, ale postanowił napadać, zabijać i terroryzować władze i „spokojnych obywateli" – a jego rzeczowymi postulatami, których spełnienie traktował jako warunek wyjścia z konspiracji. Wśród tych warunków widział potrzebę zwolnienia z administracji, wojska, organów bezpieczeństwa „obywateli niepolskich" (chodziło oczywiście o Rosjan) i zatrudnienie w ich miejsce oficerów i żołnierzy AK. Oczekiwał uwolnienia aresztowanych członków polskiej konspiracji. Żądał zagwarantowania wolności słowa i „możliwości mówienia prawdy o AK i jej osiągnięciach w walce z Niemcami". Domagał się wreszcie wypłacenia elementarnych zasiłków pieniężnych i odszkodowań członkom AK, byłym więźniom politycznym i Żydom „w granicach poniesionych przez nich strat materialnych".

Sojczyński rozumował tak jak obywatel państwa, które chce być demokratyczne. Kiedy nabrał pewności, że to państwo skończyło z demokracją, a Polska znalazła się pod inną okupacją, postanowił bronić przede wszystkim dorobku AK oraz zasad, które uznał w tych warunkach za konieczne. Powołując we wrześniu 1945 roku Konspiracyjne Wojsko Polskie, wiedział, że po tej decyzji nie ma już odwrotu.

Autor biografii „Warszyca" poświęcił więcej miejsca jego działalności publicystycznej niż opisom akcji opresyjnych stosowanych przez KWP. W stworzonym przez siebie piśmie *W świetle prawdy* Sojczyński z niewątpliwym talentem polemicznym i pasją rozprawiał się z kłamstwami i obłudą nowej władzy. Nie oszczę-

dzał też Stanisława Mikołajczyka, prezesa PSL, krytykując go za naiwną ugodowość i przewidując trafnie jego koniec mariażu z komunistami.

„Jeszcze bardziej krytyczne – pisze Tomasz Toborek – było stanowisko Sojczyńskiego wobec Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. «Warszyc» nazywał jego członków «przedwrześniową kliką» i wykluczał jakąkolwiek możliwość współpracy. Odmówił także współpracy z Narodowymi Siłami Zbrojnymi, ponieważ – jak podkreślił – «nie odpowiada nam ich ideologia»".

Niezwykłym i spektakularnym wyczynem „Warszyca" był ponowny atak na areszt miejski w Radomsku, dokonany w nocy z 19 na 20 kwietnia 1946 roku, który skończył się uwolnieniem 57 osób przetrzymywanych tam bez wyroku. Akcja ta, przeprowadzona bez strat, miała udowodnić sprawność organizacyjną i bojową KWP, choć pierwotnie zamierzano przeprowadzić atak na dobrze strzeżony areszt Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa. Akcja na areszt wpłynęła na ukształtowanie się legendy „Warszyca" na ziemi radomszczańskiej, która przetrwała przez wiele lat po jego śmierci.

Stanisław Sojczyński wpadł w ręce bezpieki wskutek zdrady jednego ze swoich podkomendnych, Henryka Brzózki, który poszedł na współpracę z UB. Było to pod koniec czerwca 1946 roku, kiedy wśród żołnierzy KWP następowało zmęczenie psychiczne coraz bardziej beznadziejną sytuacją. Organizacja bojowa, którą stworzył jeden niezwykły człowiek, licząca w swoim apogeum prawdopodobnie około dwóch tysięcy zaprzysiężonych żołnierzy, nie mogła przetrwać dłużej wobec coraz silniejszego przeciwnika.

Tomasz Toborek napisał ważną książkę, konstruując rzetelnie portret niezwykłego człowieka, którego losy ukształtował tragiczny czas, w jakim przyszło mu żyć. Człowieka ideowego i niewątpliwie uczciwego, choć zmuszonego do podejmowania decyzji możliwych tylko na wojnie. I Sojczyński – który w normalnych czasach byłby zapewne politykiem, publicystą lub naukowcem – taką wojnę prowadził, choć przecież nie on ją wywołał.

Gustaw Romanowski

Tomasz Toborek, *Warszyc – wyklęty bohater*, Wydawnictwo Demart, Warszawa 2013.

Z łódzkiego raptularza

STYCZEŃ 2014

6 stycznia

→ Tłumy łodzian uczestniczyły w pochodzie Trzech Króli sprzed kościoła Matki Boskiej Fatimskiej do archikatedry. Mszę św. w kościele celebrował arcybiskup Marek Jędraszewski, na czele pochodu szedł przebrany za rycerza b. prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki. Jako trzej królowie wystąpili prof. prorektor Politechniki Łódzkiej Sławomir Wiak, rektor Wyższego Seminarium Duchownego ks. Marek Marczak oraz rektor Wyższego Seminarium Duchownego ojców Franciszkanów w Łagiewnikach o. Piotr Matuszak. Trzej magowie przekazali arcybiskupowi dary, czyli mirrę, kadzidło i sztabkę złota.

7 stycznia

→ 170 aktorów przyjechało do Łodzi, aby wziąć udział w castingu do musicalu *Jesus Christ Superstar*. Spektakl przygotowuje Teatr Muzyczny. Po raz pierwszy wystawiono go na Broadwayu w 1971 roku. W Łodzi będzie wystawiony po raz pierwszy na przełomie września i października.

→ Centrum Dialogu im. Marka Edelmana przeprowadziło się do własnej placówki w Parku Ocalałych. W budynku mieści się sala wystawiennicza, dwie sale wykładowe i sala audiowizualna. Nowa siedziba pozwala na organizowanie wykładów, wystaw, spektakli teatralnych i pokazów filmowych. W dawnej siedzibie Centrum przy Placu Wolności pracować będzie biuro Festiwalu Czterech Kultur.

8 stycznia

→ Rada Miejska zawiesiła decyzję o likwidacji dwóch liceów: XXX i XXXV, ku radości uczniów i nauczycieli. Na temat likwidacji szkół dyskutowano w Radzie od dwóch lat, proponowano nawet połączenie obu liceów w jedno, ostatecznie postanowiono zachować szkoły.

→ W 2014 roku Łódź czekają remonty kolejnych ulic, m.in. Inflanckiej, św. Teresy, Jaracza i Nowotargowej. Kontynuowane będą prace nad budową trasy W-Z, budową trasy Górna, przebudową ulicy Rojnej, Łąkowej i innych. Projekty drogo-

wców i koszty prac przedstawił podczas sesji Rady Miejskiej wiceprezydent Radosław Stępień.

11 stycznia

→ W Klubie Wytwórnia rozstrzygnięto plebiscyt Energia Kultury 2013.Na pierwszym miejscu łodzianie umieścili Festiwal Kinetycznej Sztuki Światła, na drugim Murale Galerii Urban Forms, a na trzecim ustanowienie przez Dom Literatury Nagrody Literackiej im. Juliana Tuwima. Za osobę szczególnie zasłużoną dla łódzkiej kultury kapituła uznała ks. Waldemara Sondkę – od wielu lat organizatora Festiwalu Kultury Chrześcijańskiej. Narodowe Centrum Kultury przyznało Honorowa Energię Kultury Witoldowi Krawczykowi, prezesowi i założycielowi grupy Toya.

→ W Teatrze Wielkim odbyła się premiera *Cyrulika Sewilskiego* G. Rossiniego. Przedstawienie urzeka niezwykłą scenografią i kostiumami, a także dowcipnymi pomysłami. Spektakl reżyserowała Natalia Babińska, scenografię opracowała Diana Marszałek, choreografię Jakub Lewandowski, kostiumy Julia Skrzynecka. Orkiestrę prowadził Eraldo Salmieri, nowy kierownik muzyczny. W przedstawieniu wziął udział cały zespół Teatru.

12 stycznia

→ 500 wolontariuszy kwestowało w niedzielę na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Zebrało ok. 190 tys. złotych. Tegoroczna kwesta odbywała się pod hasłem *Na ratunek najmłodszym i najstarszym pacjentom*. Zebrane fundusze pozwolą na zakup aparatury medycznej do szpitali na oddziały pediatrii i geriatrii.

→ 10 milionów złotych uzyskanych ze sprzedaży działki przeznaczonej pod budowę Bramy Miasta prezydent Łodzi Hanna Zdanowska przeznaczyła na realizację projektów z budżetu obywatelskiego. W sumie w 2014 roku w Łodzi na realizację tych projektów zostanie przeznaczonych 30 milionów złotych.

15 stycznia

→ Sąd Okręgowy unieważnił umowę na projekt Specjalnej Strefy Sztuki. Po uprawomocnieniu się wyroku miasto straci prawa do projektu, za który już zapłaciło 17 mln zł niemieckiej firmie architektonicznej Möller Architekten + Ingeniedure.

→ Dyskusja radnych nad budżetem miasta na rok 2014 trwała cały dzień. Radni wprowadzili wiele poprawek.

→ W 72 rocznicę likwidacji obozu cygańskiego przy ulicy Wojska Polskiego 84 przedstawiciele społeczności romskiej oraz władz i organizacji społecznych złożyli kwiaty

i przypomnieli o tragedii sprzed lat. Na terenie obozu Niemcy stłoczyli w nieludzkich warunkach kilka tysięcy Romów, głównie austriackich. Połowę uwięzionych stanowiły dzieci. Kiedy wybuchła epidemia tyfusu i więźniowie zaczynali umierać, Romów wywieziono do obozu w Chełmnie nad Nerem, gdzie w samochodach ciężarowych zagazowano 4,3 tys. osób. Obchody zorganizowało Centrum Dialogu wspólnie z Muzeum Tradycji Niepodległościowych.

→ W rankingu szkół średnich miesięcznika edukacyjnego „Perspektywy" dwunaste miejsce w Polsce zajęło I Liceum Ogólnokształcące im. M. Kopernika, a spośród szkół zawodowych na ósmym miejscu ulokowało się Technikum nr 10 im. Jana Szczepanika z ul. Strykowskiej.

17 stycznia

→ W 2005 roku łódzcy maturzyści odpowiedzieli na apel „Gazety Łódzkiej" i tłumnie stawili się na ulicy Piotrkowskiej, aby tradycyjnie zatańczyć poloneza z prezydentem miasta, wojewodą i marszałkiem. Uczestnicy otrzymywali pamiątkowe zdjęcie i certyfikat. Utarło się przekonanie, że wspólny taniec przynosi szczęście podczas egzaminów. W tym roku z powodu remontu ulicy Piotrkowskiej maturzyści rozpoczęli taniec na Placu Wolności i tańczyli na Piotrkowskiej do ulicy Próchnika. Aby tradycji stało się zadość, przy Piotrkowskiej 3 ustawiono ławeczkę Tuwima sprzed Urzędu Miasta. Potarcie nosa poety też ma zapewnić maturalny sukces.

19 stycznia

→ 19 stycznia 1939 roku do Łodzi dotarły wojska radzieckie. Dwa dni wcześniej hitlerowcy zamordowali 1500 więźniów w więzieniu na Radogoszczu. W 69 rocznicę masakry przed budynkiem wiezienia odbyła się uroczystość z udziałem duchownych różnych wyznań, którzy modlili się za wszystkich zabitych. Rocznicowej uroczystości nie dożył już żaden z 30 ocalałych więźniów.

→ W Teatrze Jaracza wystawiono *Iwonę, księżniczkę Burgunda* w reżyserii Agaty Dudy-Gracz. Kostiumy zaprojektowała reżyser. Muzykę skomponowali: Maja Kleszcz i Wojciech Krzak, choreografię opracował Tomasz Wesołowski.

22 stycznia

→ W Klubie 6 Dzielnica odbył się pokaz animacji z dorobku łódzkiej Szkoły Filmowej. Pokaz poprzedziła rozmowa z Piotrem Kardasem, animatorem kultury i inicjatorem Ogólnopolskiego Festiwalu Polskiej Animacji O!PLA.

23 stycznia

→ W Poleskim Ośrodku Sztuki gościła Anna Applebaum, amerykańska dziennikar-

ka i pisarka mieszkająca w Polsce, stała komentatorka „Washington Post", autorka monografii *Gułag*, za którą otrzymała Nagrodę Pulitzera. Najnowsza książka A. Applebaum *Za żelazną kurtyną. Ujarzmienie Europy Wschodniej 1944-1956* opisuje życie w komunistycznym reżimie pod egidą Związku Radzieckiego.

25 stycznia

→ W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę *Prime Time 2013*.Wystawa prezentuje 35 najciekawszych dyplomów obronionych w łódzkiej ASP w 2013 roku. Są wśród nich prace nagrodzone medalami przyznanymi przez jury złożone z przedstawicieli uczelni i Muzeum. Złoty medal otrzymała Monika Gromadzińska za kolekcje ubioru *Bless me*, srebrny medal przypadł w udziale Danucie Włodarskiej za prace *Stół – symbolgrafia*, a brązowy otrzymał Stanisław Matsilevich, autor zestawu grafik.

→ Międzynarodowe Dni Pamięci o Ofiarach Holokaustu zainaugurował w Łodzi panel dyskusyjny w Teatrze Jaracza z udziałem naukowców z Uniwersytetu Łódzkiego oraz pokaz filmu *Portrecista* w reżyserii Ireneusza Dobrowolskiego. Można było także obejrzeć spektakle teatralne: *Umrzeć z tęsknot. Najpiękniejsze piosenki żydowskie i Cyjanek o piątej.*

→ W ms2 otwarto wystawę *Atlas nowoczesności. Kolekcja sztuki XX i XXI wieku.* Znalazły się na niej prace awangardowych twórców grupy „a.r.", m.in. Katarzyny Kobro, Władysława Strzemińskiego i Maxa Ernsta. Prace te, gromadzone w latach 1929-1932, dały początek kolekcji sztuki nowoczesnej Muzeum. Ciekawostką jest dawno niepokazywany olejny obraz namalowany przez Andrzeja Wajdę pt. *Mózg hydraulika.*

29 stycznia

→ Toczy się proces sadowy o odzyskanie pięknej zabytkowej kamienicy przy ulicy Piotrkowskiej 86, czyli Kamienicy pod Gutenbergiem. Kamienicę wybudował w 1897 roku drukarz Jan Petersilge według projektu dwóch znanych architektów: Kazimierza Pomiana- Sokołowskiego i Franciszka Chełmińskiego. Trzy lata temu miasto odnowiło budynek kosztem miliona złotych… O odzyskanie kamienicy zabiega wnuczka spadkobierców Dorota Newman, mieszkająca na stałe w USA. Odbyły się już dwie rozprawy sądowe.

31 stycznia

→ Założony 31 lat temu przez Pawła Gumolę zespół Moskwa nadal gra i cieszy się uznaniem fanów. W Łodzi wystąpił w klubie Scenografia w składzie: Paweł Gu-

mola, Kamil Rogiński, Radek Jarzyna. Zespół ma w repertuarze muzykę rockowa, punk i nowe pomysły.

ODESZLI:

15 stycznia

→ Eugeniusz Haneman – wybitny artysta, fotograf Powstania warszawskiego, operator Polskiej Kroniki Filmowej oraz Wytwórni Filmów Oświatowych. Profesor łódzkiej filmówki, z którą był związany przez pół wieku. Uwielbiany przez młodzież pedagog, wychowawca wielu pokoleń polskich operatorów, fotografów i filmowców. Zmarł w wieku 96 lat. Został pochowany na cmentarzu ewangelicko-augsburskim w Warszawie. Profesora żegnali licznie zgromadzeni przyjaciele i uczniowie z Łodzi.

28 stycznia

→ Jerzy Woźniak – operator, reżyser filmowy, telewizyjny i teatralny. Przez 40 lat związany z łódzką Szkołą Filmową, rektor tej uczelni w latach 2002-2008, pedagog, wychowawca wielu pokoleń filmowców, były współpracownik Teatru Wielkiego w Łodzi, Teatru Muzycznego, współtwórca telewizji regionalnej w Łodzi, pomysłodawca Międzynarodowego Festiwalu Szkół Filmowych i Telewizyjnych Mediaschool.

LUTY 2014

1 lutego

→ W Teatrze Pinokio odbyła się premiera opartej na motywach opowiadań R. Kiplinga *Księgi Dżungli* w adaptacji Moniki Żarneckiej. Spektakl reżyserował Przemysław Jaszczak, kostiumy i scenografia autorstwa Zofii Łubieńskiej, muzyka Mileny Kranik, teksty piosenek Maliny Prześlugi. Przedstawienie jest adresowane do dzieci powyżej ośmiu lat.

3 lutego

→ Łodzi przybył oryginalny hotel Stare Kino. Znajduje się w kamienicy przy Piotrkowskiej 120, w której sto lat temu bracia Krzemińscy uruchomili pierwszy w Polsce kinematograf. Hotel oferuje gościom 22 apartamenty, każdy z nich jest inny i nosi nazwę filmu lub serialu kręconego w Łodzi. Hotel założyła firma RR Office, reprezentowana przez Radosława Trzebę i Radosława Garnysa.

4 lutego

→ Ks. Wojciech Lemański i Anna Wacławik-Orpik, autorka książki *Z krwi, kości i wiary*, byli gośćmi Poleskiego Ośrodka Sztuki. Dyskusja toczyła się wokół trudnych problemów współczesnego Kościoła w Polsce i w Europie, relacji kapłani – wierni oraz kapłani – przełożeni. Wracano do problemów związanych z pedofilią i innymi wykroczeniami duchownych.

7 lutego

→ „Gazeta Wyborcza" opublikowała polemiki z artykułem Michała Matysa *Łódź, miasto przeklęte*, zamieszczonym w Gazecie 1 lutego br. Matys, który pisał o upadku miasta, spowodował, iż jego oponenci zaczęli dostrzegać w Łodzi więcej pozytywów oraz myśleć o mieście bardziej konstruktywnie.

→ 25 lat temu zmarł Jerzy Katarasiński, dziennikarz, krytyk i publicysta kulturalny, redaktor prasy podziemnej, zaangażowany po stronie walczącej o wolność opozycji demokratycznej.

→ Centrum Dialogu im. Marka Edelmana oraz Klub Kuriera zorganizowali cykl wykładów poświęconych Janowi Karskiemu. Pierwsze zajęcia prowadzili Szymon Pawlak i Kamila Wesoła.

6 lutego

→ Przemysław Owczarek, antropolog, poeta, pisarz, promował w Domu Literatury swoją najnowszą książkę *Miasto do zjedzenia*. Intencją autora było przepracowanie miasta na sposób dionizyjski – wesoły, absurdalny i groteskowy.

7 lutego

→ Teatr Mały wystawił skecz kabaretowy Adama Longa, Daniela Singera i Jessa Wirfielda, czyli *Dzieła wszystkie Szekspira w nieco skróconej wersji*, w tłumaczeniu i reżyserii Włodzimierza Kaczkowskiego.

8 lutego

→ Na scenę Teatru Wielkiego po siedmiu latach od premiery wróciła *Aida* G. Verdiego. Spektakl reżyserował Marek Weiss-Grzesiński, scenografię opracował Paweł Dobrzycki, choreografię – Izadora Weiss, kostiumy – Maria Balcerek. Dyrygował Tadeusz Kozłowski.

9 lutego

→ Teatr Fabryczny, istniejący od 2005 roku i specjalizujący się w spektaklach happeningowych, wystawił w Ośrodku Propagandy Sztuki *Scherzo Pizzicato* (Taki

sobie żart) w reżyserii Marka Strąkowskiego. Reżysera zainspirowała twórczość Tytusa Czyżewskiego, awangardowego malarza i poety z okresu międzywojennego. Tłem dla występujących aktorów był nawiązujący do stylistyki dadaistycznej film reżysera spektaklu zmontowany przez Jakuba Romanowicza.

12 lutego

→ Wszyscy radni Rady Miejskiej w Łodzi głosowali za zwiększeniem budżetu obywatelskiego do 40 mln złotych. Kilka godzin później grupa radnych wraz z prezydent Hanną Zdanowską udała się do Domu Dziennego Pobytu przy ulicy Wrocławskiej 10, którego pensjonariusze otrzymali nowe pianino zakupione właśnie z budżetu obywatelskiego. Radni opozycji nie zgodzili się na przekazanie w ramach poprawek budżetu 300 tys. zł na podwyżki dla pracowników Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej.

→ Rada Miejska zadecydowała o wniesieniu pomnika Lecha Kaczyńskiego w południowej części placu Komuny Paryskiej. Pieniądze na pomnik będzie zbierał Ruch Społeczny im. Prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Kaczyńskiego.

→ 19 studentów z V roku Wydziału Aktorskiego PWSFTViT założyło Teatr Zamiast w budynku dawnej Widzewskiej Manufaktury przy ulicy Piłsudskiego. Na wyposażenie teatru złożyły się dary instytucji. Dużą pomoc rzeczową okazali rodzice studentów. Na pierwszą premierę przygotowali spektakl *Targowiska, czyli historia rozkładu pana HJ*, według tekstu i w reżyserii Magdy Drab.

14 lutego

→ Manufaktura zajęła pierwsze miejsce w plebiscycie na najważniejsze wydarzenie w 25-leciu Łodzi. Na drugim miejscu umieszczono upadek przemysłu włókienniczego w Łodzi, a na trzecim zbudowane autostrady. Za najważniejszą osobę uznano dr. Marka Edelmana. Na drugim miejscu znalazł się Jan Machulski, a na trzecim Marek Belka.

16 lutego

→ W Europejskim Centrum Kultury Logos została otwarta wystawa malarstwa Ageliki Brzostowskiej-Pociechy. Autorka jest absolwentką Wydziału Grafiki i Malarstwa ASP w Łodzi oraz slawistyki na UŁ. W swojej sztuce inspiruje się ikoną tworząc w obrazach aluzyjną atmosferę zbliżoną do tradycji sztuki religijnej.

17 lutego

→ Andrzej Wajda spotkał się z prezydent Łodzi Hanną Zdanowską, której przedstawił swój plan nakręcenia filmu o Władysławie Strzemińskim. Reżyser zabiegał o wsparcie finansowe projektu.

19 lutego

→ *Najdłuższe pół wieku. Kalendarium Łodzi 1939-1989* to tytuł albumu przygotowanego przez zespół autorów: Krzysztofa. G. Latochę, Artura Ossowskiego, Pawła Spodenkiewicza i Magdalenę Zapolską-Downar z Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi. Książka stanowi syntezę historii miasta w latach nazistowskiej i komunistycznej utopii. Album wraz z dwoma propagandowymi filmami zaprezentowano czytelnikom w Domu Literatury.

→ Muzeum Miasta Łodzi i Teatr Lalek „Arlekin" przygotowały wystawę złożoną z niewykorzystanych projektów scenograficznych malarza Lecha Kunki.

20 lutego

→ W Klubie Nauczyciela w ramach Akademii Literatury Polskiej z czytelnikami spotkał się Piotr Paziński, autor powieści *Pensjonat* nagrodzonej Europejską Nagrodą Literacką, paszportem „Polityki" i nominowaną do nagrody Nike. Od 2000 roku Paziński jest naczelnym redaktorem „Midrasza", miesięcznika związanego ze wspólnotą polskich Żydów.

21 lutego

→ Podczas XX Targów Regiony Turystyczne Na Styku Kultur walory turystyczne i propozycje aktywnego spędzania wolnego czasu przedstawiło 150 wystawców z Polski i z zagranicy. Hasłem targów była turystyka konna. Zwiedzający targi mogli się także spotkać z podróżnikami oraz uczestniczyć w wycieczkach i konkursach.

→ Na ulicach Łodzi pojawią się pedagodzy z MOPS-u, których zadaniem będzie dotrzeć do pozbawionych opieki, głodnych dzieci przebywających na ulicach miasta. W mieście przybywa takich dzieci, pozbawionych nie tylko opieki, ale także pomocy.

→ Łodzianie zebrali się na Placu Wolności w geście poparcia dla protestujących na kijowskim Majdanie. Poległych uczcili minutą ciszy, odśpiewali hymny ukraiński i polski, a pomnik Kościuszki opasali flagą ukraińską. Prezydent Hanna Zdanowska poinformowała, że szpital Jonschera przyjmie rannych ze Lwowa – partnerskiego miasta Łodzi. Studentka Nadia Pervak dziękowała za poparcie w imieniu swoich rodaków. Pikiety i listy popierające walczących na Majdanie zorganizowali także studenci Uniwersytetu Łódzkiego i Okręgowa Rada Adwokacka.

22 lutego

→ Cezary Bodzianowski został laureatem Nagrody im. Katarzyny Kobro przyznawanej artystom przez artystów z inicjatywy Józefa Robakowskiego. Laureat działa

wyłącznie w przestrzeni publicznej, jest pełen fantazji i poczucia humoru. Na uroczystość wręczenia nagrody w Muzeum Sztuki artysta przygotował film dokumentalny pt. *Muralu, czy ci nie żal*.

→ W Teatrze Studyjnym studenci IV roku Wydziału Aktorskiego przy współpracy z Teatrem im. W. Bogusławskiego w Kaliszu pokazali przedstawienie *Marat Sade* Petera Weissa w reżyserii Rudolfa Zioło.

→ W Teatrze Arterion Marek Kasprzyk wystawił *Edukacje Rity* Willego Russella, sztukę opartą na motywach *Pigmaliona* B. Shawa.

24 lutego

→ W Warszawie uroczyście zainaugurowano Rok Oskara Kolberga. Prezydent Bronisław Komorowski odznaczył z tej okazji w Belwederze grono osób zasłużonych dla kultury ludowej, wśród nich Em. prof. dr hab. Bronisławę Kopczyńską-Jaworską. Nestorka łódzkiej etnografii została uhonorowana Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Od początku pracy zawodowej była związana z Uniwersytetem Łódzkim.

→ 15 tys. fanów przybyły do Atlas Areny w Łodzi na koncert brytyjskiego zespołu Depeche Mode. Muzycy promowali najnowszą płytę *Delta machine*, uznawaną za jedną z najlepszych w dorobku zespołu. Ze względu na tragiczne wydarzenia na Ukrainie zespół odwołał koncert w Kijowie i dłużej pozostał w Łodzi.

25 lutego

→ Łódź czci Jana Karskiego, patrona roku 2014. W Wojewódzkiej Bibliotece im. J. Piłsudskiego gościł prof. Marian Marek Drozdowski, autor biografii *Jan Karski - Kozielewski (1914-2000)*. Profesor opowiadał m.in. o swoich spotkaniach ze słynnym kurierem.

→ W Centrum Dialogu im. Marka Edelmana zaprezentowano *Fotobiografię* Jana Karskiego, opracowaną przez grafika Macieja Sadowskiego. Album wydało wydawnictwo Veda w polsko-angielskiej wersji językowej. W spotkaniu wzięli udział Maciej Sadowski i wydawca Sławomir Rybałtowski. W przygotowaniu jest polsko-francuska wersja książki.

→ W Świetlicy Krytyki Politycznej Edyta Pietrzak, politolożka i antropolożka z Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej, w ramach cyklu edukacyjnego *Elementarz gender* wyjaśniała, w jaki sposób płeć wpływa na życie publiczne.

→ Łukasz z Bałut to pseudonim bałuckiego barda, muzyka i rapera, organizatora Festiwalu Kultury Bałuckiej, który w 2012 roku zadebiutował filmem *Opowieść o smutku*. Film pokazała publiczności kawiarnia Owoce i Warzywa.

26 lutego

→ W kawiarni Niebostan wystąpił z prelekcją prof. Michael Fleischer, wykładowca z Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Profesor wraz z zespołem prowadził badania nad stylem życia mieszkańców polskich miast, w tym także mieszkańców Łodzi.

→ Emil Andreev, bułgarski pisarz, dramaturg, autor scenariuszy filmowych tłumaczonych na wiele języków europejskich, m.in. na język polski, spotkał się z czytelnikami w Domu Literatury. Podczas spotkania studenci z Katedry Slawistyki Południowej UŁ prezentowali tłumaczenia prozy Andreeva.

27 lutego

→ Nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego ukazała się praca zbiorowa pod redakcją Ingi Kuźmy *Trudne tematy badawcze*. Autorzy książki, antropolog kultury, socjolodzy, historyk, pedagog i psycholog kliniczny, podczas spotkania w siedzibie łódzkiego Oddziału Polskiej Akademii Nauk podzielili się z czytelnikami swymi refleksjami m.in. na temat barier w badaniach naukowych, wymogami etycznymi, na które napotykali w badaniach, i relacjami, jakie zachodzą między badaczem a badanym.

→ Magistrat przygotowuje się do systematycznej odnowy Śródmieścia. Na pierwszym planie znalazła się ulica Włókiennicza. Miastu chodzi nie tylko o remont kamienic, ale również o ożywienie gospodarcze i kulturalne okolicy, o powrót do godnego życia osób, które często nie z własnej winy znalazły się na marginesie. Mieszkańcy, którzy nie zaaprobują zmian, otrzymają propozycję zamiany mieszkania w innych dzielnicach.

→ Klubokawiarnia Niebostan rozpoczęła cykl spotkań pt. *Literatura najnowsza dla średniozaawansowanych*. Pierwsze spotkanie poświęcono *Włoskim szpilkom* Magdaleny Tulli, laureatki Nagrody Literackiej im. Juliana Tuwima. Spotkanie prowadził prof. Tomasz Bocheński z Uniwersytetu Łódzkiego.

→ Muzeum Miasta Łodzi zorganizowało dzień chiński. Zaplanowało pokaz walk kungfu, naukę parzenia herbaty i koncert chińskiej muzyki.

PERSONALIA:

→ Zbigniew Kuleta został nowym komendantem Straży Miejskiej. W Straży pracuje od 21 lat, przeszedł przez wszystkie szczeble zawodowej kariery. Zapowiedział, że strażnicy nie będą konkurować z policjantami, ale się wzajemnie uzupełniać oraz przywiązywać większą wagę do wykroczeń godzących w estetykę miasta i spokój mieszkańców.

ODESZLI:

30 stycznia

→ Andrzej Żarnecki – aktor i reżyser teatralny. W latach 1956-59 występował w Teatrze Młodej Warszawy, w latach 1959-64 w Teatrze Klasycznym, 1964-69 w Teatrze Narodowym, 1971-72 w Teatrze Ludowym w Warszawie. W latach 1975-80 był związany z Teatrem Nowym w Łodzi, do którego wrócił w latach 2000-2006. Pracował także w Teatrze Muzycznym w Łodzi.

4 lutego

→ Grażyna Dłużniewska – włókniarka, b. pracownica ZPB im. J. Marchlewskiego, wspólnie z mężem Jerzym Dłużniewskim działała w podziemnych strukturach NSZZ Solidarność. W 2012 r. została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

9 lutego

→ Jakub Wujek – architekt, prof. Politechniki Łódzkiej. Zaprojektował wiele budynków w mieście, m. in. halę sportową w Parku 3 Maja, biurowiec Orange Plaza, Galerię Łódzką, kościół przy ul. Pienistej, bank przy Zgierskiej oraz osiedle Radogoszcz Wschód. Projektował także wystawy artystyczne. Pochowany został w Alei Zasłużonych na Cmentarzu na Dołach.

22 lutego

→ Stanisław Marian Zajączkowski – historyk, prof. zw. dr hab. UŁ. Od początku pracy zawodowej związany z Łodzią, specjalista z zakresu historii Polski średniowiecznej, wybitny znawca wojskowości i osadnictwa na terenie Polski centralnej., b. dyrektor Instytutu Historii UŁ, autor licznych prac naukowych, przez 50 lat aktywnie działał w Polskim Towarzystwie Historycznym. Wieloletni przewodniczący Komitetu Okręgowego Olimpiady Historycznej w Łodzi popularyzował wiedzę historyczną wśród młodzieży szkolnej.

23 lutego

→ Krzysztof Güttler – dr nauk humanistycznych, sekretarz Rady Koordynacyjnej, wieloletni dyrektor Zarządu Administracyjnego Oddziału PAN w Łodzi.

MARZEC 2014

3 marca

→ Pod hasłem „Superman też był adoptowany" Archidiecezjalny Ośrodek Adopcyjny (najstarsza tego typu katolicka placówka w kraju) obchodził 25-lecie. Dzięki działalności Ośrodka rodzinę znalazło 1630 dzieci. Z doświadczeń Ośrodka wynika, że najtrudniej znaleźć rodziców dla dzieci powyżej czwartego roku życia oraz bliźniąt i trojaczków.

4 marca

→ W Łodzi, podobnie jak w innych miastach, znika tradycja zabaw ostatkowych i przebierańców. Łodzianie w ostatkowe wtorki pracują, przebierańców boimy się wpuszczać do mieszkań, czas na zabawę mają jedynie emeryci. Puby i kluby pełne były natomiast na karnawałowych zabawach w ostatnią sobotę karnawału.

→ W zabytkowej, gruntownie odnowionej farbiarni przy Gdańskiej 132 otwarto siedzibę towarzystwa UNIQA, największej firmy ubezpieczeniowej w Polsce. Firma zatrudnia w Łodzi ponad 400 pracowników.

5 marca

→ Z okazji Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych" oddział IPN w Łodzi zorganizował spotkanie pod hasłem *Dialog literatury z historią* z udziałem poety Przemysława Dakowicza i dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka, pełnomocnika IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego.

→ Wydział Kultury UMŁ ogłosił wyniki konkursu na dotacje festiwali miejskich. Największe dofinansowanie otrzymał Festiwal Kinetycznej Sztuki Światła, następnie Retro/Per/Spektywy Stowarzyszenia Teatralnego Chorea, Festiwal Krytyków Sztuki Filmowej Kamera Akcja i Se-Ma-For Film Festival, Forum Kina Europejskiego „Cinegria" i Tansman 2014. Kilkanaście festiwali otrzymało dotacje w wysokości nieprzekraczającej 50 tys. zł.

→ Kilkuset rolników manifestowało przed Urzędem Wojewódzkim w Łodzi. Rolnicy domagali się od władz rekompensaty za straty, które ponoszą w powodu za-

mknięcia dla polskich hodowców rynków wschodnich w związku z wykryciem przypadków afrykańskiego pomoru wśród trzody chlewnej.

→ W Domu Towarzystwa Kredytowego ogłoszono wyniki plebiscytu „Gazety Co Jest Grane". Łódzką Płytą Roku 2013 została *Wyspa*, czwarty album grupy Bruno Schulz, istniejącej na łódzkiej scenie muzycznej od dziesięciu lat. Zwycięzcy planują jesienią trasę koncertową po Polsce.

6 marca

→ W Łodzi powstanie Centrum Treningu Umiejętności Społecznych, które pomoże bezdomnym i innym osobom znajdującym się w trudnych sytuacjach życiowych przygotować się do samodzielnego życia. Placówka będzie finansowana przez magistrat, a kierowana przez organizację pozarządową.

→ Stowarzyszenie Topografie przy współpracy Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej przygotowuje w Łodzi grę planszową o polskim kinie pt: *Tajemnica ostatniego seansu*. Wszystkie filmy wymieniane w grze będzie można za darmo obejrzeć w serwisie You Tube.

→ W przededniu 15 rocznicy wstąpienia Polski do NATO 32 Bazę Lotnictwa Taktycznego w Łasku, w której szkolą się polscy i amerykańscy lotnicy, odwiedził prezydent Bronisław Komorowski w towarzystwie ministra obrony narodowej Tomasza Siemioniaka. Prezydent spotkał się z żołnierzami i obserwował start czterech samolotów F-16.

9 marca

→ Pasażerowie podróżujący pociągami InterRegio na trasie Łódź – Warszawa mogą korzystać z promocyjnych biletów za złotówkę. Bilety rezerwowane wyłącznie w internecie obowiązują na wybrane połączenia do Warszawy i odwrotnie w określonych godzinach.

→ Prof. Olga Goldbergowa z Uniwersytetu Hebrajskiego, *visiting profesor* na Uniwersytecie Łódzkim, przedstawiła łodzianom tradycyjną sztukę Żydów polskich, czyli wycinankę. Wykład odbył się w Oddziale Kultur i Tradycji Wyznaniowych – Muzeum Historii Miasta w cyklu *Lubię wiedzieć*.

10 marca

→ Łódzki Urząd Skarbowy przeniósł się ze starego budynku do nowej siedziby przy al. Kościuszki. W wyremontowanej kamienicy urzędnicy znaleźli godne warunki do pracy, a interesanci mogą korzystać również z informatyzacji. Instytucja ta

obsługuje firmy z terenu województwa łódzkiego, które posiadają przychody ze sprzedaży powyżej pięciu mln euro rocznie oraz są zarządzane przez obcokrajowców lub z kapitałem obcym.

11 marca

→ O wydarzeniach związanych z marcem 1968 roku opowiadał w Centrum Dialogu im. Marka Edelmana historyk Andrzej Czyżewski z Oddziału IPN w Łodzi.

→ Mała Literacka zorganizowała panel pod hasłem *Tłumacz w teatrze*. Dyskusję prowadzili: prof. Małgorzata Sugiera z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Piotr Olkusz z Uniwersytetu Łódzkiego. W spotkaniu udział wzięli tłumacze: Karolina Bikont (jęz. niemiecki), Agnieszka Piotrowska (jęz. rosyjski), Monika Muskała (jęz. niemiecki) oraz Piotr Olkusz (języki romańskie).

12 marca

→ Zdzisław Szczepaniak, dziennikarz, pisarz, poeta, aktor i żeglarz, obchodził 50-lecie pracy twórczej. Jubileusz w Bibliotece im. J. Piłsudskiego zgromadził przyjaciół i czytelników jubilata, który zaimponował obecnym kondycją i licznym talentami.

12 marca

→ Doktoranci Uniwersytetu Łódzkiego, Politechniki, Uniwersytetu Medycznego i Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN zawarli Łódzkie Porozumienie Doktoranckie. Wzorem porozumień funkcjonujących w innych miastach doktoranci w Łodzi będą się wspólnie starać o fundusze europejskie i granty na duże interdyscyplinarne projekty.

→ Centrum Zdrowia Psychicznego EOS to pierwsza w Łodzi spółdzielnia socjalna założona przez kilku bezrobotnych psychologów i pedagogów. Placówka oferuje szeroki kompleks porad dla dorosłych i młodzieży w różnych sytuacjach życiowych. Planowane są warsztaty dla niepełnosprawnych i seniorów.

13 marca

→ Po raz siedemnasty zorganizowano w Łodzi Targi Edukacyjne. Wśród 150 wystawców znalazły się gimnazja, szkoły zawodowe, licea ogólnokształcące, technika i uczelnie z całego kraju.

→ W świetlicy Krytyki Politycznej wystąpił Wojciech Orliński, autor książki *Internet. Czas się bać*.

14 marca

→ Twórczość Pauline Boty, przedwcześnie zmarłej w wieku 28 lat artystki związanej z brytyjską sceną pop-artu, jest praktycznie nieznana w Polsce. Muzeum Sztuki w Łodzi posiadało tylko jeden obraz artystki pt. *Moja książka do malowania*. Obecnie prace Boty oraz obrazy Petera Blake'a, Patricka Caulfielda i Allena Jonesa można oglądać na wystawie w ms2.

→ W Galerii Manhattan wystawiła swoje prace Dorota Nieznalska, popularna przedstawicielka polskiej sztuki krytycznej. Łódzka wystawa nosi tytuł *Mowa nienawiści* i nawiązuje do subkultury kiboli.

→ Igor Czetujew, pianista z Ukrainy, laureat międzynarodowych nagród i konkursów, zagrał w Filharmonii Łódzkiej ostatni fortepianowy koncert Mozarta nr 27 B-dur KV 595. Orkiestrą dyrygował Daniel Raiskin.

→ *Bałuckie chronotopy. Opowieść o łódzkiej dzielnicy* to tytuł książki dr Aleksandry Krupy-Ławrynowicz z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Łódzkiego. Autorka zaprezentowała książkę i efekty swoich badań podczas cyklicznego spotkania organizowanego przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze w Łódzkim Domu Kultury.

15 marca

→ Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Teatrze Powszechnym obchodzi 20-lecie. Hasłem przewodnim jubileuszowej edycji są *Mistrzowie*, a otworzył ją spektakl pt. *Nietoperz* Katy Weber w reżyserii Węgra Kornela Mundruczo, przygotowany przez Teatr Powszechny z Warszawy. Festiwalowi towarzyszyła wystawa plakatów teatralnych Waldemara Świerzego i Andrzeja Pągowskiego.

→ Teatr Pinokio przygotował kolejną propozycję dla najmłodszych widzów w wieku od dwóch do pięciu lat. *Echy i achy, chlipy i chachy* opowiadają o emocjach. Reżyserem spektaklu jest Honorata Mierzejewa-Wojciechowska. Wystawę pt. *Teatr FOTOgrafii* przygotował Przemysław Wiśniewski.

→ W pierwszym łódzkim dyktandzie pod tytułem *A ja Łódź wolę*, ułożonym przez Dariusza Chętkowskiego, polonistę z XXI LO, wzięło udział 200 osób. I miejsce zajęli Magdalena Zytek, Marek Cieślik i Maria Zalasa. II – Agnieszka i Michał Gargół, III – Jan Chwalewski. Zwycięzcy otrzymali nagrody pieniężne ufundowane przez inwestora Centrum Handlowo-Rozrywkowego Sukcesja.

→ Porywisty wiatr złamał krzyż wieńczący wieżę kościoła ewangelicko-augsbur-

skiego pw. św. Mateusza. Trudne warunki atmosferyczne i brak odpowiedniego sprzętu utrudniały strażakom i alpinistom zdjąć uszkodzony krzyż. Teren dookoła świątyni zabezpieczono, a komunikację miejską skierowano przez kilka godzin na inne trasy. Krzyż zdjęła ekipa ratownictwa wysokościowego.

16 marca

→ W Galerii Europejskiego Centrum Kultury Logos otwarta została wystawa Michała Rybińskiego „Zachowaj czystość idei". Jej autor, asystent w Pracowni Malarstwa i Rysunku prof. Wojciecha Ledera łódzkiej ASP, przedstawił obrazy i instalacje powstałe w latach 2007-2013. W abstrakcyjnych pracach odwołujących się do sztuki materii – w których pojawia się zgeometryzowany kształt krzyża – artysta przedstawia świat idei oparty na kontrastach „brudu i czystości", symbolizujący konflikt dobra i zła.

17 marca

→ W Bibliotece im. J. Piłsudskiego otwarto wystawę *Oskar Kolberg (1814-1890). Kompozytor. Folklorysta. Etnograf.* Prelekcję przybliżającą życie i twórczość Kolberga, patrona roku 2014, wygłosiła Katarzyna Markiewicz, dyrektorka Muzeum im. Oskara Kolberga w Przysusze.

18 marca 2014

→ W salonie wystawowym Re:Medium Miejska Galeria Sztuki zorganizowała spotkanie z Leszkiem Rózgą, wybitnym artystą grafikiem, obchodzącym 90 urodziny. Znajdujący się w świetnej formie artysta wygłosił błyskotliwe przemówienie do licznie zebranych wielbicieli jego twórczości, dawnych uczniów reprezentujących kilka pokoleń absolwentów łódzkiej ASP oraz pokaźnego grona przyjaciół. Tłem spotkania była ekspozycja ukazująca kilka historycznych etapów dorobku tego niezwykle pracowitego twórcy.

→ W kinie Bałtyk uczniowie gimnazjów i szkół średnich w ramach *Kina na temat* obejrzeli film *Kamienie na szaniec* w reżyserii Roberta Glińskiego. Po projekcji z historykiem dr. Mikołajem Mirowskim dyskutowano o współczesnym patriotyzmie.

20 marca

→ W Poleskim Ośrodku Sztuki rektor FilmówkiMariusz Grzegorzek i reżyser Mariusz Wilczyński zaprezentowali album *Powidoki*, wydany z okazji 65-lecia Szkoły. Publikacja zawiera wspomnienia, fotografie i eseje związane z twórcami, którzy tworzyli legendę łódzkiej uczelni filmowej.

→ Po raz 15. zorganizowano w Łodzi Kolorową Tolerancję.W Centrum Dialogu zastanawiano się nad zjawiskami mowy nienawiści pojawiającej się na murach. W dyskusji wzięli udział: socjolog Andrzej Rostocki, pastor Semko Koroza z parafii Ewangelicko-Reformowanej w Łodzi, wykładowca ADSP Artur Chrzanowski i dyrektorka Centrum Dialogu Joanna Podolska.

21 marca

→ *Budżet obywatelski – szanse i zagrożenia* to tytuł konferencji naukowej, którą zorganizowała Społeczna Akademia Nauk wspólnie z Urzędem Miasta Łodzi. Referaty omawiające różne aspekty budżetu partycypacyjnego przygotowali pracownicy naukowi uczelni: prof. Jolanta Kopka, dr Marek Krawiec, dr Jarosław Sułkowski. Doświadczeniami w tworzeniu budżetu obywatelskiego podzielili się z uczestnikami konferencji radna Urszula Niziołek-Janiak, dyrektor Biura ds. Partycypacji Społecznej Grzegorz Justyński oraz Katarzyna Mikołajczyk z Fundacji Fenomen i Przemysław Górski ze Stowarzyszenia Topografie.

→ Kolorowa Tolerancja otworzyła dla zwiedzających świątynie i cmentarze należące do różnych grup wyznaniowych. Pod opieką przewodnika można było zwiedzać m.in. cerkiew Aleksandra Newskiego, kościół katolicki pod wezwaniem NMP, kościół ewangelicko-augsburski św. Mateusza oraz kościół Mariawitów i synagogę. Młodzież szkolna wysłuchała w trzech świątyniach wykładów o historii i tradycjach religijnych różnych wyznań. Zwiedzano także Stary Cmentarz oraz Cmentarz Żydowski.

→ Grono polonistek i anglistek z Łodzi ogłosiło ogólnopolski konkurs dla uczniów i studentów na esej o literaturze i filmie amerykańskim tworzonym przez kobiety. Dwa pierwsze miejsca zajęły: Ada Minge studentka UJ z Krakowa i Weronika Klimowicz z gimnazjum o.o. Bernardynów w Łodzi.

22 marca

→ Atlas Arena zorganizowała pierwszy koncerty z cyklu *Night of the Proms*. Cykl ten od 30 lat organizuje na świecie halowe koncerty, które mają w programie muzykę popularną i klasyczną, w ten sposób łącząc pokolenia i słuchaczy o różnych muzycznych gustach. W Łodzi wystąpili m.in.: Szkotka Amy Macdonald, Amerykanin Coolio, Anglik John Miles, Natalia Kukulska, Orkiestra Symfoniczna Il Novecento oraz Akademicki Chór Politechniki Łódzkiej.

→ W Wyższej Szkole Pedagogicznej obradował II Łódzki Kongres Kobiet. Panie, wśród których było wiele zajmujących się polityką, dyskutowały m.in. o wpływie

wychowania kobiet na ich dorosłe życie i podejmowane decyzje. Kongres Kobiet jest ruchem ponad podziałami politycznymi i partyjnymi.

24 marca

→ Agencja MOSQI.TO zajmująca się kampanią promocyjną Łodzi przygotowuje casting do spotów reklamowych wyświetlanych wiosną w Telewizji Polskiej i w kinach. Projekt opracowali pracownicy biura promocji łódzkiego magistratu. Finanse na kampanię w wysokości siedmiu milionów uzyskali z Unii Europejskiej. W spotach mają wystąpić mieszkańcy Łodzi.

→ Z prowadzonych pod kierunkiem prof. Ewy Rokickiej badań nad jakością życia łodzian Zespołu Katedry Socjologii Ogólnej UŁ wynika, iż co czwarty łodzianin nie ma w mieszkaniu bieżącej wody, a co trzeci centralnego ogrzewania. 40 proc. badanych nie stać na wypoczynek i zakup domowego sprzętu. Co trzeci ogranicza wydatki na kulturę, a co piąty nie ma funduszy na leczenie. Z życia w Łodzi zadowolonych jest nieco ponad pięć proc. respondentów, ale 33 proc. uważa, że Łódź da im szansę.

→ Akademia Muzyczna zorganizowała Święto Uczelni. W programie znalazło się Święto Absolwentów z Teresą Żylis-Garą i Jerzym Bauerem, przekazanie uczelni spuścizny kompozytorskiej prof. Bronisława K. Przybylskiego, promocje doktorów sztuki oraz koncert studentów.

→ Bożena Będzińska-Wosik, dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 81, i Urszula Sochacka, reżyserka i córka więźnia obozu dla dzieci przy ul. Przemysłowej, opracowały cykl zajęć związanych z historią obozu pod hasłem *Uwolnić Chudego… ciąg dalszy*. Nazwa nawiązuje do statuy chłopca na pomniku Pękniętego Serca stojącego w miejscu byłego obozu. Projekt adresowany do uczniów łódzkich szkół daje okazję do wykazania się pomysłowością w odkrywaniu historii.

25 marca

→ Po 40 latach od momentu rozpoczęcia budowy Centrum Kliniczno-Dydaktycznego Uniwersytetu Medycznego przyjęło na badania pierwszych pacjentów. Cztery kliniki rozpoczną pracę w pierwszych dniach kwietnia. Do całkowitego wykończenia szpitala brakuje jeszcze finansów. Uczelnia prowadzi w tej sprawie pertraktacje z Ministerstwem Zdrowia.

→ Muzeum Miasta przygotowało konkurs dla uczniów szkól średnich województwa łódzkiego. pt. *Detale*. Celem jest zwrócenie uwagi młodzieży na piękno archi-

tektury łódzkiej. Młodzież bierze udział w wycieczkach, w konkursie fotograficznym oraz w grze miejskiej.

27 marca

→ Międzynarodowy Dzień Teatru połączony z projektem Dotknij Teatru zainaugurowała w Teatrze Nowym prapremiera *Klajstra* Tomasza Cymermana w reżyserii Wojciecha Klemma. Sztuka opowiada o Łodzi i jej mieszkańcach, dramacie poszukiwań swego miejsca po okresie transformacji. Twórcami przedstawienia są byli łodzianie: Tomasz Cymerman, Wojciech Klemm, Igor Stokfiszewski oraz Julia Kornacka.

→ W ramach XX Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych na scenie Teatru Powszechnego wystąpił Teatr DAKH z Kijowa z prapremierą światową widowiska *Buda dla psa. Widok z góry. Widok z dołu.* Dramatyczne przedstawienie oparte na różnych tekstach literackich, ukazujące cierpienie, gniew i nadzieję zniewolonego człowieka, wyreżyserował Władysław Troicki, założyciel i dyrektor Centrum Sztuki DAKH.

→ Tegoroczna edycja akcji Dotknij Teatru (której pomysł narodził się w środowisku łódzkim), przebiegała pod hasłem społecznego zaangażowania teatru, obejmowała 36 spektakli, akcje plenerowe oraz 41 warsztatów.

→ Pod złamanym przez wiatr krzyżem ewangelicko-augsburskiego kościoła św. Mateusza znaleziono dokumenty z 1922 r., banknoty oraz gazety: „Głos Polski" i „Kurier Łódzki". Najbardziej cennym dokumentem jest pergamin z przesłaniem i podpisami budowniczych świątyni. List podpisali m.in. duchowni: Wilhelm P. Angerstein i Juliusz Dietrich oraz fabrykanci: Robert Geyer, Juliusz Kindermann i Robert Schweikert.

→ Internauci w internetowym plebiscycie Bryła.pl uznali zrewitalizowany obiekt EC1 za najlepszą inwestycję w 2013 r. w Polsce.

→ Zbigniew Bródka, zdobywca złotego medalu w łyżwiarstwie na olimpiadzie w Soczi, zwyciężył w plebiscycie Łódzkie Sukcesu w lutym br. Olimpijczyk mieszka w Domaniewicach i startuje w barwach UKS Błyskawica. W Łodzi został przyjęty przez marszałka Witolda Stępnia, który nagrodził go dyplomem i premią pieniężną. Nagrody pieniężne od marszałka województwa otrzymali również trenerzy medalisty. Gratulacje złożyli sportowcowi także wojewoda łódzka Jolanta Chełmińska i wiceprezydent Łodzi Krzysztof Piątkowski.

29 marca

→ W Teatrze Jaracza wystawiono *Boże mój*, sztukę izraelskiej autorki Anat Gov (1953-2012), w tłumaczeniu Agnieszki Olek i w reżyserii Jacka Orłowskiego. W przedstawieniu wystąpili Bronisław Wrocławski, Milena Lisiecka i Marcin Łuczak. Jest to pierwsza realizacja tekstu Anat Gov w Polsce.

→ Prezes PIS Jarosław Kaczyński przyjechał do Łodzi, aby przed wyborami do Parlamentu Europejskiego przedstawić program partii. PiS wystawiło listę z 10 kandydatami z Łodzi i województwa.

PERSONALIA:

7 marca

→ Wiceprezydent Łodzi Radosław Stępień złożył rezygnację ze stanowiska wiceprezydenta miasta i został pierwszym wiceprezesem Banku Gospodarstwa Krajowego, w którym będzie odpowiadał za rozdział środków na rewitalizację.

ODESZLI

6 marca

→ Andrzej Ciszewski – dr inż., absolwent Politechniki Łódzkiej, zasłużony działacz inżynierskiego ruchu stowarzyszeniowego, trzykrotnie wybierany na prezesa Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Mechaników Polskich, członek honorowy SIMP, członek Rady Krajowej FSNT-NOT.

19 marca

→ Jerzy Szczęsny – legendarny przywódca studenckiego i obywatelskiego protestu w marcu 1968 r. w Łodzi, skazany na karę więzienia, relegowany i represjonowany przez władze Uniwersytetu Łódzkiego. Prawnik, dziennikarz m.in. Tygodnika „Solidarność", żeglarz, jeździec, narciarz. Odznaczony w 2008 r. Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta. Został pochowany na Cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim przy ul. Ogrodowej, gdzie mszę pogrzebową odprawił ks. Wojciech Lemański, przyjaciel zmarłego.

opracowała: Małgorzata Golicka-Jabłońska

Karski pro memoria

Ławeczka Jana Karskiego w Parku Ocalałych w Łodzi

Ławeczka Jana Karskiego w Ogrodzie Uniwersyteckim w Tel Avivie

Ławeczka Jana Karskiego w Nowym Jorku

Ławeczka Jana Karskiego w Warszawie

Ławeczka Jana Karskiego na Uniwersytecie Georgetown, Waszyngton, fot. APF EAST NEWS

Ławeczka Jana Karskiego w Kielcach

Autorem wszystkich sześciu pomników jest rzeźbiarz Karol Bedyna
fot. Wikimedia Commons

Nasza okładka

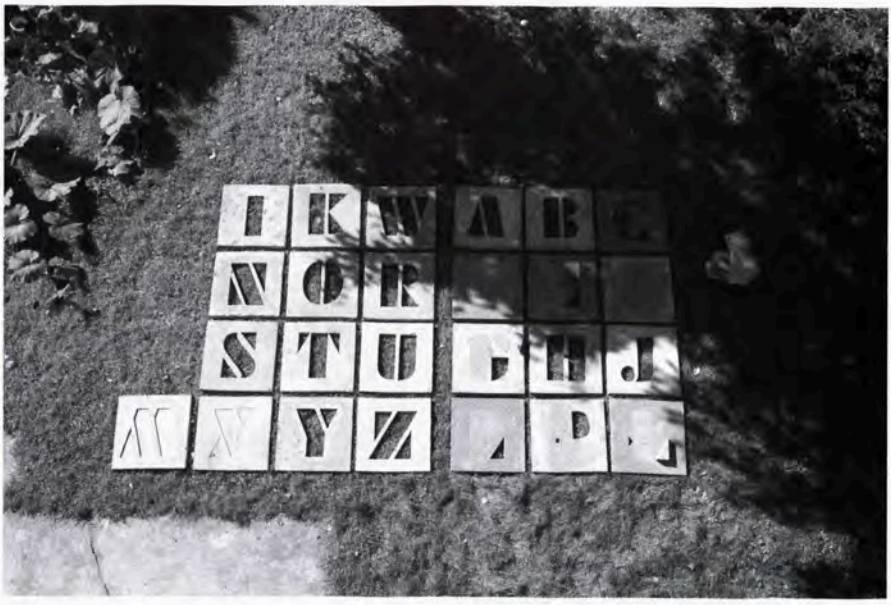

Okładka „Kroniki Miasta Łodzi" przedstawia fragment poematu konkretnego „Hommage a Majakowski", zrealizowanego przez Andrzeja Chętko w 2012 r. na zamówienie Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi oraz Centrum Dialogu im. Marka Edelmana. Praca złożona z 25 betonowych szablonów literniczych kroju „Futura Black", o wymiarach 50x50 cm każdy, eksponowana jest obecnie w galerii zewnętrznej Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi.

Utwór „Hommage a Majakowski", odsyła widza do rzeczywistości strategicznych gier planszowych. Jego obydwie części (partie), kwestia wykluczenia i kwestia klonów, wskazują na wykluczenie jako cel główny rozgrywki. Strategicznym środkiem przeprowadzenie operacji jest wybór kroju pisma. Rodzina czcionek Futura, zaprojektowanych przez Paula Rennera w 1924 roku, jest już od pierwszej prezentacji symbolem awangardy i postępu. Użyta w „Hommage a Majakowski" jej najpóźniejsza, szablonowa wersja, czyli „Futura Black", używana była m.in. w wydawnictwach grupy „a.r.". Specyfika pisania przez szablon i powtarzalność geometrycznych elementów tego kroju są bezpośrednią inspiracją wiersza.

WiN-BP
im.
J. P.
w Łodzi

PR 10677-14

KREUJE